

Sylvia Plath

Szklany Klosz

The Bell jar

Przełożyła Mira Michałowska

Elizabeth i Daridowi

Rozdział 1

Upalne to było lato, dziwne lato, w którym stracono Rosenbergów, a ja siedziałam w Nowym Jorku i nie bardzo wiedziałam, po co i dlaczego. Głupio mi się robi na myśl o karze śmierci. Sama wzmianka o tym, że można uśmiercić człowieka za pomocą prądu, przyprawia mnie o mdłości, a w gazetach o niczym innym nie pisali – wielkie nagłówki wybałuszały na mnie oczy z każdego rogu ulicy, ze zjazdów do kolejki podziemnej, zięjących zapachem palonych fistaszków i gazu ziemnego. Nie miałam powodu utożsamiać się z Rosenbergami, ale mimo woli wciąż wyobrażałam sobie, jak to jest, kiedy kogoś smaży się żywcem prądem, puszczone po wszystkich nerwach.

Byłam pewna, że jest to najstraszliwsza tortura, jaką można zadać człowiekowi.

Sam Nowy Jork był wystarczająco ohydny. O dziewiątej rano nie było już śladu po niby to wiejskim powietrzu, co nie wiadomo jakim sposobem wkraadało się nocą do miasta. Rozwiewało się, znikało z pamięci niczym słodki sen. Na dnie granitowych kanionów rozpalone ulice dygotały w słonecznym pyle. Dachy samochodów skrzyły się i skwierczały, suchy, piekący kurz zapylał oczy, drażnił krtań.

W biurze i w radiu mówiono nieustannie o sprawie Rosenbergów, tak że nie można się było od nich ani na

chwile odczepić. Czułam się więc tak jak wtedy, kiedy po raz pierwszy w życiu zobaczyłam ludzkie zwłoki. Później przez wiele tygodni głowa tego truposza – a raczej resztki jego głowy – wyzierała nagle w czasie śniadania spoza jaj na bekonie, wyłaniała się zza sylwetki Buddy'ego Willarda – który był przede wszystkim odpowiedzialny za to, że tego trupa obejrzałam – i po pewnym czasie poczułam się tak, jak gdybym ciągnęła za sobą tę straszną głowę na sznurku, jak czarny, beznosy śmierdzący octem balon na uwięzi.

Tego lata byłam pewna, że dzieje się ze mną coś niedobrego, bo jedyna rzecz, jaka trzymała się mojej mózgowicy, to ci Rosenbergowie i jeszcze to, jaka jestem głupia, że zakupiłam masę kosztownych, niewygodnych sukien, wiszących teraz w szafie jak śnięte ryby, i jeszcze, że wszystkie te moje małe sukcesy w college'u rozprysły się w zetknięciu z zimnym marmurem i szkłem fasad drapaczy na Madison Avenue niczym bąbelki szampana.

A nazywało się, że przeżywam najlepszy okres swojego życia.

Nazywało się, że jestem obiektem zazdrości tysięcy absolwentek college'u jak Ameryka długa i szeroka, bo one tylko marzą o tym, żeby kuśtykać po brukach nowojorskich w czarnych lakierkach na zbyt wysokich obcasach numer trzydzieści siedem, zakupionych u Bloomingdale'a w czasie przerwy obiadowej wraz z paskiem z takiej samej czarnej lakierowanej skóry i

czarną lakierowaną torebką, żeby była całość. A kiedy, na dodatek, w piśmie, w którym cała nasza dwunastka pracowała tego lata, ukazała się moja fotografia – ja z koktajlem w ręku, wciśnięta w przyciasną bluzkę z imitacji srebrnej lamy, wpuszczoną w namarszczoną spódniczkę z białego tiulu, otoczona grupą wspaniale zbudowanych młodych, anonimowych Amerykanów, specjalnie, rzecz prosta, na okazję tę wynajętych – było dla wszystkich oczywiste, że bawię się na sto dwa.

To może się zdarzyć tylko w naszym kraju, mówiono. Bo popatrzcie. Oto dziewczyna, która dziewiętnaście lat życia spędza na zabitej deskami prowincji, tak biedna, że nie może sobie nawet pozwolić na zaabonowanie magazynu, dostaje stypendium, studiuje w pierwszorzędnym college'u, otrzymuje jedną nagrodę, potem drugą i wreszcie wysyłają ją do Nowego Jorku, gdzie zaczyna sterować tym miastem jak własnym samochodem.

Tylko że ja nie sterowałam ani tym miastem, ani w ogóle niczym, nawet własnym losem. Po prostu telepałam się z hotelu do redakcji, z redakcji na przyjęcie, z przyjęcia do hotelu, z hotelu do pracy jak bezwolny trolejbus. Powinnam się była chyba cieszyć tym wszystkim i przejmować jak inne dziewczyny, ale jakoś nie umiałam wykrzesać z siebie żadnej reakcji. Było mi obojętnie i bardzo pusto – tak musi być w oku cyklonu. Absolutna cisza w samym środku szalejącego żywiołu.

W hotelu mieszkaliśmy w dwunastkę.

Wszystkie byłyśmy laureatkami konkursu, rozpisanego przez znany magazyn kobiecy, na wiersze, opowiadania i slogany. W nagrodę otrzymałyśmy miesięczną pracę w redakcji magazynu w Nowym Jorku. Opłacono nasze bieżące wydatki, a do tego dochodziły niezliczone ilości rozmaitych darmowych imprez, bilety na balet, na pokazy mody. Słynny zakład fryzjerski dbał o nasze włosy, ułatwiano nam spotkania ze znanymi osobistościami świata kultury i nauki oraz umożliwiano zasięganie porad w sprawie pielęgnacji cery.

Do dzisiaj mam zestaw szminek dla osoby o ciemnych oczach i włosach, owalne puzderko z tuszem do rzęs i miniaturową szczoteczkę, okrągły pojemniczek niebieskich cieni do powiek, tyci, w którym akurat mieści się czubek wskazującego palca, i trzy pomadki do ust – od pomarańczy do fuksji – wszystko to umieszczone w złożonym pudełku z lusterkiem na wieczku. Mam też biały futerał do okularów słonecznych, nabijany kolorowymi muszelkami i cekinami, ozdobiony małą rozgwiazdą z masy plastycznej.

Wiedziałam dobrze, że firmy traktują te prezenty jako darmową reklamę swoich wyrobów, ale nie chciałam być cyniczna. Bo, szczerze mówiąc, te hojne dary bardzo mnie cieszyły. Jeszcze przez dłuższy czas ukrywałam je po różnych kątach, a później, kiedy wyzdrowiałam, wydobyłam wszystkie z ukrycia i teraz trzymam je znowu na wierzchu. Od czasu do czasu używam pomadki do ust,

a w zeszłym tygodniu odprułam rozgwiadę z masy plastycznej z futerału na okulary słoneczne i dałam ją małej do zabawy.

Tak więc w hotelu mieszkaliśmy w dwunastkę, w tym samym skrzydle, na tym samym piętrze, w pojedynczych pokojach, jedna obok drugiej, co zresztą przypominało mi życie w domu studenckim. Nie był to normalny hotel – to znaczy taki, w którym mieszkają zarówno mężczyźni, jak i kobiety, jak popadnie, na tych samych piętrach.

Hotel ten – nazywał się „Amazonka” – przyjmował wyłącznie kobiety, a były to przeważnie moje rówieśnice, córki zamożnych rodziców, którzy chcieli mieć pewność, że mężczyźni nie będą mieli do nich dostępu i nie będą mogli ich uwieść. Wszystkie te panny uczęszczały do szkół dla sekretarek, jak na przykład szkoła pani Kąty Gibbs, gdzie wymagano, żeby przychodziły na lekcje w kapeluszach i rękawiczkach, albo były już takich szkół absolwentkami i teraz pracowały dla różnych dyrektorów bądź po prostu obijały się po Nowym Jorku i czekały na dobrą partię.

Wyglądało na to, że dziewczęta te okropnie się nudzą. Obserwowałam je, jak leżąc na tarasie, robią wszystko, żeby zachować przywiezioną z Bermudów opaleniznę, jak ziewają, malują sobie paznokcie u nóg, no i, jak już powiedziałam, śmiertelnie się nudzą. Jedna z nich mówiła mi, że jest znudzona wycieczkami na jachtach, znudzona lataniem samolotami dokoła świata, znudzona jazdą na nartach w Szwajcarii i na dodatek znudzona

mężczyznami, których poznała w Brazylii.

Mdli mnie na widok takich dziewcząt. Robię się z miejsca tak zazdrosna, że mowę mi odbiera. Miałam dziewiętnaście lat i z wyjątkiem tej wycieczki do Nowego Jorku nie ruszyłam się jeszcze nigdy poza Nową Anglię. Była to więc moja pierwsza wielka życiowa szansa, a ja siedziałam i jak głupia pozwalałam, żeby mi ta szansa przeciekała przez palce jak woda.

Przypuszczam, że jedną z przyczyn moich wszystkich kłopotów była Doreen.

Nigdy w życiu nie znałam podobnej dziewczyny. Doreen przyjechała z głębokiego Południa, z college'u dla bogatych pańienek. Miała bardzo jasne, niemal białe włosy, które okalały jej głowę jak cukrowa wata, oczy niebieskie, niemal przezroczyste, jak twarde, wypolerowane paciorki z agatów i równie niezniszczalne. Jej usta stale układały się w dziwny uśmiezek. Uśmiezek bynajmniej nie przykry, raczej wesoły i tajemniczy zarazem. Uważała, że ludzie nie są nazbyt mądrzy i że gdyby chciała, to z każdego zrobiłaby balona.

Doreen wybrała sobie mnie na przyjaciółkę. Od pierwszej chwili. Dała mi do zrozumienia, że uważa mnie za znacznie inteligentniejszą od pozostałych, a ja z kolei muszę przyznać, że była to naprawdę bardzo zabawna dziewczyna. Z reguły siadała obok mnie przy stole konferencyjnym, a kiedy nasi znakomici prelegenci wygłaszali swoje referaty, szeptała mi na ucho dowcipne i zgryźliwe uwagi.

W tym jej college'u, opowiadała mi, dziewczyny były tak zwariowane na punkcie elegancji, że robiły sobie pokrowce na torebki z tego samego materiału co suknie i w ten sposób do każdej toalety miały dobraną niby to specjalną torebkę. Tego rodzaju pomysły zawsze robiły na mnie kolosalne wrażenie. Kojarzyły mi się z życiem pełnym zamierzonej, starannie przemyślanej dekadencji, a to przyciągało mnie jak magnes.

Jeden jedyny raz Doreen nawrzeszczała na mnie. Wtedy, kiedy denerwowałam się, że nie zdążę oddać roboty na czas.

– Po co ty tak harujesz?

Doreen leżała na moim łóżku, ubrana w jedwabny szlafroczek z łososiowego jedwabiu, i piłowała swoje długie, lekko pożółkłe od nikotyny paznokcie, podczas gdy ja przepisywałam na maszynie wywiad, jaki przeprowadziłam z pewnym znakomitym powieściopisarzem.

Wszystkie miałyśmy krochmalone, bawełniane nocne koszule, szlafroki pikowane albo uszyte z materiału frotte, żeby mogły służyć również jako narzutki plażowe. Ale nie Doreen. Doreen paradowała we wspaniałych, półprzezroczystych, długich do ziemi negliżach z nylonu i koronek. Tkaniny lubiła cieliste, przyklejające się do ciała. Wionął od niej bardzo interesujący, trochę piżmowy zapach potu, przypominający liście takiej jednej paproci, które zrywa się, rozgniata w dłoniach i wącha.

– Dobrze wiesz, że stara Jotka nawet nie zauważy, czy

oddasz jej to jutro czy dopiero w poniedziałek. – Doreen zapaliła papierosa. Wypuszczając dym przez nozdrza i przyglądała mi się jakby zza lekkiej zasłony. – Jotka jest brzydka jak noc – dodała beznamiętnie. – Założę się, że ten jej stary mąż gasi wszystkie światła, zanim się do niej zabierze, inaczej by się wyrzygał.

Jotka była moją opiekunką i mimo tego, co mówiła o niej Doreen, bardzo ją lubiłam. W odróżnieniu od innych gaduł, redaktorek naszego pisma, nie nakładała sztucznych rzęs i błyskotliwej, tandetnej biżuterii. Była przy tym inteligentna, więc ten wybitny brak urody wcale mnie nie raził. Czytała w kilku językach i znała wszystkich wziętych autorów, piszących do kobiecych magazynów.

Usiłowałam sobie wyobrazić Jotkę poza jej nieprzytulnym gabinetem i bez urzędowego kapelusza przeznaczonego na oficjalne obiady, leżącą z tłustym mężem w łóżku, ale jakoś mi to nie wychodziło. Zawsze mam trudności z wyobrażaniem sobie ludzi w łóżku.

Jotka chciała mnie koniecznie czegoś nauczyć, wszystkie starsze panie zawsze chciały mnie czegoś uczyć, ale nagle nabrałam pewności, że te ich nauki już mi się na nic nie zdadzą. Teraz nałożyłam pokrywę na maszynę do pisania i zamknęłam ją.

– Mądre dziecko – uśmiechnęła się Doreen.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Kto tam? – Nie chciało mi się wstawać.

– To ja, Betsy, czy idziesz z nami na przyjęcie?

– Chyba tak. – W dalszym ciągu nie chciało mi się podejść do drzwi.

Betsy była importowana prosto z Teksasu razem ze swoimi jasnymi włosami, uczesanymi w koński ogon i uśmiechem ulubienicy pułku. Pamiętam, jak kiedyś wezwano nas do gabinetu pewnego kiepsko ogolonego producenta telewizyjnego, odzianego w garnitur z materiału w prążki. Chciał się dowiedzieć, czy nie mamy jakiegoś pomysłu na program – i Betsy od razu zaczęła mu opowiadać o różnych odmianach teksaskiej kukurydzy. Mają dwie, męską i żeńską. Betsy była tak przekonująca i tak przejęta tą swoją nieszczęsną kukurydzą, że nawet producentowi w końcu stanęły łzy w oczach, ale niestety, jak powiedział, nie był to temat nadający się do magazynu.

Nieco później redaktor działu pielęgnacji urody namówił Doreen, żeby obcięła włosy, i zaczął umieszczać jej zdjęcia na okładce, i nawet teraz widuję czasami jej uśmiechniętą twarz na reklamówkach odzieży firmy Wragge.

Betsy nieustannie prosiła mnie, żebym szła na miasto z nią i jej przyjaciółkami. Zachowywała się tak, jakby chciała się mną zaopiekować. Nigdy jednak nie zapraszała Doreen. Doreen mówiła o niej: ta dojarka.

– Czy chcesz pojechać z nami jedną taksówką? – zapytała Betsy przez zamknięte drzwi.

Doreen potrząsnęła przecząco głową.

– Dziękuję ci, Betsy – krzyknęłam – ale pojedę chyba z

Doreen!

– Okej – Betsy poczłapała w głąb korytarza.

– Pojedziemy, ale zostaniemy tylko tak długo, jak nam się będzie chciało – oświadczyła Doreen, gasząc papierosa o lampkę stojącą przy moim łóżku. – A potem pojedziemy sobie na miasto. Te ich tutejsze przyjęcia przypominają mi szkolne potańcówki w salach gimnastycznych. Nie rozumiem, dlaczego zawsze zapraszają chłopców z Yale. Są taaacy głupi!

Buddy Willard też był z Yale i gdy sobie o nim dzisiaj myślę, dochodzę do wniosku, że też był głupi. Udawało mu się wprawdzie dostawać całkiem dobre stopnie i przeżył kiedyś romans z okropną kelnerką o imieniu Gladys, w miejscowości letniskowej na Cape Cod, ale nie miał ani łuta intuicji. Doreen za to miała jej dużo. Wszystko, co mówiła, brzmiało jak tekst wydobywający się wprost z moich własnych trzewi.

Utknęłyśmy w tłoku. O tej porze zaczynały się przedstawienia w teatrach. Nasza taksówka stanęła za taksówką Betsy, a przed taksówką, w której siedziały jeszcze cztery dziewczęta, i nie mogła ruszyć z miejsca.

Doreen wyglądała cudownie. Miała na sobie białą koronkową suknię z ogromnym dekoltem, bardzo obcisłą, zapinaną na zamek błyskawiczny, a pod nią gorsecik, który ścisnął ją szalenie w pasie, a uwypuklał to, co nad i pod. Skórę miała opaloną, jak gdyby wypolerowaną i lekko przypudrowaną, a pachniała jak cała perfumeria.

Ja nałożyłam obcisłą czarną suknię z szantungu, za

którą zapłaciłam czterdzieści dolarów. Kiedy dowiedziałam się, że jestem jedną ze szczęściarek, które pojedą do Nowego Jorku, wypuściłam się na miasto i wydałam sporą część stypendium na wyprawę. Ta czarna suknia została zakupiona właśnie wtedy. Miała jakiś taki dziwny krój, że nie pasował pod nią żaden stanik, ale to właściwie nie miało większego znaczenia. Byłam płaska jak chłopak, a poza tym uczucie całkowitej niemal nagości sprawiało mi przyjemność i pomagało przeżyć te gorące, parne noce.

Miasto wpłynęło fatalnie na stan mojej opalenizny. Byłam teraz żółta jak Chińczyk. Normalnie martwiłabym się z powodu tej sukni i tej żółtej cery, ale obecność Doreen kazała mi zapomnieć o wszystkich moich zmartwieniach. W jej towarzystwie czułam się jak stary, kuty na cztery nogi cynik.

W pewnym momencie jakiś facet w niebieskiej sportowej koszuli, w czarnych obcisłych spodniach i kowbojskich butach oderwał się od drzwi baru, wyłonił się spod pasiastej markizy i zaczął zbliżać się do naszej taksówki lekko kołyszącym się krokiem. Od razu wiedziałam, że nie chodzi mu o mnie, ale, oczywiście, o Doreen. Przemknął zręcznie między samochodami i wsunął głowę przez nasze otwarte okienko.

– A cóż to, jeżeli można zapytać, dwie ładne samotne panienki robią w taksówce w taki piękny wieczór?

Uśmiechnął się szerokim, durnym uśmiechem prosto z reklamy pasty do zębów.

– Jedziemy na przyjęcie – wymknęło mi się, a to dlatego, że Doreen nagle zupełnie zidiociała i tylko coś tam kręciła przy swoim białym, koronkowym pokrowcu na torebkę.

– To nuda – oświadczył młody człowiek. – Proponuję, żeby panie wypity ze mną jednego w tym oto barku. Czeka tam na mnie kilku przyjaciół.

Wskazał głową grupę dość dziwacznie ubranych młodzieńców, którzy stali pod markizą. Obserwowali go od samego początku, a teraz, kiedy na nich spojrział, wybuchnęli śmiechem.

Śmiech ten powinien być dla mnie ostrzeżeniem. Był to taki niezbyt głośny, wszechwiedzący rechocik, ale w tej samej chwili samochody zaczęły ruszać i wyglądało na to, że jeżeli nie zdecydujemy się szybko, to za dwie sekundy będziemy żałowały, że nie skorzystałyśmy z okazji obejrzenia Nowego Jorku z innej nieco strony, niż zaplanowali nasi opiekunowie z redakcji magazynu.

– No jak, Doreen? – zapytałam.

– No i jak, Doreen? – powtórzył za mną młody człowiek i dalej się uśmiechał.

Do dzisiejszego dnia nie wiem, jak wyglądał bez tego uśmiechu na twarzy. Wydaje mi się, że uśmiechał się przez cały wieczór. To musiała być jego druga natura. Ten uśmiech.

– No, niech będzie – powiedziała Doreen do mnie.

Otworzyłam więc drzwiczki i wysiadłyśmy z taksówki w momencie, w którym właśnie zaczęła ruszać.

Pobiegliśmy w stronę baru. Za nami rozległ się straszliwy zgrzyt hamulca i kilka głuchych uderzeń.

– Hej, zaraz! – nasz taksówkarz, wściekły i purpurowy na twarzy, wysunął głowę. – Co to ma znaczyć?

Zatrzymał się tak gwałtownie, że taksówka jadąca za nim musiała stuknąć go w bagażnik, a wszystkie cztery znajdujące się w niej dziewczyny obsunęły się z siedzeń. Widziałyśmy, jak się gramolą i wierzgają nogami.

Młody człowiek roześmiał się, przeprowadził nas na chodnik, wrócił do taksówki i wręczył kierowcy banknot. Rozległo się straszne trąbienie, zaczęły padać wyzwiska, ale zaraz potem wszystkie dziewczęta z naszego magazynu przesunęły się taksówkami jak korowód weselny złożony z samych drухen.

– Chodź no tu, Frankie – nasz młody człowiek skinął na niskiego, rozczochanego faceta, który oderwał się od grupy kolegów i wszedł z nami do baru.

Nie cierpię takich typów. Miał zaledwie metr sześćdziesiąt wzrostu. Jak stoję obok niskich mężczyzn, nachylam się, żeby być niższą, zapadam się w talii, przy czym jedno biodro idzie wyżej, a drugie niżej. Zaczyna mi być głupio i na dodatek mam wrażenie, że wszyscy się na mnie gapią.

Przez chwilę miałam płonną nadzieję, że dobierzemy się według wzrostu, a wówczas mnie przypadłby ten młody człowiek, który nas poderwał, bo miał dobre metr dziewięćdziesiąt, ale nic z tego, od razu poszedł naprzód z Doreen i nawet na mnie nie spojrzał. Udawałam, że nie

widzę Frankiego, który pętał się gdzieś w okolicy mojego łokcia, a kiedy usiedliśmy, niemalże przytuliłam się do Doreen.

W barze było tak ciemno, że widziałam właściwie tylko ją. Jej jasne włosy i biała suknia srebrzyły się w ciemności, myślę, że to z powodu lampy neonowej nad barkiem. Czułam, że rozmazuję się w tym świetle jak negatyw jakiejś osoby, której nigdy w życiu przedtem nie widziałam.

– No więc, czego się napijemy? – zapytał nas młody człowiek z tym swoim szerokim uśmiechem.

– Myślę, że może koktajl Old Fashioned – rzuciła Doreen w moją stronę.

Zamawianie napojów nie było moją mocną stroną. Nie odróżniałam whisky od dzinu i nigdy nie udawało mi się dostać czegoś, co by mi naprawdę smakowało. Buddy Willard czy inni studenci, z którymi dotychczas wychodziłam, albo nie mieli pieniędzy na prawdziwy alkohol, albo w ogóle nie pili. Zadziwiające, ilu studentów nie pije ani nie pali. W każdym razie wszyscy moi znajomi. Najśmielsze posunięcie Buddy'ego Willarda w tej dziedzinie wydarzyło się tego dnia, kiedy kupił butelkę dubonneta, a i to zrobił tylko i wyłącznie dlatego, by udowodnić mi, iż jest esteta, mimo że studiuje medycynę.

– Dla mnie wódka – powiedziałam.

Młody człowiek spojrział na mnie z zainteresowaniem.

– Z czym? – zapytał.

– Czysta – odparłam. – Zawsze piję czystą.

Obawiałam się, że się wygłupię, jeżeli zażądam do wódki lodu albo dzinu, albo czegokolwiek. Widziałam kiedyś ogłoszenie firmy produkującej wódkę, kieliszek pełen przezroczystego płynu, stojący samotnie na bryle lodu wśród śnieżnej zamieci. Cały obrazek tonął na dodatek w błękitnej poświacie, wódka zaś była krystaliczna, przezroczysta jak woda, wydedukowałam więc, że wódkę pije się czystą, z niczym nie zmieszaną. Podszedł kelner i chłopcy złożyli zamówienie. W tym swoim kowbojskim przebraniu nasz gospodarz wyglądał tu jak u siebie w domu i pomyślałam, że może jest to jakiś znany człowiek.

Doreen milczała i tylko bawiła się niewielką korkową matą, która leżała przed nią na stole. Po chwili zapaliła, ale było widoczne, że on nie miał jej tego za złe. Wybałuszał na nią oczy, tak jakby stał w zoo przed klatką z małpą i czekał, żeby odezwała się ludzkim głosem.

Przyniesiono drinki, a moja wódka wyglądała zupełnie jak na tamtym obrazku, biała i przezroczysta.

– Co pan robi? – zapytałam wreszcie naszego gospodarza, by przerwać milczenie, które obrastało nas jak gęsta trawa w dżungli. – To znaczy, chciałam zapytać, co pan robi tu, w Nowym Jorku.

Powoli i jak gdyby z wielkim wysiłkiem oderwał oczy od nagiego ramienia Doreen i powiedział:

– Jestem dyskdzokejem. Może pani o mnie słyszała. Nazywam się Lenny Shepherd.

– Ja pana znam – odezwała się nagle Doreen.

– To mnie bardzo cieszy, kochana – roześmiał się. – To się świetnie składa. No tak, jestem znany, wszyscy znają mnie jak zły szeląg.

Po czym Lenny Shepherd spojrział długo i przeciągle na swego towarzysza.

– Hej! – odezwał się tamten. – Skąd wy, dziewczyny, jesteście i jak się nazywacie?

– To jest Doreen – odparł Lenny, objął jej nagie ramiona i przycisnął ją do siebie.

Ze zdumieniem stwierdziłam, że Doreen zupełnie na to nie reaguje. Po prostu siedziała sobie, ciemnoskóra, niczym tleniona Murzynka w białej sukni, i wytwornie pociągała ze swojego kieliszka.

– Nazywam się Elly Higginbottom i mieszkam w Chicago – skłamałam i natychmiast poczułam się bezpieczniej. Nie chciałam, żeby to, co robiłyśmy tu, w tym barze, kojarzyło się w jakikolwiek sposób z moim prawdziwym nazwiskiem, ze mną i moim rodzinnym Bostonem.

– No to fajno, Elly, zatańczymy?

Myśl o tańcu z tym pokurczem w pomarańczowych butach na koturnach, skąpym podkoszulku i wymiętej, granatowej marynarce sportowej wydała mi się wprost śmieszna. Nie cierpię facetów w granatowych ubraniach. Szare, czarne, a nawet brązowe, proszę bardzo. Ale granatowe ubranie jest dla mnie po prostu śmieszne.

– Nie jestem w humorze – odpowiedziałam wyniośle,

odwróciłam się do niego plecami i przysunęłam się wraz z krzesłem do Doreen i Lenny'ego.

A oni wyglądali, jak gdyby byli starymi przyjaciółmi. Doreen długą, srebrną łyżką wyciągała kawałki owoców z dna swojej szklanki. Wkładała je do ust, a wtedy Lenny warczał cicho jak pies, który widzi kość, i udawał, że niby chce jej zabrać ten kęs. Doreen chichotała i dalej wyławiała owoce ze szklanki.

Wódka mi smakowała. Nareszcie znalazłam swój trunek. Nie miała określonego smaku i spływała gładko do żołądka jak nóż połykacza noży, dodając mi animuszu i boskiej pewności siebie.

– To ja sobie chyba pójdę – oświadczył Frankie i podniósł się.

Było tak ciemno w tym barze, że nawet go dobrze nie widziałam, ale po raz pierwszy dotarło do mnie, że ma piskliwy, głupi głosik. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

– Hej, Lenny, jesteś mi coś winien. Pamiętasz, Lenny, pamiętasz, że jesteś mi coś winien?

Wydało mi się bardzo dziwne, że wybrał sobie akurat ten moment, żeby przypomnieć Lenny'emu, że ten mu jest coś winien, ale stał i powtarzał to zdanie w kółko, i to dopóty, dopóki Lenny nie wsunął ręki do kieszeni, nie wyciągnął grubego zwitka zielonych banknotów i nie wręczył mu jednego. Wydaje mi się, że był to banknot dziesięciodolarowy.

– Zamknąć mi się już i wynocha – syknął.

Przez chwilę myślałam, że dotyczy to również i mnie,

ale zaraz usłyszałam słowa Doreen.

– Nie pójdę nigdzie bez Elly – powiedziała. Trzeba jej przyznać, że bez wahania nazwała mnie moim przybranym imieniem.

– O, Elly pójdzie z nami, prawda, Elly? – Lenny mrugnął do mnie.

– Pewnie – odpowiedziałam.

Tamten rozplątał się, więc pomyślałam sobie, że chyba naprawdę pójdę z nimi. Ostatecznie chciałam przeżyć, ile się da.

Szalenie lubię przyglądać się ludziom znajdującym się w podbramkowych sytuacjach. Wypadek drogowy, bójka uliczna, embrion pływający w słoju pełnym spirytusu. Interesuje mnie wszystko. Stoję i gapię się tak intensywnie, jak gdybym to chciała zapamiętać na całe życie.

W ten sposób nauczyłam się bardzo wielu rzeczy i nawet wtedy, kiedy przerażają mnie albo przyprawiają o mdłości, niczego po sobie nie pokazuję i zawsze udaję, że dokładnie tak to sobie wyobrażałam.

Rozdział 2

Bardzo się cieszę, że poszłam wtedy do mieszkania Lenny'ego.

Znajdowało się w dużej nowojorskiej kamienicy czynszowej, ale było wyposażone i umeblowane dokładnie jak dom na kowbojskim ranczo. Lenny kazał usunąć kilka ścian i uzyskał wielki pokój, wyłożył go boazerią z sosnowego drewna i zainstalował duży bar w kształcie podkowy. Bar też był z sosny, o ile się nie mylę, posadzka także z sosnowych klepek.

Wszędzie rozścielone były duże białe skóry niedźwiedzie, a za jedyne umeblowanie służyły niskie tapczany, pokryte indiańskimi matami. Zamiast obrazów na ścianach wisiały rogi jelenie, rogi bawole i wypchana głowa królika. Lenny wskazał kciukiem na smutny, szary pyszczek i sztywne uszka nieszczęsnego stworzonka i oświadczył:

– Przejechałem toto pod Las Vegas.

Przeszedł szybkim krokiem przez wielki pokój. Obcasy jego wysokich kowbojskich butów stukały po posadzce, co odbijało się echem od drewnianej boazerii.

– Akustyka – wyjaśnił nam i robił się coraz to mniejszy i mniejszy, aż wreszcie zniknął w głębi, za jakimiś drzwiami.

I od razu ze wszystkich ścian zaczęła płynąć muzyka, która po chwili umilkła, i rozległ się głos Lenny'ego:

– Jest północ, proszę państwa, a ja, wasz dyskdżokej, Lenny Shepherd, przynoszę wam wiązaną popularnych melodii z czołowej dziesiątki płyt tygodnia. Ósma w tym tygodniu, nasza własna jasnowłosa, jasnooka synogarlica, o której wszyscy dzisiaj mówią... jedyna, niezrównana, wspaniała, sensacyjna *Anna Słoneczna!*

Urodziłam się w Kansasie,
Wychowałam się w Kansasie,
A jak znajdę chłopaka,
Ślub wezmę też w Kansasie...

– Co za facet! – odezwała się Doreen. – No, powiedz sama. Dziwny jakiś, no nie?

– Jeszcze jak – odparłam.

– Zrób coś dla mnie, Elly – dodała. Widocznie naprawdę już uwierzyła, że jestem jakąś tam Elly.

– No mów.

– Nie odchodź, słyszysz? Żeby nie wiem co. Jakby ten się do mnie zabrał, to marny mój los. Czy zauważyłaś jego bicepsy? – Doreen zachichotała głupkowato.

Lenny wyłonił się z drugiego pokoju.

– Powiem wam, że mam tu ekwipunek dźwiękowy wartości dwudziestu tysięcy.

Przetoczył się do baru, wyjął trzy szklanki i srebrny kubek do lodu i zaczął mieszać jakiś koktajl z różnych butelek.

... dziewczyna cud, słoneczna dziewczyna...
ze stanu, w którym kwitną słoneczniki.

– Wspaniałe, co? – Lenny podszedł do nas, zręcznie zonglując trzema pełnymi szklankami. Były zapotniałe i zroszone zimnymi kroplami, a kawałki lodu pobrzękiwały w nich jak dzwoneczki. Piosenka kończyła się przeciągłym zawrotem i zaraz potem rozległ się znowu głos Lenny'ego. Zapowiadał następny numer.

– Nie ma nic przyjemniejszego ponad słuchanie własnego głosu – oświadczył. – Ale chwileczkę... – przyjrzał mi się uważnie. – Frankie nawalił, muszę ci wytrzasnąć innego faceta. Zaraz zadzwonię do któregoś z kolegów.

– Nie trzeba – powiedziałam. – Mnie na tym nie zależy.

Miałam ochotę powiedzieć mu szczerze, że jeżeli się już fatyguje, to żeby mi sprowadził kogoś przynajmniej o kilka cali wyższego.

Lenny odetchnął z ulgą.

– No dobra, skoro ci naprawdę nie zależy. Za nic nie chciałbym sprawić przykrości przyjaciółce Doreen. – Uśmiechnął się do niej, szczerząc swoje wielkie białe zęby. – Prawda, kotku?

Wyciągnął do niej rękę, a ona wstała bez słowa i od razu zaczęli podrygiwać, nie wypuszczając przy tym szklanek z rąk.

Siedziałam ze skrzyżowanymi nogami na jednym z tapczanów i usiłowałam zachowywać się obojętnie i

beznamiętnie, jak jeden biznesmen, którego obserwowałam, kiedy patrzył na taniec brzucha. Ale ponieważ oparłam się plecami o ścianę, tapczan zaczął wyjeżdżać na środek pokoju, więc zsunęłam się na podłogę, siadłam na niedźwiedziej skórze i oparłam się o brzeg tapczanu.

Mój drink był mocny, deprymujący jakiś. Miał smak stęchłej wody. Gorszy z każdym łykiem. W połowie szklanki namalowane było różowe łąco w żółte kropki. Wypiłam tyle, że poziom płynu znalazł się o mniej więcej dwa centymetry poniżej łąca, zrobiłam przerwę, a kiedy znowu zabrałam się do picia, łąco znajdowało się, cudem jakimś, znowu tuż pod poziomem drinka.

Gromki głos Lenny'ego dochodził teraz, nie wiadomo dlaczego, z sufitu. „Dlaczego, ach dlaczego wyniosłem się z Oswego... ” – śpiewał.

Doreen i Lenny nie przestawali podrygiwać nawet w przerwach pomiędzy płytami. Czułam, że kurczę się coraz bardziej i bardziej i po pewnym czasie byłam pewna, że jestem już tylko małą czarną kropką na tle czerwieni i bieli dywanów, no i tej sosnowej boazerii. Czułam się, co tu ukrywać, jak dziura w moście.

Jest coś szalenie demoralizującego w widoku dwojga ludzi, którzy najwyraźniej dostali bzika na swoim punkcie, szczególnie jeżeli się jest jedyną postronną osobą w pokoju.

Można to tylko porównać do uczucia, jakiego doznaje się na przykład, odjeżdżając z Paryża ostatnim wagonem

pociągu towarowego, który, jak wiadomo, ma okienko z tyłu. Z każdą sekundą miasto maleje i maleje, a człowiekowi się zdaje, że to nie miasto maleje, tylko on, że to on staje się coraz mniejszy i mniejszy, samotny i coraz bardziej samotny bo oddala się z szybkością miliona kilometrów na godzinę od świateł wielkiego miasta i od wszystkich kotłujących się tam spraw.

Od czasu do czasu Lenny i Doreen padali sobie w objęcia, całowali się, swingowali do baru po świeżego drinka i powracali do swoich płasów. Pomyślałam, że najlepiej będzie, jak zwinę się w kłębek na niedźwiedziej skórze i prześpię się, aż Doreen zdecyduje, że ma dosyć i że możemy wrócić do hotelu.

Nagle Lenny wydał z siebie dziki ryk. Usiadłam. To Doreen wbiła zęby w jego lewe ucho.

– Puszczaj, kurwo!

Lenny pochylił się gwałtownie, przerzucił sobie Doreen przez ramię, jej drink zatoczył wielkie półkole, a szklanka z idiotycznym brzękiem rozbiła się o boazerię. Lenny wciąż ryczał jak zarzynane prosię i wirował z tak zawrotną szybkością, że nie widziałam twarzy Doreen.

Zauważyłam mimochodem, tak jak notuje się kolor czyichś oczu, że piersi Doreen wyskoczyły z dekoltu sukni i kołyszą się jak dwa jędrne, dojrzałe melony, a ona przerzucona przez ramię Lenny'ego wierzga nieprzytomnie nogami. Poza tym jeszcze bardzo głośno piszczała. Po chwili obydwójce zaczęli się dziko śmiać, zwolnili nieco tempo i Lenny próbował ugryźć Doreen

przez spódnicę w biodro. Uznałam więc, że trzeba ich chyba zostawić, wysliznęłam się z pokoju i trzymając się oburącz poręczy schodów, na pół skacząc, a na pół czołgając się, dotarłam na dół.

Nie pamiętałam o tym, że w mieszkaniu Lenny'ego była klimatyzacja, więc kiedy znalazłam się na ulicy, aż się zatoczyłam, uderzona falą tropikalnego fetoru, jaka mnie zniecka ogarnęła. Asfalt przez cały dzień pochłaniał gorące, smrodliwe wyziewy ulicy, a nocą je wypuszczał. Dostałam tym smrodem jak pięścią między oczy. Ponadto nie miałam zielonego pojęcia, gdzie jestem. Przez minutę zastanawiałam się nad możliwością pojechania taksówką na przyjęcie, ale zaraz zrezygnowałam, bo myśl, że mogłabym się znaleźć w pustej sali balowej, pełnej confetti, niedopałków i zmiętych serwetek papierowych, przeraziła mnie.

Ruszyłam w kierunku najbliższego narożnika. Jednym palcem wodziłam po murach domów, żeby nie stracić równowagi. Spojrzałam na tablicę z numerem ulicy, po czym wyciągnęłam z torebki plan miasta i stwierdziłam, że znajduję się dokładnie o czterdzieści trzy ulice od mojego hotelu.

Chodzenie nigdy mnie nie przerażało. Ustawiłam się więc we właściwym kierunku i ruszyłam przed siebie, licząc kolejne ulice, a kiedy weszłam do hallu naszego hotelu, byłam już zupełnie trzeźwa, nogi miałam tylko lekko obrzmiałe, co było zresztą moją winą, ponieważ zapomniałam włożyć pończochy.

Hall był pusty. Jedynie nocny portier drzemał w swojej łoży wśród rzędów kluczy i milczących telefonów.

Wśliznęłam się do służbowej windy i nacisnęłam guzik. Drzwi zasunęły się za mną bezszelestnie, zatkało mi uszy i zobaczyłam nagle twarz jakiejś Chinki, uśmiechającej się do mnie głupawo. Było to, rzecz prosta, moje własne odbicie w lustrze. Z przerażeniem stwierdziłam, że wyglądam jak zmęczona i pomarszczona staruszka.

Na korytarzu nie było żywej duszy. Weszłam do mojego pokoju. Stał w nim gęsty dym. Z początku pomyślałam, że dym ten zmaterializował się tak z niczego, że był czymś w rodzaju kary bożej, ale po sekundzie przypomniałam sobie, że był to dym po papierosach Doreen, i nacisnęłam lewarek, za pomocą którego otwierało się okno. Okna w tym hotelu były tak skonstruowane, żeby nie można ich było otworzyć na oścież i wychylić się. Nie wiem dlaczego, ale strasznie mnie to teraz rozżłościło.

Stanęłam na lewo od okna, przyłożyłam twarz do framugi, co pozwoliło mi spojrzeć na ulicę. W oddali kołysała się leciutko bryła gmachu Narodów Zjednoczonych. W ciemnościach nocy budynek ten wyglądał jak wielki, zielony niesamowity plaster miodu. Może są takie na Marsie. Wzdłuż jezdni mrugały białe i czerwone światła, a dalej latarnie mostów, których nazw nie znałam.

Cisza podziałała na mnie przygnębiająco. Nie ta na

zewnątrz, ale ta, co była we mnie samej.

Wiedziałam doskonale, że sunące wzdłuż ulic samochody hałasują, że znajdujący się w nich ludzie, ludzie mieszkający za fasadami tych wszystkich domów, wydają z siebie najrozmaitsze dźwięki, że rzeka szumi, ale że ja tego wszystkiego nie słyszę. Miasto wisiało za moim oknem płaskie jak afisz, połyskujące i migotliwe, ale co z tego, co z tego, skoro nic do mnie nie docierało.

Porcelanowo-biały telefon, stojący przy łóżku, mógł, być może, połączyć mnie ze światem, ale co z tego, skoro milczał i leżał na nocnym stoliku niczym trupia czaszka. Usiłowałam sobie przypomnieć nazwiska wszystkich osób, którym dałam numer mojego telefonu, żeby sobie uświadomić, kto ewentualnie mógłby do mnie zadzwonić, ale do głowy przychodziło mi tylko i wyłącznie nazwisko matki Buddy'ego Willarda. Ona z kolei miała podać mój numer jakiemuś tłumaczowi kabinowemu z ONZ.

Wydałam z siebie krótki, sarkastyczny śmiech.

Można sobie wyobrazić, co to mógł być za tłumacz kabinowy, z którym pragnęła mnie skontaktować pani Willard. Wiedziałam przecież doskonale, że pani Willard marzy tylko i wyłącznie o tym, żebym wyszła za mąż za jej syna, Buddy'ego, który w tej chwili znajdował się w górach, w stanie Nowy Jork, w sanatorium dla gruźlików. Pani Willard wystarała mi się nawet na lato o posadę kelnerki w tymże sanatorium, po to, oczywiście, żeby jej syn nie czuł się osamotniony. Zarówno ona, jak i Buddy zupełnie nie mogli zrozumieć, dlaczego zamiast tego

zdecydowałam się na wyjazd do Nowego Jorku.

Lustro na mojej toalecie wydało mi się lekko spaczone i jakieś bardzo błyszczące. Twarz, która się w nim odbijała, przypominała mi moje własne odbicie w lampie dentysty. Przyszło mi na myśl, że może najlepiej byłoby wsunąć się pomiędzy prześcieradła i zasnąć, ale po chwili pomysł ten wydał mi się równie nieatrakcyjny, jak na przykład włożenie pomiętego i poplamionego listu do czystej, białej koperty. Postanowiłam więc wziąć gorącą kąpiel.

Gorąca kąpiel jest dobra na wszystko, no, prawie na wszystko. Kiedy bywa mi tak smutno, że chciałabym umrzeć, albo kiedy jestem zbyt zdenerwowana, żeby zasnąć, albo zakochana w chłopcu, którego nie zobaczę przez cały tydzień, wpadam w skrajną depresję, a w końcu mówię sobie:

– Pójdę i wezmę gorącą kąpiel.

W kąpieli medytuję. Woda musi być bardzo gorąca, tak gorąca, żeby parzyła, kiedy się wkłada nogę do wanny. Trzeba się zanurzać bardzo powoli, centymetr po centymetrze, aż woda dojdzie do szyi.

Pamiętam sufit nad każdą wanną, w jakiej się kiedykolwiek wylegiwałam. Pamiętam kolor tynku, rysy, pęknięcia, wilgotne zacieki, no i lampy. Pamiętam kształt wanien: stare, na wygiętych nogach, i nowoczesne, podobne do trumien, i wymyślne, różowe, marmurowe, w cudownych łazienkach z oknami o zamglonych szybach, na których wymalowano stawy zarośnięte liliami

wodnymi. Pamiętam też kształty i rozmiary kurków i mydelniczek.

W wannie z gorącą wodą staje się naprawdę sobą.

Tak więc blisko godzinę przeleżałam w wannie, na siedemnastym piętrze nowojorskiego hotelu dla kobiet, hen wysoko ponad zgiełkiem i szaleństwem Nowego Jorku, i czułam, że powoli staje się znowu czysta. Nie wierzę w chrzest wody Jordanu ani w różne takie hocki-klocki, ale co tu gadać, dla mnie gorąca kąpiel to mniej więcej to samo, co dla niektórych ludzi święcona woda.

Powtarzałam sobie w duchu:

– Doreen się rozpuszcza, Lenny Shepherd się rozpuszcza, Frankie się rozpuścił, Nowy Jork się rozpuścił, wszystko rozpuści się, spłynie i straci znaczenie. Nie znam tych ludzi, nigdy ich nie znałam, jestem czysta jak łza. Cały ten alkohol, wszystkie pocałunki, jakie widziałam, i brud, co osiadł na mojej skórze w drodze do hotelu, wszystko znikło jak kamfora.

I im dłużej leżałam w gorącej, przezroczystej wodzie, tym czułam się bielsza, a kiedy wreszcie opuściłam wannę i otuliłam się miękkim, białym hotelowym prześcieradłem kąpielowym, czułam się świeża i nieskalana jak nowo narodzone dziecko.

Sama nie wiem, jak długo spałam, kiedy zbudziło mnie pukanie do drzwi. Z początku nie zwracałam na nie żadnej uwagi, ponieważ jakiś głos powtarzał w kółko:

– Elly, Elly Elly, wpuść mnie – a ja nie znałam żadnej Elly.

A potem do tego pukania dołączyło się inne, mocniejsze, bardziej stanowcze, i drugi, znacznie bardziej energiczny głos zawołał:

– Panno Greenwood, przyjaciółka panią prosi! Wtedy zorientowałam się, że chodzi o Doreen.

Z trudem stanęłam na nogi i przez dobrą minutę chwiałam się sennie na środku ciemnego pokoju. Byłam zła na Doreen, że mnie obudziła, jedyną szansą jakiego takiego przeżycia tej okropnej nocy był sen, a ona musiała przyjść i wszystko zepsuć. Zdecydowałam udawać, że śpię, w nadziei, że to pukanie się skończy i zostawią mnie w spokoju, więc czekałam cicho, ale nic z tego nie wyszło.

– Elly, Elly, Elly – mamrotał pierwszy głos, podczas gdy drugi wciąż syczał: – Panno Greenwood, panno Greenwood, panno Greenwood. – Zupełnie jak gdybym miała dwie jaźnie czy coś w tym rodzaju.

Otworzyłam w końcu drzwi i wyjrzałam na jasno oświetlony korytarz. Wydało mi się nagle, że to nie dzień ani noc, tylko jakaś podejrzana przerwa między jednym a drugim, co wśliznęła się w sam środek doby i już nigdy nie odejdzie.

Doreen stała oparta o framugę. Gdy otworzyłam drzwi, obsunęła się i po prostu wpadła mi w ramiona. Nie widziałam jej twarzy, ponieważ była całkowicie zasłonięta włosami. Sztywne, tlenione loki spadały jej na

piersi jak końska grzywa. Przy samej głowie ciemne pasmo odrostu.

W niskiej, tęgiej, wąsatej kobiecie, ubranej w czarną suknię i biały fartuch, z miejsca poznałam nocną pokojówkę, która spędzała dni w małym pokoiku na końcu korytarza, prasując nasze suknie i wieczorowe toalety. Nie mogłam w żaden sposób zrozumieć, skąd ona zna Doreen, dlaczego nie zaprowadziła jej po prostu do jej pokoju, zamiast robić raban przed moim.

Kiedy pokojówka zobaczyła, że Doreen się uspokaja i już tylko od czasu do czasu wydaje z siebie głęboki, dziecinny szloch, powróciła do swojego pokoiczku, swojej rozklekotanej maszyny Singera i swojej deski do prasowania. Miałam ochotę pobiec za nią i powiedzieć, że nie mam z Doreen nic wspólnego, ta pokojówka przypominała mi bowiem wypisz-wymaluj moją austriacką babkę. Wyglądała na spracowaną, przestrzegającą surowych obyczajów i sztywnych zasad moralnych kobietę. Istny portret emigrantki europejskiej sprzed pół wieku.

– Do łózieczka, do łózieczka – napraszała się Doreen. – Do łózieczka, do łózieczka.

Byłam absolutnie pewna, że jeśli teraz przeniosę Doreen przez próg mojego pokoju i położę ją do łóżka, to koniec, kropka, nigdy w życiu już się jej nie pozbędę.

Ciało jej, miękkie i ciepłe, okrywało mnie jak puchowa pierzyna. Wpierała się we mnie, a jej nogi, obute w idiotyczne pantofelki na szpilkach, wlokły się po ziemi.

Zaniesienie Doreen do jej własnego pokoju było ponad moje siły.

Postanowiłam rzucić ją na dywan w korytarzu, zamknąć się na klucz i wrócić do łóżka. Kombinowałam, że jak Doreen się obudzi, to nic nie będzie pamiętała, pomyśli, że zemdląca przed moimi drzwiami, wstanie i spokojnie pójdzie do siebie.

Zaczęłam więc powoli ją opuszczać na zielony chodnik, ale nagle jęknęła i wysunęła mi się z rąk. Fontanna brunatnych rzygowin trysnęła z jej ust i rozlała się wielką kałużą u moich stóp.

Potem Doreen zwiotczała zupełnie i zrobiła się ciężka jak kloc. Opadła na podłogę, głową w kałużę, a jasne strąki jej włosów sterczały jak korzenie w bajorze. Zasnęła natychmiast kamiennym snem. Odsunęłam się. Sama byłam półprzytomna z senności.

Tejże nocy postanowiłam zmienić mój stosunek do Doreen. Przynależałam sobie, że będę z nią rozmawiała, obserwowała ją uważnie, ale nie będę się z nią przyjaźniła. Bliższa mi była Betsy i jej prostoduszne przyjaciółki. Zrozumiałam, że w gruncie rzeczy ona jest mi najbliższa.

Cichutko wycofałam się z korytarza i zamknęłam za sobą drzwi. Po namyśle nie przekręciłam klucza. Nie potrafiłam się jakoś na to zdobyć.

Kiedy się przebudziłam, było znowu wściekle gorąco, pochmurno i mgliście. Umyłam twarz zimną wodą, umalowałam usta i ostrożnie otworzyłam drzwi.

Spodziewałam się, że zobaczę tam ciało Doreen w kałuży rzygowin, naoczne, jaskrawe świadectwo mojego podłego charakteru.

W korytarzu nie było żywej duszy. Chodnik ciągnął się przez całą jego długość, od ściany do ściany czysty i wiecznie zielony, z wyjątkiem nikłej, wysychającej już plamy tuż pod moimi drzwiami. Wyglądało, jak gdyby ktoś niechcący wylał szklanekę wody i natychmiast wytarł plamę czystą ściereczką.

Rozdział 3

W redakcji „Dnia Kobiety” na stole bankietowym stały talerze z połówkami awokado, nafaszerowanymi sałatką z krabów w majonezie, wielkie półmiski z różową polędwicą i zimną kurą oraz tu i ówdzie kryształowe miseczki wypełnione po brzegi czarnym kawiozem. Ponieważ nie zdążyłam zjeść śniadania w kafeterii hotelowej i tylko szybko wypiałam filiżankę przeparzanej kawy, miałam niesmak w ustach, a jednocześnie byłam głodna jak wilk.

Przed moim przyjazdem do Nowego Jorku nie jadłam ani razu w prawdziwej restauracji. Nie liczę, oczywiście, przydrożnych zajazdów firmy Howard Johnson, gdzie z reguły zamawiałam hamburgery, frytki i koktajl mleczno-waniliowy. Bywałam tam z takimi osobami jak Buddy Willard. Nie wiem, dlaczego tak jest, ale najbardziej na świecie kocham dobre jedzenie. Mogę jeść, ile wlezie, i nigdy nie tyję. Z wyjątkiem jednego krótkiego okresu waga moja nie zmieniła się od dziesięciu lat.

Moje ulubione potrawy zawierają dużo masła, śmietany i sera. W Nowym Jorku byłyśmy co dzień zapraszane do najdroższych restauracji zarówno przez różne osoby z magazynu, jak i przez najrozmaitszych znanych literatów. Nabrałam takiego zwyczaju: przeczytawszy uważnie olbrzymią, ręcznie wypisaną kartę – najmniejszy talerzyk

zielonego groszku kosztował tam pięćdziesiąt, sześćdziesiąt centów – wybierałam najdroższe, najbardziej obfite i tuczące dania.

Wiedziałam, że wszyscy ci ludzie zapraszają nas na koszt swoich firm, więc nie miałam wyrzutów sumienia. Jadłam bardzo szybko, żeby ci nieszczęśnicy, którzy szalenie dbali o swoją linię i z reguły jadali jakieś sałatki, popijając sokiem z grapefruita, nie musieli na mnie czekać. Nie spotkałam w Nowym Jorku chyba ani jednej osoby, która by nie była na jakiejś odchudzającej diecie.

– Pragnę dziś powitać grupę najładniejszych, najinteligentniejszych młodych kobiet, jakie kiedykolwiek mieliśmy zaszczyt gościć w naszej redakcji – mówił do mikrofonu wetkniętego w klapę eleganckiej marynarki tęgi, łysiejący mistrz ceremonii. – Dzisiejszy bankiet jest dziełem pań z kuchni eksperymentalnej naszego magazynu, a jednocześnie symbolem naszej szczerzej gościnności. Kuchnia eksperymentalna „Dnia Kobiety” wita was, drogie panie!

Rozległ się wytworny, przytłumiony aplauz, po czym usiadłyśmy przy gigantycznym stole nakrytym śnieżnobiałym obrusem.

Jedenaście dziewcząt, kilku redaktorów działów i cały zespół kuchni eksperymentalnej „Dnia Kobiety”, w białych fartuchach i siatkach na głowie. Wszystkie były umalowane szminkami w odcieniu dojrzałej brzoskwini.

Było nas jedenaście dlatego, że Doreen nie przyszła. Jednakże nakryto dla niej obok mnie, ale krzesło było

puste. Włożyłam do kieszeni jej miejscówkę w postaci małego lusterka z napisem „Doreen”, pięknie wykaligrafowanym i okolonym wianuszkiem z plastikowych stokrotek.

Doreen spędzała dzisiejszy dzień w towarzystwie Lenny'ego Shepherd'a. Spędzała obecnie większą część swojego wolnego czasu w jego towarzystwie.

Godzina poprzedzająca uroczysty obiad zeszła nam na wizytowaniu eksperymentalnej kuchni magazynu. „Dzień Kobiety” był miesięcznikiem kobiecym, poświęcającym całe kolumny reklamie i opisom cudownych dań, fotografowanych w technikolorze. Każdy numer miał główny temat i zajmował się sztuką kulinarną jakiegoś kraju czy rejonu. Prowadzono nas z jednej wspaniale wyposażonej kuchni do drugiej, demonstrowano, jakie trudności kryje w sobie fotografowanie chociażby zwykłego tortu z lodami. Silne światła rozpuszczają lody, trzeba je więc podtrzymywać od tyłu co chwilę zmieniającymi wykałaczkami.

Widok tych wszystkich potraw przyprawiał mnie o zawrót głowy. Wprawdzie karmiono nas w domu do syta, ale moja babka była kobietą szalenie oszczędną i przeważnie robiła klopsy albo gulasz, a na dodatek mówiła w momencie, kiedy przełykaliśmy pierwszy kęs:

– Mam nadzieję, że wam smakuje. To mięso kosztuje czterdzieści jeden centów za funt.

Miałam czasem wrażenie, że jem pieniądze, a nie obiad niedzielny.

Gdy stałyśmy przed naszymi nakryciami, wysłuchując powitalnego przemówienia, pochyliłam głowę i intensywnie studiowałam miseczki z kawiozem. Jedna z nich ustawiona była strategicznie pomiędzy nakryciem moim i Doreen.

Stwierdziłam, że sytuacja jest dobra. Dziewczyna siedząca naprzeciwko nie sięgnie po kawior z powodu ogromnej wazy, pełnej marcepanowych owoców, stanowiącej dekorację stołu, a siedząca po mojej prawej ręce Betsy jest zbyt dobrze wychowana, żeby zażądać swej porcji, jeśli przysunę kawior do siebie. Poza tym zauważyłam na prawo od Betsy drugą miseczkę z kawiozem. Jeżeli chce, to niech się częstuje z tamtej.

Mieliśmy z dziadkiem taki jeden żarcik. Ale najpierw powiem, że dziadek był kelnerem w wytwornym podmiejskim klubie, niedaleko mojego rodzinnego miasteczka. Co niedziela babka jechała po niego samochodem i przywoziła go do domu na wolny poniedziałek. Brat i ja towarzyszyliśmy jej na zmianę. Dziadek podawał nam kolację klubową, obsługując nas równie starannie jak swoich płatnych gości. Z przyjemnością częstował mnie różnymi frykasami i tak mając zaledwie dziewięć lat, pasjami lubiłam jadać zimną kartoflankę, zwaną vichyssoise, kawior i pastę z anchois.

A żarcik był taki. Moim prezentem ślubnym od dziadka miała być kolosalna miska kawioru, tak żebym się mogła raz w życiu najeść do syta moją ulubioną potrawą. Był to jednakże tylko żart, przede wszystkim dlatego, że nie

zamierzałam w ogóle wychodzić za mąż, dziadka zaś nie stać by było na tak kosztowny prezent, chyba że włamałby się do klubowej lodówki i uciekł z walizką pełną kawioru.

Wśród powszechnego brzęku sztućców, szklanek i porcelany starannie wyłożyłam talerz plastrami zimnej kury, po czym posmarowałam je tak grubo kawiozem, jakby to były powidła. Następnie zwijałam plaster mięsa tak, żeby kawior nie mógł wypłynąć, brałam go do ręki i zajadałam.

Odkryłam, po dłuższych zresztą trudnościach z łyżkami i widelcami, że najlepiej jeść, jak się człowiekowi żywnie podoba, ale za to z wielką pewnością siebie oraz z dużą dozą arogancji, jak gdyby się doskonale wiedziało, co należy robić, ale miało to w głębokiej pogardzie. Nikomu nie wpadnie nawet do głowy, że jest się źle wychowaną osobą albo że się ma złe maniery. Po prostu zyskuje się opinię osoby oryginalnej i zabawnej.

Nauczyłam się tego podczas obiadu ze słynnym poetą, na który zaprosiła mnie Jotka. Poeta miał na sobie okropną, wymiętą i wyplamioną marynarkę tweedową, szare spodnie, koszulkę polo w czerwono-niebieską kratkę, restauracja była niezwykle wytworna, z fontanną i kryształowymi żyrandolami, a wszyscy pozostali goście ubrani byli w ciemne garnitury i nieskazitelnie białe koszule.

Poeta jadł sałatę palcami, listek po listku i przez cały czas mówił do mnie o tym, że przyroda jest antytezą

sztuki. Nie mogłam oderwać oczu od jego krótkich, białych paluchów, które przenosiły z salaterki poety do ust poety ociekające oliwą i octem listki sałaty. Po chwili byłam zupełnie przekonana, że jedzenie sałaty palcami jest jedynym naturalnym i sensownym sposobem. Tak sugestywna była osobowość tego człowieka.

Żadna z redaktorek „Dnia Kobiety” nie siedziała blisko, Betsy zaś była dziewczyną miłą i łagodną, nie przepadała poza tym za kawiozem, więc nabierałam coraz większej pewności siebie. Skończyłam pierwszą porcję kury z kawiozem i nałożyłam sobie drugą. Potem zabrałam się do sałatki z krabów.

Awokado to mój ulubiony owoc. Każdej niedzieli dziadek przywoził mi jedno. Kładł go na dno walizki i nakrywał sześcioma brudnymi koszulami i niedzielnymi komiksami. Nauczył mnie robić znakomity sos. W tym celu należy w małym rondelku na wolnym ogniu rozpuścić galaretkę z winogron, zmieszać z winegretem, przekroić owoc, usunąć wielką pestkę i wlać rubionowy sos w wyżłobienie! Jakże zachciało mi się teraz tego sosu. W porównaniu z nim sałatka z krabów była zupełnie pozbawiona smaku.

– Jak udał się pokaz futer? – zwróciłam się do Betsy, zorientowawszy się, że nie jest konkurentką do kawioru. Wyskrobałam z dna miseczki ostatnie czarne jajeczka i wylizałam starannie łyżeczkę.

– Cudowny – uśmiechnęła się Betsy. – Pokazali nam, jak się robi szalenie elegancki szaliczek z ogonków

nurków i złotego łańcucha. Łańcuch można kupić u Woolwortha za parę centów, dokładną kopię oryginału za jednego dolara i dziewięćdziesiąt osiem centów, więc Hilda skoczyła zaraz do hurtowni futer i kupiła za bezcen ogonki nurkowe, wpadła do Woolwortha i w powrotnej drodze w autobusie wykonała przepiękny szaliczek.

Spojrzałam na Hildę siedzącą naprzeciwko Betsy i rzeczywiście stwierdziłam, że ma na sobie kosztownie wyglądającą etolkę futrzaną z puszystych ogonków, połączonych złotym łańcuchem zwisającym z lewej strony.

Nie umiałam tej Hildy rozgryźć. Wysoka prawie na dwa metry, o nieco tajemniczej, słowiańskiej twarzy, miała wielkie, skośne zielone oczy i grube czerwone wargi. Robiła kapelusze. Była przydzielona do naczelnej redaktorki działu mody, co różniło ją do pewnego stopnia od dziewcząt takich jak Betsy, Doreen czy ja, które miały niby to literackie zacięcie i pisały artykuły, mimo że czasem były to tylko elaboraty na temat zdrowia i urody. Nie wiem, czy Hilda umiała czytać, ale na pewno umiała robić przepiękne kapelusze. Uczęszczała do szkoły dla modystek i codziennie zjawiała się w pracy w nowym, własnoręcznie projektowanym i wykonanym nakryciu głowy ze słomki, kawałków futra, wstążek czy aksamitek o subtelnie dobranych kolorach.

– To niebywałe – powiedziałam teraz – wręcz niebywałe.

Żałowałam, że nie ma Doreen. Ta na pewno znalazłaby

jakaś odpowiednio zjadliwą uwagę na temat niezwykłego futrzanego szalika Hildy. Naszeptałyby mi tych złośliwości do ucha, co z pewnością podniosłoby mnie na duchu.

Bo byłam w podłym humorze. Zostałam bowiem tego ranka zdemaskowana przez wszechwiedzącą Jotkę i zrozumiałam, że wszystkie niejasne podejrzenia, jakie w skrytości ducha żywiłam w stosunku do własnej wartości, są słuszne i nie dadzą się długo ukryć. Po wielu latach ubiegania się o dobre stopnie, stypendia i nagrody zaczęłam opuszczać się w pracy, zwolniłam tempo, jednym słowem, groziło mi wypadnięcie z puli.

– A dlaczego nie poszłaś z nami na rewię futer? – zapytała Betsy.

Wydawało mi się niejasno, że Betsy się powtarza, że przed chwilą zadała mi już to pytanie, ale że ono do mnie nie dotarło.

– Czy byłaś gdzieś z Doreen?

– Nie – odparłam. – Chciałam iść, ale zadzwoniła Jotka i kazała mi przyjść do redakcji. – To nie była cała prawda, ale usiłowałam przekonać samą siebie, że na pokaz nie poszłam z winy Jotki i w ten sposób zostałam przez nią skrzywdzona.

Powiedziałam więc Betsy, że jeszcze rano w łóżku, gdy się przebudziłam, zdecydowałam nie iść na tę rewię. Czego jej nie wyznałam, to faktu, że wówczas weszła do mojego pokoju Doreen, mówiąc:

– Po jakiego diabła chodzić na tę kretyńską rewię. Jadę

z Lennym na Coney Island, na plażę. Jedź z nami. Lenny wykombinuje ci jakiegoś kolegę, a dzień zapowiada się okrutnie gorący. Najpierw ten obiad, po południu premiera filmowa. Nikt na pewno nie zauważy, żeśmy się urwały.

Chciałam ulec pokusie. Rewia była rzeczywiście pomysłem idiotycznym. Nie cierpię futer. Ale wolałam zrobić co innego, poleżeć sobie w łóżku tak długo, jak mi się zechce, a potem pójść do Central Parku i resztę dnia przeleżeć na trawie, na najgęstszej trawie, jaką uda mi się znaleźć w tej wyłysiałej, nędznej pustyni, pełnej sztucznych stawów z kaczkami.

Oświadczyłam więc Doreen, że nie zamierzam iść ani na rewię, ani na obiad, ani na premierę, że nie myślę również o wycieczce na Coney Island, ale zostaję w łóżku.

Po wyjściu Doreen zaczęłam rozważać, dlaczego nagle odechciało mi się robienia tego wszystkiego, co do mnie należy. Rozmyślania te zmęczyły mnie i zasmuciły. A potem zaczęłam się zastanawiać, dlaczego nie chce mi się nawet robić – tak jak Doreen – rzeczy zakazanych. Myślenie o tym zmęczyło i zasmuciło mnie jeszcze bardziej.

Nie miałam pojęcia, która jest godzina. Z korytarza dochodziły głosy dziewcząt, które zwoływały się i wybierały na rewię futer. Po pewnym czasie zapanowała cisza. Leżałam w łóżku, gapiąc się w pusty biały sufit i zdawało mi się, że cisza rośnie z sekundy na sekundę, że

za chwilę pękną mi od tego bębenki. I wtedy zadzwonił telefon.

Przez chwilę przyglądałam mu się, nie podnosząc słuchawki, która za każdym dzwonkiem unosiła się lekko na widełkach, co upewniało mnie, że telefon rzeczywiście dzwoni. Pomyślałam, że pewnie dałam swój numer jakiemuś nieznanemu w czasie którejś z potańcówek i zupełnie o tym zapomniałam. Odebrałam telefon i głębokim, przymilnym głosem powiedziałam:

– Halo?

– Dzień dobry – w słuchawce rozległ się energiczny głos Jotki. – Czy zamierza pani pokazać się dzisiaj w redakcji?

Opadłam na poduszki. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego Jotka stawia mi takie dziwne pytanie. Czemu miałabym się pokazać w redakcji? Otrzymujemy codziennie powielany plan dnia z rozkładem zajęć, a wszystkie niemal imprezy odbywają się poza redakcją. Nie wszystkie zresztą są przymusowe.

Nastąpiła dłuższa pauza. Wreszcie powiedziałam cicho:

– Zdawało mi się, że mamy dziś rewię futer.

Ale Jotka zażądała – opowiadałam teraz Betsy – żebym przyszła do redakcji, że chce ze mną pomówić i dać mi pewną robotę.

– Ach, tak – Betsy kiwała głową ze współczuciem.

Musiała zauważyć, że łyżką kapią mi prosto w talerz pełen bez, kremu i lodów, bo podsunęła mi swój deser. Skończyłam swój i zaraz zabrałam się do porcji Betsy.

Było mi trochę głupio z powodu tych łez, ale nie mogłam się od nich powstrzymać. Bo Jotka powiedziała mi wiele okropnych rzeczy.

Kiedy około dziesiątej rano weszłam do jej gabinetu, podniosła się zza biurka, zamknęła drzwi, kazała mi usiąść w obrotowym fotelu przed maszyną do pisania, a sama opadła z powrotem na swój fotel obrotowy i oparła łokcie na biurku. Patrzyłyśmy na siebie przez dłuższą chwilę. Tropikalne rośliny doniczkowe wyrastały zza pleców Jotki. Mała džungla na okiennym parapecie.

– Esther, praca u nas nie interesuje pani, prawda?

– Ależ tak, naturalnie, że mnie interesuje! – zawołałam.

– Interesuje mnie szalenie! – Miałam ochotę wrzeszczeć na cały głos, ale powstrzymałam się.

Zawsze wmawiałam sobie, że nauka, pisanie i w ogóle wszelka praca jest moim nadrzędnym celem życiowym, zresztą chyba i tak było. W szkole miałam dobre wyniki, najwyższe stopnie ze wszystkiego, a kiedy dostałam się na studia do college'u, zdawało mi się, że nic już nie powstrzyma mojej kariery życiowej.

Byłam korespondentką lokalnego dziennika „Gazette”, redaktorką szkolnego magazynu literackiego, sekretarką Komitetu Honorowego, który zajmował się rozpatrywaniem przekroczeń akademickich i towarzyskich oraz wyznaczaniem kar. Słynna poetka, która wykładała w naszym college'u, poparła moją kandydaturę na studium doktoranckie w pierwszorzędnej uczelni na Wschodnim Wybrzeżu, przyrzekano mi kilka

stypendiów, a jeszcze, na dodatek, otrzymałam praktykę w znakomitym, intelektualnym magazynie kobiecym, więc czemu, pytała Jotka, czemu dąsam się i brykam jak narowista klacz?

– Kiedy mnie tu wszystko bardzo interesuje.

– Słowa te pacnęły na blat biurka Jotki jak krowie placki.

– A to mnie cieszy – odparła Jotka nieco uszczypliwie.

– Przez taki miesiąc można się u nas nauczyć bardzo wiele, jeżeli się tylko zakąszę rękawy. Dziewczyna, która pracowała tu przed panią, nie marnowała czasu na żadne tam pokazy futer i została prosto od nas zaangażowana przez „Time”.

– No, no! – odezwałam się tak samo grobowym tonem.

– To jej się udało. Tak szybko!

– Oczywiście, czeka panią jeszcze rok college'u – Jotka wyraźnie zmiękła – ale niech mi pani powie, jakie są pani plany na przyszłość.

Zdawało mi się do tej chwili, że moim głównym celem jest zdobycie dobrego stypendium i studiowanie na jakiejś słynnej uczelni amerykańskiej albo zdobycie pieniędzy na podróż edukacyjną po Europie. Potem zamierzałam zostać wykładowcą, pisać wiersze, wydawać je w tomikach, a może nawet objąć posadę redaktora jakiegoś pisma literackiego. Dotychczas umiałam opowiadać o moich planach bez zajknięcia.

– Sama nie wiem – usłyszałam teraz własny głos. Kiedy wyrzuciłam z siebie te słowa i gdy dotarły one do

mojej świadomości, z przerażeniem stwierdziłam, że mówię prawdę.

Zrozumiałam od razu, że prawda ta wymknęła mi się mimo woli. Było tak, jak gdyby jakiś podejrzany osobnik wałęsał się przed moim domem przez kilka lat i nagle pewnego dnia podszedł do mnie, przedstawił się i oświadczył, że jest moim ojcem, po czym okazałoby się, że jestem do niego podobna jak dwie krople wody, natomiast człowiek, którego przez całe życie uważałam za rodzzonego ojca, jest zupełnie obcym facetem.

– Sama nie wiem.

– W ten sposób pani daleko nie zajedzie – oświadczyła Jotka. – Jakie pani zna języki?

– Czytam trochę po francusku, no i zawsze chciałam się uczyć niemieckiego. – Od dobrych pięciu lat opowiadałam wszystkim, że pragnę się nauczyć niemieckiego.

Moja matka mówiła tym językiem przez całe swoje dzieciństwo i w czasie pierwszej wojny światowej dzieci w szkole obrzuciły ją z tego powodu kamieniami. Mój ojciec, który zmarł, gdy miałam dziewięć lat, także mówił po niemiecku, przyjechał do Ameryki z jakiegoś maniakalno-depresyjnego miasteczka w sercu Prus. Mój młodszy brat znajdował się w tej chwili w Berlinie, w Ośrodku Eksperymentalnym Współżycia Międzynarodowego, i posługiwał się niemieckim jak rodowity Niemiec.

Nikommu jednak nie mówiłam, że ilekroć biorę do ręki

słownik niemiecki albo jakąś niemiecką książkę, sam widok tych gęstych, czarnych, jakby z drutu kolczastego skręconych liter sprawia, że moja mózgowica zamyka się jak maź.

– Myślę, że najlepiej odpowiadałaby mi praca w jakimś wydawnictwie – usiłowałam uchwycić nić, która przywiodłaby mnie z powrotem do mojej dawnej, żywiołowej, przekonywającej osobowości. – Może złożę podanie o pracę u jednego z wydawców?

– Powinna pani najpierw iść na kurs francuskiego i niemieckiego – ciągnęła Jotka bezlitośnie – a może i paru innych języków. Hiszpański jest przydatny, włoski też, ale najważniejszy chyba rosyjski. Co roku w czerwcu napływa do Nowego Jorku z prowincji kilkaset dziewcząt. Każda z nich chce zostać redaktorką. Trzeba mieć jakąś nadwyżkę do zaofiarowania pracodawcy. Niech się pani weźmie do języków.

Nie miałam serca, żeby powiedzieć Jotce, iż w moim rozkładzie zajęć na następny rok nie ma ani jednej wolnej godziny na naukę języków. Zapisalam się na specjalny kurs honorowy, którego celem było wyrabianie w studentach samodzielnego myślenia. Z wyjątkiem serii wykładów o Tołstojem i Dostojewskim, chciałam poświęcić cały swój czas na pisanie analizy jakiegoś absolutnie niezrozumiałego wątku z któregoś dzieła Jamesa Joyce'a. Nie wybrałam jeszcze tematu, ponieważ nie przeczytałam *Finnegan's Wake*, ale mój profesor był już bardzo przejęty projektem mojej pracy i przyrzekł, że

da mi wskazówki, które ułatwią interpretację tekstów związanych z problemem bliźniąt.

– Zobaczę, co się da zrobić – przyrzekłam Jotce. – Może uda mi się wcisnąć w mój rozkład zajęć przyspieszony, elementarny kurs niemieckiego. – Miałam rzeczywiście taki zamiar i byłam niemal pewna, że uda mi się uzyskać zgodę mojego opiekuna roku. Była to kobieta. Łatwo ulegała moim prośbom i pozwalała mi na różne wyskoki. Traktowała mnie jak eksperymentator królika doświadczalnego.

W college'u musiałam zrobić kurs fizyki i chemii. Już przedtem zaliczyłam botanikę, z bardzo dobrym wynikiem. Nie oblałam ani jednego testu i przez pewien czas myślałam poważnie o tym, żeby się poświęcić botanice, a w szczególności badaniom nad dziką roślinnością Afryki albo tropikalnymi lasami Ameryki Południowej, ponieważ dla takich rzadkich dyscyplin łatwiej jest o dobre stypendia niż na przykład na studiowanie historii sztuki we Włoszech czy literatury angielskiej w Anglii. Po prostu nie ma tylu konkurentów.

Botanika podobała mi się. Szalenie lubiłam preparować liście i oglądać je pod mikroskopem, rysować schematy pleśni albo obserwować dziwne listki w kształcie serca, które mają jakiś związek z rozwojowym cyklem paproci; wydawało mi się to po prostu szalenie prawdziwe.

Ale pierwszy wykład z fizyki był dla mnie istnym koszmarem.

Przy tablicy stał niski, ciemnoskóry człowiek o

cienkim, sepleniącym głosiku, ubrany w przyciasne granatowe ubranie. Nazywał się pan Manzi. W rękach trzymał niewielką drewnianą kulę. Położył tę kulę na szczyt rowkowanej równi pochyłej i puścił ją. Poleciała w dół. Potem zaczął mówić, że jeżeli założyć, iż „a” to przyspieszenie, a „c” – czas, wówczas... i zaczął szybko pisać na tablicy różne liczby i znaki równania, a ja się po prostu wyłączyłam.

Zabrałam podręcznik fizyki do swojego pokoju. Było to ogromne tomisko, złożone z porowatych kartek cienkiego papieru do powielania – czterysta bitych stron bez rysunków czy fotografii, ale za to pełne wykresów i równań – oprawne w gruby, czerwony karton. Tom ten był dziełem pana Manziego i miał wprowadzić studentki naszego college'u w podstawowe zasady fizyki. Pan Manzi zakładał, że jeżeli podręcznik sprawdzi się na nas, to łatwiej mu będzie znaleźć wydawcę.

Uczyłam się więc równań, chodziłam pilnie na wykłady, patrzyłam, jak drewniane kulki zjeżdżają z równi pochyłej, i słuchałam, jak dzwonki dzwonią, i kiedy skończył się semestr, wszystkie dziewczyny oblały egzamin, a ja dostałam piątkę. Pan Manzi opowiadał dziewczętom, które skarżyły się, że wykłady są za trudne:

– Nic podobnego. Najlepszym dowodem jest to, że jedna z was zdała na piątkę.

– Która, proszę nam powiedzieć – domagały się.

Ale pan Manzi tylko potrząsał głową, uśmiechał się słodko i rzucał mi porozumiewawcze spojrzenia.

Głównie dlatego postanowiłam wykręcić się z chemii w następnym semestrze. Dostałam wprawdzie piątkę z fizyki, ale za to ogarnęła mnie panika. Fizyka działała na mnie przez ten cały semestr wprost fatalnie. Sprowadzenie skomplikowanych zjawisk do kilku liter i cyfr było nie do zniesienia. Zamiast szkiców liści i rysunków, przedstawiających w dużej skali otwory, przez które te liście oddychają, albo takich fascynujących wyrazów jak karoten czy ksantofil, na tablicy ukazywały się koszmarnie, pokręcone, skorpionopodobne równania, pisane specjalną, czerwoną kredą.

Wiedziałam, że chemia będzie jeszcze gorsza. Byłam tego nawet pewna, bo widziałam na ścianie w laboratorium tablicę ponad dziewięćdziesięciu pierwiastków, na której takie ładne i proste słowa, jak złoto, srebro, kobalt czy aluminium, zostały w ohydny sposób skrócone i jeszcze na dodatek opatrzone cyfrą. Wiedziałam, że jeżeli każą mi to wszystko wpakować do mózgowicy, dostanę w końcu kręcka i obleję egzamin. Przeżyłam to półrocze jedynie dzięki kolosalnemu wysiłkowi woli.

I wtedy udałam się do opiekunki roku z zupełnie szatańskim planem.

Powiedziałam jej, że muszę mieć czas na kurs z Szekspira – bo przecież miałam robić dyplom z literatury angielskiej, a nie z fizyki czy chemii. Powiedziałam jej też, że obydwie wiemy doskonale, że jeżeli się postaram, to dostanę piątkę z chemii, więc zdawanie egzaminu jest

bezsensowne. Czy nie mogłabym po prostu chodzić na wykłady z chemii bez zdawania egzaminów i kolokwiów? Jesteśmy wszyscy ludźmi honoru, potraktujmy więc rzecz jak sprawę honorową. Treść jest ważniejsza od formy, stopnie nie mają w gruncie rzeczy żadnego znaczenia, szczególnie kiedy się wie, że i tak dostanie się piątkę. Plan mój miał szanse powodzenia, ponieważ od następnego roku studenci, którzy robili dyplom z literatury, mieli być zwolnieni z przedmiotów ścisłych. Byliśmy więc ostatnią grupą, której to jeszcze nie dotyczyło.

Pan Manzi odniósł się przychylnie do mojego projektu. Pochlebiało mu, sędzę, że tak bardzo lubię jego wykłady i zamierzam uczęszczać na nie, mimo że nie spodziewam się żadnego stopnia. Myślał zapewne, że jestem po prostu urzeczona pięknem samego przedmiotu. Uważałam mój pomysł za genialny. Zdawać z Szekspira, a mimo to uczęszczać na wykłady z chemii. Ten całkowicie niepotrzebny gest wskazywał, że chemią jestem po prostu zafascynowana. Nikt by się oczywiście na to nie zgodził, gdybym nie miała piątki z fizyki. Ach, gdyby moja opiekunka roku wiedziała, jak bardzo przerażały i przygnębiały mnie te przedmioty i jakie desperackie pomysły przychodziły mi do głowy, żeby się od nich wykręcić – zamierzałam na przykład iść do lekarki i poprosić, żeby mi dała zaświadczenie stwierdzające, że nie nadaję się do studiowania chemii i fizyki. Jestem pewna, że nawet by mnie nie wysłuchała i odrzuciłaby

moją prośbę bez litości.

Tymczasem rada pedagogiczna załatwiła moje podanie przychylnie, a opiekunka roku powiedziała mi później, że wielu profesorów wypowiedziało się ze wzruszeniem na temat mojej postawy. Oceniali ją jako prawdziwy dowód dojrzałości intelektualnej.

Kiedy teraz myślałam, jak upłynęła mi reszta roku akademickiego, chciało mi się śmiać. Przez pięć dni w tygodniu chodziłam na wykłady z chemii. Nie opuściłam ani jednego. Pan Manzi stał przy tablicy w naszej starej, wielkiej, odrapanej sali wykładowej, pośród błękitnych płomyków, czerwonych języczków ognia, w kłębach żółtej pary, unoszącej się z płynów, jakie przelewał z ręcznie z jednej probówki do drugiej, a ja zamykałam uszy na jego słaby cienki głosik, wmawiałam sobie, że to po prostu bzykanie komara, cieszyłam się widokiem kolorowych płomyków i wypełniałam stronice brulionu sonetami i sielankami.

Pan Manzi patrzył od czasu do czasu w moją stronę, a kiedy stwierdzał, że piszę w brulionie, rzucał mi ciepłe, nieśmiałe, pełne sympatii spojrzenie. Był przekonany, że zapisuję te wszystkie jego równania i definicje, nie – jak inne dziewczęta – po to, żeby zdać egzamin, ale tylko dlatego, że jestem autentycznie zafascynowana jego wykładem.

Rozdział 4

Zupełnie nie wiem, dlaczego moja ucieczka od chemii przypomniała mi się akurat teraz, w gabinecie Jotki.

Podczas gdy mówiła do mnie, widziałam pana Manziego unoszącego się w powietrzu nad głową Jotki, jak coś wyczarowanego z kapelusza prestidigitatora. Trzymał w rękach drewnianą kulę i probówkę, z której wydobywały się gęste kłęby żółtego dymu, śmierdzącego jak zgniłe jajo. Pamiętam go, jak wykonywał ten eksperyment na ostatnim przed przerwą wielkanocną wykładzie. Wszystkie dziewczęta śmiały się do rozpuku. Pan Manzi również.

Zrobiło mi się strasznie przykro, zawstydziłam się, miałam ochotę paść na kolana i przeprosić pana Manziego za to, że go tak ohydnie nabrałam. Jotka wręczyła mi kilka manuskryptów i zaczęła mówić znacznie łaskawszym tonem. Resztę tego przedpołudnia spędziłam na ich lekturze. Wystukiwałam na maszynie krótkie recenzje na specjalnym, różowym papierze, służącym do korespondencji wewnętrznej. Posłałam je wszystkie do redakcji szefa Betsy. Betsy miała je przeczytać następnego dnia i wyrazić opinię. Od czasu do czasu Jotka przerywała mi robotę, żeby dać jakąś praktyczną wskazówkę lub opowiedzieć redakcyjną plotkę.

Jotka wybierała się tego dnia na lunch z dwojgiem słynnych pisarzy, mężczyzną i kobietą. Mężczyzna

właśnie umieścił sześć opowiadań w tygodniku „New Yorker”, a sześć sprzedał Jotce. Wiadomość ta zaskoczyła mnie nieco, ponieważ nie wiedziałam, że magazyny zakupują opowiadania na tuziny, a poza tym byłam okropnie przejęta myślą o ilości pieniędzy, jaką ten autor zarobił. Jotka zwierzyła mi się, że będzie musiała być szalenie ostrożna w czasie tego lunchu, ponieważ ta pisarka również specjalizuje się w krótkich opowiadaniach, ale jeszcze nic nie sprzedała do „New Yorkera”, a Jotka wzięta od niej zaledwie jedno opowiadanie w ciągu ostatnich pięciu lat. Jotka zamierzała więc tak manewrować, żeby wyrażając swój zachwyt słynnemu autorowi, nie obrazić jednocześnie słynnej autorki.

Cherubinki na zegarze Jotki zaczęły wymachiwać skrzydełkami, podnosić do ust srebrne trąbki i wydały z siebie dwanaście rytmicznych dźwięków. Jotka oświadczyła stanowczym tonem, że koniec pracy na dziś, kazała mi iść na obiad do „Dnia Kobiety”, na bankiet i premierę filmową i wyraziła nadzieję, że nazajutrz rano zobaczy mnie znowu w redakcji, świeżą i wyspaną.

Następnie nałożyła żakiet na bluzkę koloru lila-róż, wpięła toczek z fiołkowych kwiatów w kok, pospiesznie przypudrowała nos i poprawiła swoje grube okulary. Wyglądała w tym wszystkim okropnie, ale bardzo inteligentnie. Wychodząc, poklepała mnie jeszcze po ramieniu ręką w rękawiczce lilaróż.

– Nie daj się temu przewrotnemu miastu.

Przez kilka minut siedziałam nieruchomo w obrotowym fotelu i oddawałam się rozmyśleniom na temat Jotki. Usiłowałam sobie wyobrazić, jakby to było, gdybym to ja została słynną redaktorką, panną E. G. Spędzałabym całe dni w pięknie umeblowanym gabinecie, pełnym fikusów i afrykańskich fiołków, których codzienne podlewanie należałoby do obowiązków mojej sekretarki. Uświadomiłam sobie nagle, jakby to było dobrze, gdybym miała taką matkę jak Jotka. Wiedziałabym dokładnie, co, jak i kiedy robić.

Bo z własnej matki niewiele miałam pożytku. Od śmierci ojca uczyła stenografii i pisania na maszynie i w ten sposób utrzymywała całą rodzinę. Głęboko w sercu żywiła nienawiść do ojca za to, że umarł i nie zostawił ani grosza, ponieważ nie ufał agentom ubezpieczeniowym. Przez całe życie nalegała, żebym się także nauczyła stenografii po to, bym poza wyższym wykształceniem miała jakiś konkretny zawód.

– Nawet apostołowie szyli namioty – mawiała. – Musieli też z czegoś żyć, jak wszyscy ludzie.

Zanurzyłam czubki palców w miseczce z ciepłą wodą, którą postawiła pomiędzy moje dwa talerzyki po lodach jedna z kelnerek zatrudnionych w „Dniu Kobiety”. Następnie starannie wytarłam każdy palec w lnianą, wciąż jeszcze czystą serwetkę i złożony ją, wsunęłam pomiędzy wargi i mocno je zacisnęłam. Gdy odłożyłam serwetkę na stół, okazało się, że na samym środku

wykwitł różowy znak podobny do małego serduszka.

Pomyślałam, że jednak zaszłam już dość daleko.

Po raz pierwszy w życiu widziałam miseczkę do mycia palców na stole mojej dobrodziejki. Malutka, piegowata kobietka z Wydziału Stypendialnego zawiadomiła mnie, że istnieje zwyczaj korespondowania z osobą, od której otrzymuje się stypendium. To znaczy, oczywiście, jeżeli osoba ta żyje, co zdarza się nader rzadko.

Ja miałam stypendium pani Filomeny Guinei, bogatej powieściopisarki, która skończyła nasz college dobrze przed pierwszą wojną światową. Pierwsza jej powieść została nakręcona jako niemy jeszcze film z Bette Davis w roli głównej, a następnie nagrana jako serial radiowy, który zresztą idzie po dzień dzisiejszy. Okazało się, że pani ta żyje i mieszka w wielkim domu niedaleko klubu, w którym kelnerował mój dziadek.

Napisałam więc długi list czarnym jak węgiel atramentem na szarym welinie, upiększonym nazwą naszej szkoły, w którym opisałam jesienne drzewa, wycieczkę rowerową na pobliskie wzgórze, zapewniałam ją, że studia na prowincji są rzeczą cudowną w porównaniu ze studiami w mieście i że lepiej jest mieszkać z koleżankami niż w rodzicielskim domu, i dodałam, że mam nadzieję, że kiedy dorosnę, będę pisywała książki równie wspaniale jak ona.

Przeczytałam jedną z powieści pani Guinei w miejskiej czytelni – biblioteka college'u z niewiadomych przyczyn ich nie miała – i stwierdziłam, że jest od początku do

końca nafaszerowana szalenie egzaltowanymi pytaniami w rodzaju: „Czy Evelyn zorientuje się, że Gladys znała Roberta jeszcze z dawnych czasów? – zapytał w duchu Hector i poczuł, że burzy się w nim krew”, albo: „Jak Donald mógł się z nią ożenić, skoro wiedział o istnieniu dziecka, dobrze ukrytego u pani Rollmop na samotnej farmie? – zapytywała samą siebie Gryzelda, wtuliwszy głowę w poduszki, na które padało blade światło księżyca”. Dzięki tym powieściom Filomena Guinea, która nieco później sama przyznała mi się, że była bardzo kiepską studentką, została milionerką.

Pani Guinea odpisała na mój list i zaprosiła mnie do siebie na lunch. I tam właśnie zobaczyłam po raz pierwszy w życiu miseczki do mycia palców po deserze.

Na powierzchni wody pływały płatki wiśni, więc myślałam, że to na pewno jakaś dziwna japońska zupa, wypiałam wszystko, do ostatniej kropli, zagryzając jędrnymi płatkami. Pani Guinea słowa nie powiedziała i dopiero znacznie później, kiedy opowiedziałam o tym w college'u jednej debiutantce, zrozumiałam, że się wygłupiłam.

Kiedy, opuściwszy jasno oświetlone wnętrze gmachu „Dnia Kobiety”, znalazłyśmy się na ulicy, okazało się, że pogoda jest pod psem. Było szaro i lało jak z cebra. Nie był to orzeźwiający, rześisty deszcz, taki, co spłukuje wszystko z człowieka, ale coś w rodzaju tropikalnej ulewy. Wyobrażam sobie, że tak właśnie pada w Brazylii. Krople wielkie jak spodki waliły prostopadle z nieba na

ziemię i z sykiem rozbijały się o rozgrzany asfalt ulicy, po czym zamienione w parę wodną kłębiły się nad czarną błyszczącą nawierzchnią.

Marzenie o spędzeniu samotnego popołudnia na trawie Central Parku rozbiło się już w obrotowych drzwiach gmachu „Dnia Kobiety”. Wyrzuciły mnie one na ciepły deszcz i do mrocznego, rozdygotanego brzucha taksówki, gdzie znalazłam się wraz z Betsy, Hildą i Emilią Anną Offenbach, skromną, malutką osobką, odznaczającą się głównie rudym kokiem na czubku głowy i mężem oraz trojgiem dzieci przebywających w miasteczku Teaneck w stanie New Jersey.

Film był kiepski. Główne role grały sympatyczna blondynka, przypominająca June Allyson, ognista brunetka, ładzaco podobna do Elizabeth Taylor, oraz dwaj barczyści młodzieńcy, na których wołano chyba Rick i Gil.

Był to romans futbolowy, na dodatek w technicolorze.

Nienawidzę technicoloru. Jak film jest w technicolorze, aktorzy widocznie czują się zobowiązani do noszenia bardzo jaskrawych ubiorów, zmieniają je do każdej sceny, ustawia się ich jak manekiny pod jaskrawozielonymi drzewami albo na tle kanarkowo-żółtego zboża czy farbkowobłękitnego oceanu, przy czym te bajecznie kolorowe wisty ciągną się kilometrami.

Niemal cała akcja filmu toczyła się na stadionie sportowym, tłumy pań wiewatowały i darły się

wniebogłosy. Każda miała na sobie bardzo elegancki kostium i przypiętą do piersi chryzantemę wielkości główki kapusty. Od czasu do czasu akcja przenosiła się na salę balową, gdzie panny te tańczyły we wspaniałych kolorowych sukniach, wypożyczonych zapewne z rekwizytorni filmu *Przeminęło z wiatrem*, po czym udawały się do toalety, gdzie mówiły sobie różne impertynencje.

Pod koniec zorientowałam się bezbłędnie, że sympatyczniejsza z dwóch dziewcząt na pewno skończy w ramionach sympatyczniejszego z dwóch futbolistów, a druga, bardziej seksowna, zostanie na lodzie, ponieważ jej facet, nie bez słuszności zwany Gilem, przez cały czas chciał ją tylko na kochankę, a nie na żonę, szykował się do wyjazdu do Europy, i to najwyraźniej bez niej.

W tym mniej więcej momencie zaczęło mnie lekko mdlić. Rozejrzałam się, spojrzałam na rzędy pełne zapatrzonych i rozmarzonych głów, z przodu rozświetlonych srebrzystą poświatą ekranu, od tyłu ocienionych, i pomyślałam, że całe to towarzystwo wygląda na bandę matołów.

Chciało mi się rzygać. Nie byłam pewna, czy brzuch boli mnie z powodu tego okropnego filmidla, czy też z nadmiaru kawioru.

– Wracam do hotelu – szepnęłam do Betsy Betsy gapiała się w ekran w całkowitym skupieniu.

– Źle się czujesz? – zapytała ledwie słyszalnym szeptem, nie poruszając niemal ustami.

– Źle – odpowiedziałam. – Cholernie źle.

– Ja też. Pójdę z tobą.

Wysunęłyśmy się z rzędu krzeseł, szepcząc: „Przepraszam, przepraszam, przepraszam”, a ludzie mamrotali coś pod nosem, syczeli, przesuwali swoje buciory i parasolki, żeby nas przepuścić, a ja nadepnęłam na tyle nóg, na ile się tylko dało, bo ta przyjemność chociaż na moment odwracała moją uwagę od przemożnej chęci wyrzygania się, która wzbierała w mojej piersi jak bochen rosnącego drożdżowego ciasta.

Kiedy wreszcie znalazłyśmy się na ulicy, deszcz już ustawał.

Betsy wyglądała okropnie. Rumieńce całkowicie zniknęły z jej policzków, a jej okrągła buzia, zielonkawa i błyszcząca od potu, pływała mi przed oczami jak księżyc w pełni. Kiedy człowiek czeka na rogu na zwykłą taksówkę, to zawsze nawinie mu się limuzyna do wynajęcia – taka z biało-żółtym, wymalowanym na karoserii, kraciastym pasem – nie ma na to rady. Padłyśmy jak kłody na tylne siedzenie i zanim dojechałyśmy do hotelu, Betsy wyrzygała się dwa razy, a ja raz.

Kierowca brał zakręty z takim rozmachem, że najpierw rzucało nas w lewy kąt, a później w prawy. Ta z nas, która miała torsje, nachylała się, jakby jej coś spadło na podłogę, a druga zasłaniała ją, patrząc w okno i nucąc jakąś modną melodię.

Mimo to kierowca zorientował się.

– Hej! – zaprotestował, przyspieszając na czerwonym świetle. – Nie pozwalam brudzić w moim wozie. Możecie wysiąść i robić to na ulicy.

Nie odpowiedziałyśmy, ale na szczęście taksówka zajeżdżała już pod hotel. Przed samymi drzwiami kierowca kazał nam wysiąść.

Brakło nam odwagi, by poczekać, aż podliczy takse, wcisnęłyśmy mu w pośpiechu garść banknotów, rzuciłyśmy kilka chusteczek papierowych na kałużę, pędem puściłyśmy się przez hall i jak nieprzytomne wpadłyśmy do otwartej windy. Była to stosunkowo spokojna pora dnia. Betsy od razu zwymiotowała w windzie, więc pottrzymałam jej głowę, a potem przyszła moja kolej, więc ona pottrzymała moją.

Normalnie po takich wymiotach człowiek czuje się z miejsca lepiej, więc uściskałyśmy się i każda poszła do swojego pokoju na przeciwległe krańce korytarza. Wspólne rzyganie, jak mało co, robi z ludzi wiernych przyjaciół.

Jednakże, kiedy zamknęłam za sobą drzwi, rozebrałam się i runęłam na łóżko, zrobiło mi się jeszcze gorzej niż w kinie. Czułam też, że muszę czym prędzej lecieć do ubikacji. Nałożyłam więc biały szlafrok w duże chabry i zataczając się, poszłam przez korytarz do łazienki.

Zastałam tam już Betsy. Zza zamkniętych drzwi słychać było jej żalosne jęki, więc pospiesznie udałam się do innej łazienki. Byłam pewna, że umieram, i droga wydała mi się bezgranicznie daleka.

Usiadłam wreszcie na sedesie, oparłam czoło o brzeg umywalki i pomyślałam, że uchodzi ze mnie nie tylko cały obiad, ale wszystkie jelita. Mdłości przewalały się we mnie gigantyczną falą. Po każdym ataku opadałam, mokra jak liść na deszczu, roztrzęsiona jak osika, ale po chwili fala wracała, białe kafłowe ściany mojej sali tortur zbliżały się i ścieśniały, grożąc zmiżdżeniem mnie.

Nie wiem, jak długo to trwało. Puściłam zimną wodę do umywalki pełnym prądem, tak by dziewczyny w razie czego myślały, że robię sobie przepierkę, a po pewnym czasie położyłam się na wznak na podłodze i leżałam bez ruchu.

Majaczyło mi się, że nadeszła zima. Mróz przenikał mnie do szpiku kości, szczękałam zębami, a wielkie białe prześcieradło kąpielowe leżało pod moją głową jak całun śniegu.

Co to za maniery, żeby walić pięściami w drzwi łazienki, pomyślałam, cóż to za okropnie wychowana osoba? Przecież na każdym korytarzu jest łazienka, niech sobie tam idzie, jak jej się spieszy, a mnie proszę zostawić w spokoju. Ale ta nieszczęsna ofiara losu nie przestawała walić w drzwi i zaklinać mnie, żebym ją wpuściła, a po chwili wydało mi się nawet, że poznaję jej głos. Coś jakby Emilia Anna Offenbach, ale niezupełnie.

– Chwileczkę – powiedziałam wreszcie nie bez trudu, bo miałam zupełnie sklezione usta.

Zmobilizowałam się, powoli stanęłam na nogach,

spuściłam wodę w klozecie po raz dziesiąty, wymyłam szczotką miskę i zwinęłam ręcznik, żeby nie było widać plam po rzygowinach, po czym otworzyłam drzwi łazienki i wyszłam na korytarz.

Wiedziałam, że będzie nieszczęście, jeżeli spojrzę prosto w twarz Emilii Annie albo komukolwiek, więc utkwiłam tępy wzrok w okno, które rozpływało się mętnie w samym końcu korytarza. Potem wysunęłam naprzód jedną nogę.

Następną rzeczą, jaka wpłynęła na orbitę mojego wzroku, był but.

Półbucik z lekko popękanej czarnej skóry, znoszony i ozdobiony półkolistym wzorkiem z malutkich dziurek, dobrze wyglansowany i skierowany czubkiem w moją stronę. Stał na zielonej, twardej powierzchni, która także napierała na mój prawy policzek.

Leżałam bez ruchu i czekałam na jakiś znak, który by mi pomógł zorientować się w sytuacji. Nieco w prawo od czarnego buta był skrawek ręcznikowego materiału w chabry. Widok ten wzruszył mnie do łez, bo zorientowałam się, że to rękaw mojego własnego szlafroka i że na jego końcu widnieje moja własna ręka, biała jak brzuch śniętego dorsza.

– Zaczyna przychodzić do siebie.

Ten racjonalny i beznamiętny głos docierał do mnie z wysoka. Przez moment wydawał mi się znajomy, ale nie mogłam go zidentyfikować. Był to bowiem głos męski, a

przecież mężczyznom wstęp do naszego hotelu był wzbroniony o jakiegokolwiek porze dnia czy nocy.

– Ile jest jeszcze tych przypadków?

Słuchałam z zainteresowaniem. Podłoga stała się moją ostoją, a myśl o tym, że już na niej leżę i dalej spaść nie mogę, stanowiła wielką pociechę.

– Jedenaście, o ile się nie mylę – odpowiedział głos kobiecy, ten, co skojarzył mi się z czarnym półbucikiem.

– Zdaje się, że jest ich jedenaście, ale jedna jeszcze nie wróciła, więc chyba mamy dziesięć chorych.

– No dobra, niech ją pani położy do łóżka, a ja zajmę się resztą.

W moim prawym uchu stuknęło kilka razy: bum, bum, głośno, a potem coraz ciszej i ciszej. Usłyszałam dźwięk otwierających się w oddali drzwi, głosy i jęki, trzask drzwi zamykanych i ciszę.

Dwie ręce wśliznęły mi się pod pachy i głos kobiecy znowu się odezwał:

– No, chodź już, córeczko, zaraz ci będzie lepiej – po czym niesiono mnie korytarzem, widziałam rzędy drzwi, dużo, dużo drzwi, jedne otworzyły się i to był mój pokój.

Właścicielka czarnych półbucików pomogła mi się ułożyć w rozścielonym łóżku, nakryła mnie aż pod szyję i usiadła na chwilę w fotelu, żeby odsapnąć. Wachlowała się tłustą, różową dłonią. Na nosie miała okulary w złotej oprawie, a na głowie biały czepeczek pielęgniarce.

– Kim pani jest? – zapytałam słabym głosem.

– Jestem pielęgniarce hotelową.

– Co się ze mną dzieje?

– Zatrucie – odpowiedziała krótko. – Ciężkie zatrucie. Wszystkie co do jednej strułyście się jakimś świństwem. Jak żyję, nie widziałam czegoś podobnego. We wszystkich pokojach na całym piętrze... Czym żeście się, panienki, objadły, chciałabym wiedzieć?

– Czy one wszystkie wymiotują? – zapytałam głosem pełnym nadziei.

– Wszystkie jak jeden mąż – potwierdziła nie bez satysfakcji. – Wymiotują jak nie wiem co i wzywają swoje mamusie.

Pokój kołysał się łagodnie, jak gdyby krzesła, stoły i ściany stały się nieważkie ze współczucia dla mojej nieszczęsnej osoby.

– Doktor dał pani zastrzyk – zapewniła mnie pielęgniarka. – Zaraz pani zaśnie.

A potem na miejscu pielęgniarki znalazły się drzwi, zasłoniwszy jej sylwetkę jak duży, gładki kawał tektury. Po chwili jeszcze większy kawał tektury zakrył drzwi, a ja powoli płynęłam ku nim. Uśmiechnięta i szczęśliwa, kołysałam się do snu.

Jakaś osoba z białym kubkiem w ręku stała u mojego wezgłowia.

– Wypij to.

Potrząsnęłam głową. W poduszce zachrobotąło jak w stogu siana.

– Wypij to, zaraz się lepiej poczujesz.

Gruby, porcelanowy kubek zbliżył się do moich ust. Przyglądałam się uważnie przezroczystemu, bursztynowemu płynowi. Było mroczno. Wieczór, noc? Oka roztopionego masła pływały po wierzchu, lekki rosołowy aromat łechtął mi nozdrza.

Powoli, ostrożnie przeniosłam wzrok na spódnicę osoby trzymającej kubek.

– Betsy.

– Żadna tam Betsy. To ja.

Wtedy otworzyłam szeroko oczy i zobaczyłam głowę Doreen, ciemną na tle jaśniejącego okna. Jej jasne włosy, oświetlone od tyłu, tworzyły dokoła niej coś w rodzaju aureoli. Twarz znajdowała się jednakże w cieniu, więc nie mogłam nic na niej odczytać, ale z palców Doreen emanowała ogromna troskliwość. Mogły to być palce Betsy, palce mojej matki, a może nawet pachnące paprocią ręce pielęgniarki hotelowej.

Nachyliłam głowę i łyknęłam trochę rosołu. Miałam szorstkie podniebienie, jakby pełne piasku. Drugi łyk, potem trzeci, czwarty, aż kubek był pusty.

I zaraz poczułam się oczyszczona, niewinna, święta, gotowa do podjęcia nowego życia.

Doreen odstawiła kubek na parapet i opadła na fotel. Zdziwiło mnie, że nie ma w ręku papierosa, bo była przecież nałogową palaczką.

– Wiele nie brakowało, a wyciągnęłabyś nam nóżki – powiedziała po chwili.

– To pewnie przez te wielkie ilości kawioru.

– Żaden tam kawior! Sałatka z krabów. Zrobili analizy i stwierdzili, że było w niej pełno ptomainy.

Oczami duszy widziałam nieskazitelne kuchnie eksperymentalne „Dnia Kobiety”, ciągnące się w nieskończoność. Na stołach całe rzędy połówek awokado, nadzianych sałatką z krabów w majonezie. Fotografowano je ze wszystkich możliwych kątów, oświetlano jaskrawymi jupiterami. Biało-różowe szyjki krabów wyłaniały się spod puszystej kołderki majonezu, a jasnożółte i apetyczne połówki tego rajskiego owocu w krokodyl owo zielonej skórce służyły sałatce za aromatyczne pojemniczki.

Trucizna!

– Kto przeprowadził analizę? – Myślałam, że doktor pewnie wypompował jednej z nas żołądek i poddał jego treść analizie laboratoryjnej.

– Te lale z „Dnia Kobiety”. Jak zaczęłyście się tu przewracać niby kęgle, ktoś zadzwonił do redakcji, redakcja zadzwoniła do kuchni eksperymentalnej, a tam od razu zrobiono badania wszystkiego, co pozostało z bankietu. Cha! Cha!

– Cha! Cha! – zaśmiałam się w odpowiedzi.

Obecność Doreen pocieszyła mnie od razu.

– Przysłali kupę prezentów. Na korytarzu stoi całe wielkie pudło.

– Tak szybko?

– Specjalną przesyłką ekspresową, moje dziecko, a co ty sobie wyobrażasz? Przecież nie mogą sobie pozwolić

na to, żebyście latały po mieście i opowiadały, jakeście się struły we wzorowej eksperymentalnej kuchni „Dnia Kobiety”. Gdybyś знаła dobrego adwokata, mogłabyś ich skarżyć o odszkodowanie i dostałabyś grube pieniądze.

– Jakie są te prezenty? – Pomyślałam, że jeżeli mój prezent jest coś wart, to ta cała afera może się opłacić, szczególnie że czułam się taka czysta i odrodzona.

– Nikt jeszcze tego pudła nie otworzył, dziewczyny leżą jak kłody w łózkach. Kazali mi roznosić rosół, bo tylko ja jestem na nogach. Ciebie obsłużyłam pierwszą.

– Zobacz, co to za prezent – zażądałam. Przypomniało mi się coś i dodałam: – Ja też mam coś dla ciebie.

Doreen wyszła na korytarz. Przez dobrą minutę słycać było szelest papieru, wreszcie powróciła, trzymając w rękach grube tomisko w kolorowej, błyszczącej oprawie, zadrukowanej licznymi nazwiskami.

– *Trzydzieści najlepszych opowiadań roku.* – Rzuciła mi książkę na kolana. – Jest tam jeszcze jedenaście egzemplarzy tego arcydzieła. Przypuszczam, że to literatura w sam raz dla chorych. Ale zaraz, gdzie jest ten prezent dla mnie?

Wyjęłam z torebki lusterko z jej imieniem i wianuszkim stokrotek i wyciągnęłam rękę. Spojrzałyśmy na siebie i wybuchnęłyśmy śmiechem.

– Mogę ci dać mój rosółek, jeżeli chcesz – zaofiarowała się. – Postawili na tacę przez omyłkę jedenaście kubków, ale Lenny i ja tak opchaliśmy się parówkami z musztardą, kiedy czekaliśmy, żeby przestało

padać, że nie mogłabym już niczego przełknąć.

– Dawaj ten rosół – zażądałam. – Umieram z głodu.

Rozdział 5

Nazajutrz o siódmej rano zadzwonił telefon.

Powoli wypływałam na powierzchnię czarnego jak smoła snu. Otrzymałam już depeszę od Jotki, którą wetknęłam w ramę lustra. Wyrażała nadzieję, że wkrótce całkowicie wydobrzeję, słowa współczucia z powodu niefortunnego wypadku i prośbę, żebym nie przychodziła do pracy, dopóki nie odzyskam sił. Nie miałam więc zielonego pojęcia, kto mógłby do mnie dzwonić.

Wyciągnęłam rękę spod kołdry, podniosłam słuchawkę, oparłam ją o prawy obojczyk i powiedziałam:

– Halo?

– Czy to panna Esther Greenwood? – zabrzmiał piękny baryton z nikłą nutką cudzoziemskiego akcentu.

– Tak jest, oczywiście.

– Tu mówi Konstanty Taki-to-a-taki.

Absolutnie nie mogłam zrozumieć jego nazwiska, pełno w nim było liter s i k, poza tym w życiu nie znałam żadnego Konstantego, ale nie miałam serca, żeby go rozczarować.

Po sekundzie przypomniała mi się jednak pani Willard i jej tłumacz kabinowy z ONZ.

– Ależ, oczywiście, oczywiście! – krzyknęłam, usiadłam i oburącz ujęłam słuchawkę. Nigdy nie przypuszczałam, że dzięki pani Willard poznam człowieka o imieniu Konstanty.

Od dawna kolekcjonowałam mężczyzn o interesujących imionach. Znałam już jednego Sokratesa. Był wysoki, brzydki i piekielnie inteligentny, syn słynnego hollywoodzkiego producenta filmowego, ale, niestety, katolik, co przesądzało sprawę zarówno dla niego, jak i dla mnie. Poza Sokratesem znałam jeszcze Rosjanina imieniem Attyła. Był studentem bostońskiej Akademii Handlowej.

Z trudem zmobilizowałam się, żeby zrozumieć, o co chodzi temu Konstantemu. Po prostu chciał się ze mną umówić na dzisiejsze popołudnie.

– Czy chciałaby pani obejrzeć gmach ONZ dziś, późnym popołudniem? – zapytał.

– Kiedy ja go doskonale widzę stąd – zachichotałam prawie histerycznie.

Był wyraźnie zaskoczony.

– Z mojego okna – wyjaśniłam, w przekonaniu, że moja angielszczyzna jest dla niego niezrozumiała.

Zapanowało milczenie.

– A czy zgodziłaby się pani pójść ze mną potem na małą kolacyjkę? – powiedział po chwili.

Rozpoznałam z miejsca słownictwo pani Willard i ręce mi opadły. Pani Willard z reguły zapraszała ludzi na małe kolacyjki. Przypomniało mi się, że ten Konstanty Taki-to-a-taki zaraz po swoim przyjeździe do Ameryki często bywał u Willardów, bo pani Willard należała do organizacji, której członkowie przyjmowali przyjezdnych cudzoziemców w swoich domach, a za to, na zasadzie

wymiany, podejmowani byli później przez nich w ich własnych krajach.

Zrozumiałam w lot, że pani Willard po prostu przehandlowała swoją kolację w Związku Radzieckim za małą kolacyjkę dla mnie w Nowym Jorku.

– Owszem, chętnie pójde na małą kolacyjkę – zgodziłam się. – O której chciałby pan po mnie wstąpić?

– Przyjadę po panią samochodem o godzinie drugiej – zaproponował. – Hotel „Amazonka”, prawda?

– Tak.

– Wiem, gdzie to jest.

Przez chwilę wydawało mi się, że jest w jego tonie jakaś specjalna, dość dwuznaczna nuta, ale zaraz sobie pomyślałam, że zapewne wiele sekretarek z ONZ mieszka w „Amazonce” i że pewnie nieraz odprowadzał je do domu. Pozwoliłam mu pierwszemu odwiesić słuchawkę, a potem też odłożyłam swoją na widełki i wtuliłam się z powrotem w poduszki. Czułam się nie najlepiej.

Ale zaraz zaczęłam snuć marzenia o mężczyźnie, który kocha mnie od pierwszego wejrzenia, i to zupełnie bezinteresownie. Konstanty proponował mi wprawdzie tylko rutynową wycieczkę po gmachu Narodów Zjednoczonych, zakończoną oenzetowskim sandwiczem, ale przecież każdemu wolno marzyć.

Leżałam i dodawałam sobie otuchy.

Tłumacz kabinowy pani Willard okaże się na pewno facetem niskim, krępy i brzydkim, równie nieatrakcyjnym jak Buddy Willard. Myśl ta sprawiała mi

wyraźną satysfakcję. Pogardzałam Buddym Willardem i chociaż wszyscy byli absolutnie przekonani, że zamierzam wyjść za niego za mąż, jak tylko wypuszczą go z sanatorium dla gruźlików, to ja już dawno wiedziałam, że nie zrobiłabym tego, nawet gdyby się okazało, że Buddy jest ostatnim mężczyzną na kuli ziemskiej.

Albowiem Buddy Willard był hipokrytą.

Na początku naszej znajomości nie wiedziałam, oczywiście, że jest hipokrytą. Odwrotnie, byłam przekonana, że jest to najwspanialszy chłopiec świata. Uwielbiałam go na odległość przez pięć lat, zanim w ogóle na mnie spojrzał, a potem przeżyłam cudowne chwile. Wciąż go uwielbiałam, ale on już zaczął zwracać na mnie uwagę, przyglądał mi się częściej i częściej, a kiedy wszystko było już na dobrej drodze, odkryłam – i to zupełnie przypadkowo – że jest to okropny hipokryta. A teraz, kiedy chciał się ze mną za wszelką cenę ożenić, po prostu go znienawidziłam.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że nie mogłam wystąpić po prostu i powiedzieć, co o nim myślę, bo jak na złość właśnie wtedy, kiedy zamierzałam to zrobić, złapał gruźlicę. Teraz zmuszona byłam się z nim cackać przynajmniej do chwili, kiedy ozdowieje i będzie wystarczająco silny, żeby stawić czoło nie skażonej niczym prawdzie.

Postanowiłam nie schodzić do kafeterii na śniadanie. To pociągnęłoby za sobą, rzecz jasna, ubranie się, a jaki

pożytek z takiego wysiłku, skoro i tak zamierzałam spędzić całe przedpołudnie w betach? Mogłam oczywiście zadzwonić na dół i poprosić, żeby podano mi śniadanie do łóżka, ale pociągnęłoby to z kolei wręczenie kelnerce napiwku, a ja nigdy nie umiałam wykombinować, ile dać. Miałam z tym już kilka niemiłych przygód w Nowym Jorku.

Gdy po raz pierwszy zajechałam do „Amazonki”, karłowaty, łysy staruszek w mundurze portiera zaniósł moją walizkę do windy i otworzył mi pokój. Oczywiście, pobiegłam natychmiast do okna, żeby spojrzeć z góry na miasto, ale po chwili zorientowałam się, że ten karzełek-portier nie wychodzi, tylko otwiera i zamyka kurki z ciepłą i zimną wodą, mruczając pod nosem: „To jest ciepła, a to zimna”, że włącza radio i recytuje wszystkie nowojorskie numery kierunkowe, więc zrobiło mi się nieswojo i powiedziałam bardzo stanowczym głosem:

– Dziękuję panu za przyniesienie bagażu.

– Dziękuję, dziękuję, dziękuję, ha! – warknął i zanim zdołałam się zorientować, o co mu chodzi, zatrzasnął za sobą drzwi w sposób co najmniej niegrzeczny.

Później, kiedy opowiedziałam Doreen o jego dziwnym zachowaniu, roześmiała się:

– Ciele! – zawołała. – Przecież jemu chodziło o napiwek.

Zapytałam, ile powinnam mu była dać, na co odpowiedziała, że dwadzieścia pięć do trzydziestu pięciu centów, jeżeli walizka była ciężka. Prawdę mówiąc,

mogłam ją sobie sama zanieść do pokoju, ale ten portierek był taki prędko, że nie zdążyłam mu się przeciwstawić. Uważałam, że jego usługi są wliczone w cenę pokoju.

Nie lubię płacenia za coś, co potrafię zrobić sama. Denerwuje mnie to.

Doreen pouczyła mnie, że napiwek powinien zawsze wynosić około dziesięciu procent rachunku, ale jakoś tak się składało, że nigdy nie miałam odpowiedniej ilości drobnych, a głupio byłoby wręczyć człowiekowi pięćdziesiąt centów, dodając: „Piętnaście dla pana i poproszę trzydzieści pięć centów reszty”.

Kiedy po raz pierwszy w życiu wysiadałam z nowojorskiej taksówki, dałam szoferowi dziesięć centów napiwku. Taksa wynosiła jednego dolara, więc wykombinowałam, że należy mu się dziesięć centów. Wręczyłam mu je z uprzejmym uśmiechem. Ale ten kierowca położył sobie monetę na dłoni, gapił się w nią i gapił, a kiedy wygramoliłam się z taksówki, zastanawiając się, czy czasem przez pomyłkę nie dałam mu monety kanadyjskiej, wrzasnął jak oparzony:

– Pani szanowna, ja też muszę żyć! Też jestem człowiekiem! – i to tak głośno, że przerażona puściłam się biegiem.

Na szczęście, trzymało go czerwone światło, bo chyba gotów byłby jechać wzdłuż chodnika, wrzeszcząc na mnie w ten okropny, szalenie peszący sposób.

Kiedy z kolei opowiedziałam Doreen o tym przypadku, orzekła, że być może od czasu jej ostatniego pobytu w

Nowym Jorku napiwki wzrosły, więc lepiej dawać piętnaście procent od rachunku. Albo to, albo trafiłam na zupełnie wyjątkowego bałwana.

Sięgnęłam po książkę przysłaną mi przez redakcję „Dnia Kobiety”.

Wypadła z niej kartka z obrazkiem przedstawiającym czarnego pudelka w różowym kubraczku, leżącego z bardzo smętną miną w przepięknym koszyku. Po drugiej stronie ten sam pudel, teraz uśmiechnięty, spał smacznie, zwinięty w kłębek pod bogato haftowaną kołderką, opatrzoną napisem: „Sen to najlepsze lekarstwo”. Obok dopisek atramentem koloru lawendy następującej treści: „Czego życzą wszyscy przyjaciele z «Dnia Kobiety»”.

Przeglądałam opowiadanie po opowiadaniu, aż doszłam do historii o drzewie figowym.

Drzewo figowe rosło na pięknej murawie pomiędzy domem pewnego Żyda a murem pewnego klasztoru. Żyd i urodziwa zakonnica spotykali się często pod drzewem, z którego oboje zrywali dojrzałe owoce. Pewnego dnia zauważyli na jednej z gałęzi gniazdko, a w gniazdku wylęgające się właśnie pisklę. Wyciągnęli jednocześnie do niego ręce i dłonie ich spotkały się na krótki moment. Od tego dnia piękna zakonnica nie wychodziła zbierać fig, ale robiła to szczególnie nieurodziwa pomocnica kuchenna, oczywiście też katoliczka, która starannie liczyła dojrzałe figi i dzieliła je na pół, żeby Żyd nie mógł jej oszukać, co go, oczywiście, rozwścieczało.

Opowiadanie to bardzo mi się podobało, szczególnie

opis drzewa figowego – zimą w śniegu, i wiosną, kiedy całe było w zielonych pąkach, i latem, kiedy rodziło twarde młode owoce. Doczytałam do końca i było mi szkoda, że to już wszystko. Prześliznęłam się chętnie przez czarne litery jak przez sztachety płotu, ułożyłabym się do snu w cieniu tego pięknego, rozłożystego drzewa.

Pomyślałam sobie, że dzieje moje i Buddy'ego Willarda są podobne do historii Żyda i zakonniczy mimo że nie jesteśmy ani Żydami, ani katolikami, tylko unitarianami. Ale przecież my także spotkaliśmy się w cieniu wyimaginowanego drzewa figowego, razem patrzyliśmy wprawdzie nie na pisklę wylęgające się z jajka, lecz na niemowlę, wydobywające się z łona kobiety, i zaraz później zdarzyło się coś bardzo niedobrego, i każde z nas poszło w inną stronę.

Leżałam w białej pościeli w hotelowym łóżku i wyobrażałam sobie, że leżę w sanatorium w górach Adirondack, i zrobiło mi się bardzo głupio. Buddy pisał wciąż o tym, że zaczytuje się wierszami jakiegoś poety lekarza i że odkrył słynnego rosyjskiego pisarza, który także był lekarzem, więc nie jest wykluczone, że lekarz i poeta mogliby żyć ze sobą w zgodzie i harmonii.

Była to zupełnie inna melodia niż ta, jaką śpiewał Buddy przez ostatnie dwa lata. Pamiętam, jak pewnego razu uśmiechnął się i zapytał ni stąd, ni zowąd:

- Czy ty wiesz, co to jest poezja?
- Pojęcia nie mam. Powiedz.
- Garść popiołu – odparł i zrobił szalenie dumną minę,

że niby taki inteligentny i sam wymyślił tę piękną definicję. A ja spojrzałam na niego, na jego połyskujące jasne włosy, niebieskie oczy i białe zęby – ma bardzo duże i bardzo białe zęby – i odpowiedziałam tylko:

– Może!

I dopiero rok później, w samym środku Nowego Jorku, przyszła mi na myśl inna odpowiedź.

Spędzałam niemało czasu na wyimaginowanych rozmowach z Buddym Willardem. Był jakie dwa lata starszy ode mnie i całkowicie nastawiony na nauki ścisłe, w związku z czym potrafił zawsze wszystko udowodnić. Kiedy byliśmy razem, musiałam się bardzo starać, aby utrzymać się intelektualnie na powierzchni.

Te dialogi wewnętrzne były przeważnie kontynuacją prawdziwych rozmów, jakie toczyliśmy z Buddym w różnych okresach, tyle że odznaczały się znakomitymi, ciętymi odpowiedziami z mojej strony, a nie, jak w rzeczywistości, jakimiś głupimi uwagami w rodzaju: „Może i tak”.

Teraz więc, leżąc na wznak w białej pościeli, wyobrażałam sobie, że Buddy mówi:

– Czy ty wiesz, co to jest poezja?

– Nie mam pojęcia. Powiedz – odpowiadam.

– Garść popiołu.

Już zaczyna się uśmiechać głupawo i z dumą, a wtedy ja mówię:

– Z poezją jest dokładnie tak samo, jak z tymi trupami, które krajesz na kawałki. I z ludźmi, których leczysz. Oni

też są tylko prochem, pyłem i niczym więcej. Moim zdaniem piękny poemat ma dłuższy żywot niż stu twoich pacjentów wziętych do kupy.

Na to Buddy oczywiście nie umie znaleźć odpowiedzi, a to z tej prostej przyczyny, że ja mam rację. Ludzie ulepiani są głównie z piasku i leczenie kupki piasku nie może być rzeczą lepszą i szlachetniejszą aniżeli pisanie poezji. Bo wiadomo, że jak ludzie są nieszczęśliwi, chorzy albo nie mogą zasnąć, to czytują sobie wiersze albo recytują je z pamięci.

Najgorsze było to, że wszystko, co mówił Buddy Willard, brałam za dobrą monetę. Pamiętam jego pierwszy pocałunek. Było to w Yale, w czasie dorocznej potańcówki studentów pierwszego roku.

To właśnie Buddy zaprosił mnie na tę potańcówkę, ale zrobił to w dość dziwny sposób.

Pewnego dnia, w czasie ferii Bożego Narodzenia, wpadł do naszego domu jak z procy. Miał na sobie gruby biały sweter z golfem, w którym wyglądał tak pięknie, że gapiłam się na niego nieprzytomnie, i oświadczył:

– Pozwolisz, że złożę ci któregoś dnia wizytę w college'u, dobrze?

Byłam zaskoczona. Dotychczas widywałam Buddy'ego wyłącznie w niedzielne przedpołudnia w kościele, w czasie ferii, zawsze z daleka, i absolutnie nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak ni stąd, ni zowąd wpadł do nas bez zapowiedzi. Tym bardziej że – jak zaraz dodał – dwie mile dzielące nasze domy przebiegł kłusem, bo zaprawiał

się do biegów na przełaj.

Nasze matki znały się, oczywiście, dobrze i od dawna. Były koleżankami szkolnymi, obydwie wyszły za swoich nauczycieli i osiadły w tym samym mieście. Ale Buddy rzadko zjawiał się w domu rodzicielskim, stale przebywał w różnych szkołach na stypendiach, latem jeździł do stanu Montana, gdzie wynajmował się do walki z rdzawą pryszczycą, więc fakt, że nasze matki były szkolnymi koleżankami, przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Po tej swojej niezapowiedzianej wizycie Buddy znowu całkiem zniknął z mojego życia, aż do pewnej marcowej niedzieli. Siedziałam w swoim pokoju w college'u i przygotowywałam się do egzaminu z historii, ściśle mówiąc, z wojen krzyżowych, i właśnie czytałam dzieje Piotra Pustelnika i Waltera bez Grosza, kiedy zadzwonił telefon w hallu.

W zasadzie wszystkie mieszkanki domu powinny były po kolei przyjmować telefony, ale ponieważ byłam jedyną studentką pierwszoroczną na piętrze zamieszkanym całkowicie przez seniorki, czyli studentki czwartego roku, więc oczywiście żadna się nie fatygowała. Poczekiałam jeszcze minutę, ale nic. Wszystkie chyba poszły grać w siatkówkę albo wyjechały na weekend, zbiegłam więc na dół.

– To ty, Esther? – zapytała dyżurna koleżanka z centralki, a kiedy potwierdziłam, dodała: – Jakiś facet do ciebie.

Przyznam, że mnie to bardzo zdziwiło, bo ze

wszystkich chłopców, których poznałam w tym roku na różnych prywatkach, żaden nie zjawił się po raz drugi. Nie miałam po prostu szczęścia. Co sobota odbywało się to samo. Schodziłam na dół pełna ciekawości, z zaciśniętymi, spoconymi dłońmi, po czym któraś ze starszych dziewczyn przedstawiała mi „syna najlepszej przyjaciółki swojej ciotki”, wymoczka z odstającymi uszami i wystającymi zębami albo z jedną krótszą nogą. Nienawidziłam tych sobotnich zabaw tanecznych i byłam przekonana, że zasługuję na coś lepszego niż te pokraki. Ostatecznie, nie byłam kaleką, po prostu obkuwałam się za dużo. W niczym nie znam umiaru.

No, ale nic. Przyczesalam się, wymalowałam usta i wzięłam pod pachę podręcznik historii – w razie, gdyby facet okazał się zupełnym fajtlapą, postanowiłam udawać, że po prostu idę do biblioteki, i prysnąć – i znowu zesłam na dół, a tam, oparty o stół, na którym składano naszą pocztę, stał Buddy Willard, w granatowych dżinsach, wiatrówce khaki i wystrzepionych szarych tenisówkach, i uśmiechał się od ucha do ucha.

– Wpadłem, żeby się przywitać – oświadczył.

Pomyślałam, że to trochę dziwne. Przyjechać aż z Yale, choćby nawet autostopem, czyli za darmo, tylko po to, żeby się przywitać?

– No, to witaj – odparłam. – Chodź, wyjdziemy i usiadziemy na ganku.

Chciałam go wyprowadzić na ganek, ponieważ koleżanka dyżurna była jedną z najbardziej wścibskich

seniorek i przyglądała się nam z nieukrywanym zainteresowaniem. Najprawdopodobniej mówiła sobie w duchu, że Buddy popełnia wielki błąd.

Usiedliśmy na dwóch ustawionych obok siebie wyplatanych fotelach na biegunach. Słońce stało wysoko, powietrze było czyste, wiał leciutki wiaterek. Było niemal gorąco.

– Mam tylko kilka minut – odezwał się Buddy.

– A daj że spokój, zostań na lunch.

– To niemożliwe. Przyjechałem z Joan na potańcówkę drugiego roku.

Zrobiło mi się okropnie głupio.

– A jak się ma Joan? – zapytałam uszczypliwie.

Joan Gilling pochodziła z mojego miasteczka, należała do naszego Kościoła, była ode mnie o rok starsza i uczęszczała na drugi rok studiów w moim college'u. Była wielką szyszką – prezeską samorządu, zamierzała robić magisterium z fizyki i święciła triumfy w szkolnej drużynie hokejowej. W jej obecności zawsze czułam się nieswojo. Miała takie świdrujące, niebieskawe oczka, zęby jak marmurowe nagrobki i lekko zadyszany głos. Była wielka jak klacz. Kiepski ma gust ten cały Buddy, pomyślałam.

– E, co tam Joan! – powiedział. – Zaprosiła mnie na tę potańcówkę dwa miesiące temu, a potem jej matka zwróciła się do mojej matki, żeby mi przypomniała, więc co miałem robić?

– Dlaczego przyrzekłeś jej, że przyjedziesz, skoro nie

miałeś ochoty? – zapytałam skromnie.

– Bo ja ją nawet lubię. Nie zależy jej na tym, żeby chłopak wydawał na nią forszę, i lubi sport. Jak ostatnio była w Yale na naszej dorocznej zabawie weekendowej, to pojechaliśmy na rowerach aż do East Rock. Jest jedyną dziewczyną, jaką znam, której nie trzeba pchać pod górę. Mówię ci, ta Joan jest całkiem fajna.

Z zazdrości dostałam dreszczy. Nie byłam jeszcze ani razu w Yale, a wszystkie koleżanki z czwartego roku, które mieszkały ze mną, marzyły tylko o tym, żeby je tam zaproszono na weekend. Nie należy spodziewać się niczego dobrego po Buddym Willardzie, pomyślałam. A w ogóle jak człowiek zacznie tylko o czymś marzyć, to nieuchronnie doznaje rozczarowania.

– No, to leć do Joan – powiedziałam mimochodem. – Spodziewam się lada chwila chłopca, z którym jestem umówiona na weekend, i wołałabym, żeby mnie tu z tobą nie zobaczył.

– Chłopca? – zainteresował się Buddy. – A co to za jeden?

– Jest ich właściwie dwóch. Piotr Pustelnik i Walter bez Grosza.

Buddy nie zareagował, więc dodałam:

– To są ich przezwiska. Studiują w Dartmouth.

Przypuszczam, że Buddy nigdy nie interesował się historią, albowiem wyraźnie zeszywniał. Skoczył na równe nogi, odepchnął fotel na biegunach bardzo mocno i zupełnie niepotrzebnie, po czym rzucił mi na kolana

niebieską kopertę z wytłoczonym herbem Yale.

– Miałem to zostawić w recepcji, w razie gdybym cię nie zastał. Musisz odpowiedzieć na jedno pytanie, ale możesz to zrobić listownie. Nie mam ochoty pytać cię o to w tej chwili.

Jak tylko odszedł, otworzyłam kopertę i wyjęłam z niej zaproszenie na doroczną potańcówkę juniorów Yale.

Byłam tym tak zaskoczona, że wydałam z siebie kilka radosnych okrzyków i wpadłam do domu, wrzeszcząc:

– Jadę, jadę, jadę!

Byłam oślepiona jaskrawym światłem słonecznym i wewnątrz domu wydało mi się ciemne jak studnia. Po prostu nic nie widziałam. Z rozpędu objęłam i uścisnęłam dyżurną seniorkę. Kiedy dowiedziała się, że mam zaproszenie na weekend do Yale, spojrzała na mnie z szacunkiem i zdumieniem.

Stosunek seniorek do mnie zmienił się od tego dnia radykalnie. Zaczęły ze mną rozmawiać i od czasu do czasu któraś z nich nawet spontanicznie odpowiadała na dzwonek. I żadna nie odważyła się już robić uszczypliwych uwag pod moimi drzwiami, w rodzaju, jak to niektórzy marnują najlepsze lata swojego życia, zagrzebując się w książkach.

Ale muszę wyznać, że w czasie potańcówki Buddy traktował mnie jak siostrę, w najlepszym razie kuzynkę.

Tańczyliśmy w odległości kilometra od siebie, a w trakcie *Auld Lang Syne* – piosenki, jaką tradycyjnie grają na zakończenie wieczoru, oparł brodę na czubku mojej

głowy, jak gdyby był strasznie zmęczony. O trzeciej nad ranem poszliśmy piechotą do domu, w którym miałam nocleg – na kanapie w salonie – za pięćdziesiąt centów, a nie jak moje koleżanki, w porządnym pokoju z łóżkiem za dwa dolary. Droga była daleka – pięć mil – wiał paskudny, zimny wiatr.

Byłam wypompowana, smutna, całkowicie pozbawiona złudzeń.

Wyobrażałam sobie, że Buddy zakocha się we mnie tego weekendu i że do końca roku nie będę się musiała martwić o to, co robić w sobotnie wieczory. Kiedy podchodziliśmy do domu, w którym miałam nocować, Buddy nagle zaproponował:

– Chcesz, to pójdziemy do laboratorium chemicznego?

– Do laboratorium chemicznego? – Byłam szalenie zaskoczona.

– Tak – Buddy sięgnął po moją rękę. – Stamtąd rozciąga się niezwykle piękny widok.

I rzeczywiście, zaraz za laboratorium znajdowało się wzgórze, z którego widać było światła kilku domów w New Haven.

Stałam więc i udawałam, że podziwiam widok, a przez ten czas Buddy szukał sobie dobrego oparcia dla nóg, bo grunt był śliski. Potem całował mnie, a ja starałam się nie zamykać oczu i obliczałam odległości pomiędzy światłami, tak żeby widok ten pozostał w mojej pamięci do końca życia.

Wreszcie Buddy puścił mnie.

– Puff! – powiedział.

– Puff co? – zapytałam zaskoczona.

Ten płytki, zdawkowy, suchy pocałunek nie mógł chyba tak silnie na niego podziałać, szczególnie że mieliśmy oboje spierzchnięte wargi od tego pięciomilowego spaceru na zimnym wietrze.

– Puff – powtórzył – cudownie się ciebie całuje!

Opuściłam skromnie oczy i nie odpowiedziałam.

– Wyobrażam sobie – odezwał się Buddy po chwili – że masz wielu adoratorów.

– Chyba tak – potwierdziłam i pomyślałam z goryczą, że przez cały ubiegły rok co sobota wychodziłam z innym chłopcem.

– No tak, ale ja muszę tak strasznie wkuwać.

– Ja też – powiedziałam szybko. – Nie mogę przecież stracić stypendium.

– Mógłbym się z tobą spotykać co trzeci weekend – zaproponował.

– To świetnie – zgodziłam się.

Myślałam, że zemdleję, chciałam jak najszybciej powrócić do college'u, żeby opowiedzieć dziewczynom o tym, co mnie spotkało.

Przed domem Buddy pocałował mnie jeszcze raz, a następnej jesieni, kiedy otrzymał stypendium do Szkoły Medycznej, pojechałam do niego i właśnie tam przekonałam się, jak bardzo mnie oszukiwał i jakim jest hipokrytą.

Przekonałam się o tym tego dnia, kiedy pokazał mi, jak

przychodzą na świat dzieci.

Rozdział 6

Nalegałam, żeby Buddy koniecznie pokazał mi w szpitalu jakieś naprawdę interesujące rzeczy, aż pewnego piątku urwałam się z wykładów i pojechałam do niego na przedłużony weekend.

Zaczął się od tego, że dał mi biały kitel, kazał usiąść na wysokim stołku i patrzeć, jak z kilkoma kolegami preparuje cztery trupy. Te trupy nie miały w sobie absolutnie nic ludzkiego, więc nie zrobiły na mnie większego wrażenia. Skóra ich była sztywna, twarda, fioletowa, a śmierdziały jak beczki po kwaszonych ogórkach.

Następnie Buddy zabrał mnie do salki, gdzie na długich półkach stały rzędy słoików z zamarynowanymi embrionami, które zmarły jeszcze w łonie matek. W pierwszym słoju pływało malutkie stworzenie z ogromną białą głową pochyloną nad maciupkim ciałkiem, wielkości mniej więcej żaby. W następnym słoju embrion był większy, w następnym jeszcze większy, a w ostatnim miał już rozmiary przeciętnego noworodka i zdawało mi się, że patrzy na mnie i uśmiecha się takim jakimś prosiaczkowatym uśmieszkiem.

Byłam z siebie bardzo dumna, bo przyglądałam się tym wszystkim okropnościom z absolutnym spokojem. Podskoczyłam tylko raz, kiedy niechcący oparłam się o brzuch trupa, żeby przyjrzeć się dokładnie, jak Buddy

sekcjonuje płuca. Po minucie czy dwóch poczułam, że pali mnie skóra na łokciu, i nagle przyszło mi na myśl, że ten trup wcale nie jest trupem, bo emanowało z niego niesamowite ciepło, i zeskoczyłam z krzesła z lekkim okrzykiem przerażenia. Ale Buddy wytłumaczył mi, że to uczucie palenia spowodowane jest płynem, który służy do konserwacji zwłok. Wróciłam więc do poprzedniej pozycji.

Na godzinę przed lunchem Buddy zabrał mnie na odczyt na temat anemii sierpowatej i paru innych, raczej nieuleczalnych schorzeń. Przez cały czas przywożono różnych chorych na wózkach, windowano ich na platformę, zadawano im pytania, a potem zabierano ich i pokazywano kolorowe przezrocza.

Pamiętam szczególnie jedno przezrocze, ukazujące śliczną roześmianą dziewczynę z czarnym pieprzykiem na policzku.

– W dwadzieścia dni po ukazaniu się tego pieprzyka dziewczyna nie żyła – powiedział wykładowca i wszyscy umilkli na dobrą minutę, ale zaraz potem rozległ się dzwonek i nigdy nie dowiedziałam się, co to był za pieprzyk i dlaczego ta dziewczyna tak szybko umarła.

Po południu poszliśmy obejrzeć, jak rodzi się dziecko.

Najpierw udaliśmy się na korytarz, gdzie stała szafka, z której Buddy wyciągnął białą maskę i bandaż.

Jakiś bardzo wysoki i tęgi student medycyny, przypominający aktora Sydneya Greenstreeta, patrzył z zainteresowaniem, jak Buddy owija bandaż dokoła mojej

głowy. Zabandażował mnie tak dokumentnie, że na wierzchu zostały mi tylko oczy.

Gruby student zarechotał w dość przykry sposób i zawołał:

– Dobrze, że przynajmniej mama cię kocha!

Byłam zafascynowana jego kolosalną tuszą i myślałam, że to klęska dla młodego człowieka i że trudno mu będzie znaleźć dziewczynę, która miałaby ochotę przechylać się przez to straszne brzuszysko, żeby się z nim całować, toteż dopiero znacznie później uświadomiłam sobie, iż właściwie mnie obraził. Kiedy wymyśliłam ciętą odpowiedź, coś takiego, że tylko rodzona matka mogłaby kochać takiego grubasa jak on, dawno go nie było.

Buddy tymczasem pilnie studiował jakąś dziwną deskę wiszącą na ścianie. Było w niej kilka rzędów dziur, od dziurki wielkości mniej więcej srebrnego dolara, aż do takiej, w której z łatwością zmieściłby się duży talerz.

– Doskonale – stwierdził. – Jedna powinna za chwilę rodzić.

Pod drzwiami sali porodowej stał chudy, przygarbiony student medycyny, znajomy Buddy'ego.

– Halo, Will – odezwał się Buddy. – Kto tam ma teraz dyżur?

– Ja – odparł Will ponurym głosem. Małe kropelki potu zraszały jego wysokie, blade czoło. – Ja. To mój pierwszy poród.

Buddy wyjaśnił, że Will jest studentem trzeciego roku i że musi odebrać osiem porodów, żeby zaliczyć rok.

Na końcu korytarza ukazała się mała procesja, złożona z kilku facetów w seledynowych fartuchach i myckach, kilku pielęgniarek i wózka, na którym leżał wielki biały tłumok.

– Pani nie powinna na to patrzeć – mruczał Will pod nosem. – Nigdy w życiu nie będzie pani chciała rodzić. Kobiet nie powinno się wpuszczać na salę porodową, bo będzie koniec z ludzkością.

Buddy i ja roześmieliśmy się, Buddy uścisnął dłoń Willa i wszyscy troje weszliśmy na salę.

Byłam tak przerażona widokiem stołu, na jaki wpakowano tę kobietę, że aż mi mowę odebrało. Była to istna deska tortur. Dwa metalowe strzemiona sterczały w górę z jednego końca, a na drugim znajdowała się taka ilość najrozmaitszych tub, rur, drutów i instrumentów, że trudno się było w tym wszystkim zorientować.

Buddy i ja stanęliśmy pod oknem, w odległości kilku stóp od kobiety. Widok mieliśmy doskonały.

Brzuch rodzącej był tak kolosalny, że zasłaniał nam jej twarz i górną część ciała. Była po prostu samym brzuchem – z doczepionymi do niego dwiema cieniutkimi jak u pająka nogami, wbitymi wysoko w te metalowe strzemiona – z którego na dodatek przez cały czas, aż do samego końca, wydobywało się przeciągłe, nieludzkie, rytmiczne wycie.

Później Buddy wytłumaczył mi, że kobiecie tej podano specjalny narkotyk, tak że po porodzie nie będzie pamiętała bólu, że jej wrzaski i przekleństwa nic nie

znaczą, ponieważ znajduje się w półśnie i nie zdaje sobie sprawy z tego, co się z nią dzieje.

Pomyślałam sobie, że taki narkotyk to typowy męski wynalazek. Kobieta ta niewątpliwie cierpiała jak potępieniec, bo inaczej nie jęczałaby tak strasznie, ale gdy opuści szpital, natychmiast znowu zajdzie w ciążę, bo dzięki temu znakomitemu narkotykowi nie będzie w ogóle pamiętała bólu, podczas gdy głęboko w środku, w tajemnych, długich, głuchych, ciemnych korytarzach jej organizmu ból czyha tylko na to, żeby go znowu wypuszczono i żeby sobie mógł pohulać na całego.

Dyżurny lekarz, któremu asystował Will, powtarzał raz po raz:

– Pani Tomolillo, proszę mocno przeć, no, mocno – aż wreszcie z gładko wygolonej, wy dezynfekowanej na fioletowo szpary pomiędzy jej nogami zaczęła się wyłaniać owłosiona główka.

– Główka dziecka – powiedział Buddy szeptem, zagłuszonym jękami rodzącej kobiety.

Z niewiadomych przyczyn główka dziecka nie chciała się dalej wysunąć i lekarz dyżurny kazał Willowi zrobić cięcie. Usłyszałam kłapnięcie nożyc przecinających ciało kobiety, po czym zaczęła z niej płynąć żywa jasnoczerwona krew. Nagle dziecko niemalże wyskoczyło w ręce Willa. Było sine jak węgielka, zasmarowane krwią i jakąś białą mączką, a Will zaczął krzyczeć głosem przerażonego uczniaka:

– Ojej, wyślizguje mi się, zaraz upadnie!

– Nic podobnego – zapewniał go dyżurny lekarz, ale zabrał mu je z rąk i zaczął masować, aż ten okropny siny kolor zmienił się na różowy, niemowlę zaczęło żałośnie skrzeczeć, no i zobaczyłam, że to chłopiec.

Dziecko nasikało lekarzowi prosto w twarz. Później powiedziałam do Buddy'ego, że nie rozumiem, jak to jest możliwe, ale Buddy powiedział, że to się od czasu do czasu zdarza, i dodał, że mieliśmy szczęście, że przy tym byliśmy, bo to niezmiernie rzadkie wydarzenie.

Zaraz po urodzeniu się dziecka personel rozdzielił się na dwie grupy. Pielęgniarki przywiązały do przegubu niemowlęcia bransoletkę z nazwiskiem matki, przemyły mu oczy watką na drewnianym patyczku, owinęły je kołderką i włożyły do wyścielonego płótnem koszyka. A lekarz i Will zabrali się do zaszywania pani Tomolillo za pomocą igły i długiej nitki.

Zdaje mi się, że ktoś powiedział: – To chłopczyk, pani Tomolillo – ale kobieta nie odezwała się ani nawet nie podniosła głowy.

Kiedy przemierzaliśmy znów zielony trawnik, Buddy, oczywiście, zapytał mnie:

– No i jakie to zrobiło na tobie wrażenie'

– Wspaniale – oświadczyłam. – Mogłabym patrzeć na coś takiego dzień w dzień.

Nie czułam się na siłach, żeby zapytać go, czy nie ma innego sposobu na urodzenie dziecka. Wydało mi się, że najważniejszą dla mnie rzeczą byłoby zobaczenie, jak dziecko wychodzi z mojego brzucha, bo tylko wtedy

byłabym zupełnie pewna, że jest rzeczywiście moje. Jeżeli już koniecznie trzeba tak strasznie cierpieć, to chyba lepiej bez narkozy.

Wyobrażałam sobie często taką scenę: natychmiast po porodzie siadam – śmiertelnie blada, rzecz jasna, i wyczerpana, ale szczęśliwa i uśmiechnięta, włosy spływają mi kaskadami do pasa, wyciągam ramiona do mojego wierzgającego nóżkami pierworodnego i czule wymawiam jego imię.

– Powiedz mi, dlaczego ten dzieciak był taki utyłany mąką? – zapytałam głównie po to, by podtrzymać rozmowę, a Buddy wytłumaczył mi od razu, że to nie mąka, ale coś w rodzaju woszczku, chroniącego delikatny naskórek niemowlęcia.

Kiedy znaleźliśmy się w pokoju, Buddy wyciągnął butelkę dubonnetu, odkorkował ją i zapalił świecę. Ten pokój o gołych ścianach, gołej podłodze i z wąskim gładkim łóżkiem, zarzuconym podręcznikami do anatomii i jakimiś jeszcze koszmarnymi, grubymi tomiskami, przypominał, wypisz-wymaluj, celę mnicha. Położyliśmy się obok siebie na łóżku, Buddy popijał wino, a ja czytałam na głos *Tam, dokąd droga mnie jeszcze nie zawiodła* i kilka innych wierszy z tomiku, który ze sobą przywiozłam.

Buddy twierdził, że jeżeli taka dziewczyna jak ja tyle czasu poświęca czytaniu wierszy, to coś w tym musi być, więc zawsze przywoziłam jakiś tomik poezji, którą mu czytałam i interpretowałam. Był to pomysł Buddy'ego.

Zorganizował nasze wspólne weekendy tak, byśmy nie marnowali czasu. Ojciec Buddy'ego był nauczycielem i, moim zdaniem, Buddy także powinien się być poświęcić temu zawodowi, głównie dlatego, że zawsze próbował mi coś wytłumaczyć, nauczyć mnie czegoś nowego.

Nagle, w momencie kiedy skończyłam czytanie krótkiego wiersza, Buddy zapytał ni stąd, ni zowąd:

– Esther, powiedz, czy ty kiedy widziałaś mężczyznę?

Powiedział to w taki sposób, że domyśliłam się od razu, iż nie chodzi mu o kogoś konkretnego ani o mężczyznę w ogóle, ale po prostu o to, czy widziałam męską goliznę.

– Nie – przyznałam. – Tylko rzeźby.

– A czy nie chciałybyś mnie zobaczyć?

Nie miałam pojęcia, jak zareagować. Zarówno matka, jak i babka od pewnego czasu zabawiały mnie rozmowami na temat Buddy'ego, mówiły, jaki to dzielny, zdolny, prawy chłopiec, z jakiej dzielnej, zdolnej i prawej rodziny pochodzi, że wszyscy członkowie naszego Kościoła uważają go za istny wzorzec dla młodzieży, że jest dobry dla swoich rodziców i dla ludzi starszych w ogóle, a poza tym świetny z niego atleta, no i przystojny, i inteligentny.

Wszyscy nieustannie wbijali mi w głowę, że Buddy jest szlachetny i czysty, że to typowy przykład chłopca, dla którego dziewczynie warto zachować wierność i cnotę. Więc, oczywiście, nie mogło mi nawet przyjść do głowy, że jakakolwiek propozycja ze strony Buddy'ego mogłaby

być niestosowna.

– Czemu nie – odpowiedziałam więc.

Patrzałam na niego bez zmruczenia powiek, a on otworzył zamek błyskawiczny przy dzinsach, zdjął je, starannie złożył i ulokował na krześle, po czym ściągnął kalesony, zrobione z czegoś, co przypominało rybacką sieć.

– Przepuszczają powietrze – tłumaczył mi – a poza tym mama mówi, że się łatwo piorą.

A potem po prostu stał przede mną, a ja gapiłam się na niego i jedyne porównanie, jakie wpadło mi do głowy, to szyja indycza i indycze żołądki i było mi głupio i smutno.

Moje milczenie wyraźnie go dotknęło.

– Powinnaś się przyzwyczajać do mnie na golasa – oświadczył. – A teraz ty mi się pokażesz, dobrze?

Ale obnażenie się dla Buddy'ego wydało mi się mniej więcej równie pociągające, jak na przykład przygotowanie się do rentgena kręgosłupa. W college[^] co chwila badali nam kręgosłupy, fotografując nas w tym celu całkiem nago z profilu i en face, ale wiedziałyśmy doskonale, że nasze akty zawędrują jedynie do specjalnego albumu sekcji kultury fizycznej, znaczone A, B lub C, w zależności od stanu skrzywienia naszych stosów pacierzowych.

– E, tam, innym razem – rzuciłam od niechcienia.

– Jak chcesz – Buddy znów wciągnął portki.

Następnie oddawaliśmy się dość długo uściskom i pocałunkom i po pewnym czasie zrobiło mi się trochę

lepiej. Wypiłam resztę mojego dubonneta, usiadłam w kucki w nogach łóżka i poprosiłam Buddy'ego o grzebień. Szesałam sobie włosy na twarz tak, żeby Buddy mnie nie widział, i w pewnym momencie wystrzeliłam z pytaniem:

– Czy ty już miałeś prawdziwy romans?

Do dzisiaj nie wiem, jak się stało, że słowa te tak ni stąd, ni zowąd wydobyły się z mojej krtani. Ani przez moment nie wyobrażałam sobie, że Buddy Willard przespał się z kobietą, i byłam przekonana, że odpowiedź będzie brzmiała mniej więcej: skąd, gdzie tam, czeka z tym na ślub, na dziewczynę czystą jak łza, czyli na mnie.

Ale Buddy nic nie odpowiedział, tylko zaczerwienił się po czubki uszu.

– No, mów.

– Nie wiem, co rozumiesz przez romans – mruknął ponurym tonem.

– No, wiesz, czy przespałeś się z jakąś babką – wyjaśniłam i dalej szesywałam włosy rytmicznym ruchem z góry na dół, czując, jak iskierki elektryczności łechcą mi policzek, i przez cały czas miałam ochotę wrzasnąć: „Stop, stop, nic nie mów!”, ale, oczywiście, siedziałam cicho.

– No, to powiem ci, że tak! – wyrzucił z siebie wreszcie Buddy.

O mały włos nie spadłam z łóżka. Od tamtego pierwszego wieczoru, kiedy Buddy pocałował mnie po raz pierwszy i powiedział, że na pewno mam wielu wielbicieli, dawał mi do zrozumienia, że jestem znacznie

bardziej doświadczona i seksowna od niego i że wszystko to, co robi ze mną – te pocałunki, pieszczoty i uściski – jest przeze mnie sprowokowane, zaimprovizowane przez niego pod moim wpływem, a on sam nie ma pojęcia, skąd mu się to bierze.

Zrozumiałam, że Buddy przez cały czas po prostu udawał niewiniątka.

– Opowiedz, co i jak – nie przestawałam się czesać, ostre zębki grzebienia kaleczyły mi policzek. – Iz kim.

Kiedy Buddy zorientował się, że wcale się nie gniewam, wyraźnie mu ulżyło. Nawet chyba się ucieszył, że może wreszcie opowiedzieć, jak został uwiedziony.

Bo został, oczywiście, uwiedziony, on nie zacząłby nigdy pierwszy, nie było w tym oczywiście jego winy. Winna była kelnerka z hotelu na Cape Cod, w którym przepracował ostatnie lato. Buddy zauważył, że kelnerka patrzy na niego bardzo dziwnie i że ociera się o niego piersiami w ciasnej kuchni, a kiedy w końcu zapytał ją, o co jej właściwie chodzi, odpowiedziała po prostu:

– Chcę ciebie.

– Z siekaną pietruszką? – zaśmiał się Buddy naiwnie.

– Nie – odpowiedziała – zwyczajnie, w łóżku.

I tak Buddy stracił cnotę.

Z początku myślałam, że on przespał się z tą kelnerką raz, ale kiedy zapytałam, tak na wszelki wypadek, odpowiedział, że dokładnie nie pamięta, ale że robił to chyba jakieś dwa, trzy razy w tygodniu przez resztę lata. Pomnożyłam trzy przez dziesięć i otrzymałam trzydzieści,

co wydało mi się jednak grubą przesadą.

A potem coś we mnie umarło.

Kiedy powróciłam do college'u, zaczęłam pytać znajome seniorki, co by na przykład zrobiły, gdyby im się chłopiec przyznał, że przespał się trzydzieści razy w ciągu jednego lata z jakąś lafiryndą. Ale seniorki zapewniały mnie tylko, że prawie wszyscy chłopcy to robią, a pretensji mieć do nich nie można, chyba że były formalne zaręczyny albo nosi się przynajmniej studencką odznakę stowarzyszeniową tego chłopca.

Szczerze mówiąc, myśl o tym, że Buddy przespał się z tą kelnerką, wcale mnie tak znowu nie dręczyła. Chcę przez to powiedzieć, że wiedziałam już o tym, że ludzie ze sobą sypiają, i gdyby to był inny chłopiec, zaczęłabym go po prostu wypytywać o różne ciekawe szczegóły albo sama szybko przespałabym się z kimś chociażby po to, żeby się zemścić, i wszystko byłoby w porządku.

Ale nie mogłam znieść, że Buddy tak długo udawał niewiniątka i tylko mówił, że to ja jestem seksowna. Przesypiał się z tą swoją łajdaczką kelnerką, a w duchu na pewno zwyczajnie kpił ze mnie.

– A co twoja mama myśli o tej kelnerce? – zapytałam go jeszcze w czasie tego samego weekendu.

Buddy był szalenie zaprzyjaźniony ze swoją matką. Wciąż cytował jej poglądy na to, jaki powinien być stosunek mężczyzny do kobiety, a ja skądinąd wiedziałam, że pani Willard jest prawdziwą fanatyczką zachowania cnoty do ślubu, i to zarówno przez chłopców,

jak i przez dziewczęta. Kiedy pierwszy raz przyszedłam do Willardów na proszoną kolację, obrzuciła mnie wnikliwym, czujnym wzrokiem i od razu wiedziałam, że chce się zorientować, czy jestem dziewczyną.

Zgadłam, bo pytanie moje wprowadziło Buddy'ego w zakłopotanie.

– Mama pytała mnie o Gladys – przyznał.

– No i co jej powiedziałaś?

– Powiedziałem jej, że Gladys jest biała, wolna i pełnoletnia i wie, co robi.

Byłam absolutnie przekonana, że z mojego powodu Buddy nigdy w życiu nie odezwałby się tak niegrzecznie do swojej matki. Zawsze ją cytował: „Mężczyźni potrzebna jest towarzyszka życia – mawiała podobno – a kobiecie opiekun”. I jeszcze: „Mężczyzna to strzała skierowana w przyszłość, a kobieta jest miejscem, z którego ta strzała wychodzi”. Powtarzał te dwie mądrości życiowe do znudzenia.

Ilekczo próbowałam polemizować z poglądami pani Willard, Buddy wyjeżdżał z tym, że jego matka wciąż jeszcze z przyjemnością sypia ze swoim mężem, co chyba u ludzi w wieku jego rodziców jest rzeczą dość niezwykłą. Tak czy nie? Jest to najlepszy dowód, że mama wie, o czym mówi.

Tak więc postanowiłam raz na zawsze zerwać z Buddym Willardem, i to nie dlatego, że sypiał z tą swoją Gladys, ale za to, że nie miał dość odwagi i uczciwości, żeby się do tego od razu przyznać i ponieść wszystkie

konsekwencje. W tej samej chwili zadzwonił telefon i słodki, przemądrzały głosik zadzwęczał z dołu:

– Esther, do ciebie! Z Bostonu!

Od razu wiedziałam, że jest niedobrze, ponieważ Buddy był jedyną osobą, jaką znałam w Bostonie, a on z zasady nie używa międzymiastowych telefonów, tylko pisze listy, bo to znacznie taniej. Raz, kiedy chciał mi koniecznie coś pilnego przekazać, przechadzał się przez długi czas przed bramą Szkoły Medycznej i wypytywał kolegów, czy który nie jedzie na weekend do mojego college'u. Znalazł kogoś i dał mu list, który otrzymałam jeszcze tego samego dnia. Nie musiał się nawet wykosztować na znaczek pocztowy.

Przy telefonie był jednak Buddy we własnej osobie. Powiedział mi, że doroczne prześwietlenie płuc wykazało, że ma gruźlicę, że załatwiono mu od razu specjalne stypendium dla studentów gruźlików na pobyt w sanatorium w górach Adirondack. Potem dodał, że dziwi się, bo od tamtego weekendu nie napisałam ani słowa, że ma nadzieję, iż nic się między nami nie zmieniło, po czym poprosił, żebym pisywała do niego regularnie raz w tygodniu i odwiedzała go w tym sanatorium w czasie ferii Bożego Narodzenia.

Nie przypuszczałam, że Buddy potrafi być tak zdenerwowany. Zawsze chwalił się swoim żelaznym zdrowiem, a kiedy mnie zdarzyło się złapać taki katar, że nie mogłam oddychać, chciał mi wmówić, że to choroba psychosomatyczna. Dość dziwny stosunek przyszłego

lekarza do pacjenta. Chciałam mu zaproponować, żeby się przerzucił na psychiatrię, ale oczywiście nigdy mu tego wprost nie powiedziałam.

Zapewniałam go, że jest mi bardzo przykro, iż złapał gruźlicę, przyrzekłam, że będę pisała, ale kiedy odwiesiłam słuchawkę, nie byłam w ogóle zmartwiona. Odwrotnie, poczułam wprost kolosalną ulgę.

Zastanawiałam się przez chwilę, czy jego gruźlica nie jest przypadkiem karą bożą za podwójne życie, które prowadził przez całe lato, za to, że zawsze wywyższał się ponad innych. Cieszyłam się też, że nie będę musiała opowiadać wszystkim dziewczętom w college'u, że z nim zerwałam, i w związku z tym znowu chodzić na te okropne, przygodne randki sobotnie.

Rozpowiedziałam więc na prawo i lewo, że Buddy złapał gruźlicę, że jesteśmy, praktycznie biorąc, zaręczeni, a kiedy w sobotnie wieczory zostawałam w swoim pokoju nad książkami, wszyscy byli dla mnie szalenie mili, bo uważali, że jestem niezwykle dzielna i że pracuję tak intensywnie, by ukoić złamane serce.

Rozdział 7

Konstanty był, oczywiście, trochę za niski, ale dość przystojny. Miał jasnokasztanowe włosy, ciemnoniebieskie oczy i duży temperament. Mógł od biedy, no, prawie, uchodzić za Amerykanina, bo był opalony, miał zdrowe i białe zęby, ale ja skapowałam od razu, że jest cudzoziemcem. Obdarzony był bowiem czymś, czego nie miał żaden znany mi amerykański chłopiec, a mianowicie intuicją.

Konstanty zorientował się z miejsca, że wcale nie jestem wielbicielką pani Willard. W czasie naszej pierwszej rozmowy raz czy dwa razy lekko uniosłam brew, wypuściłam z siebie dwa czy trzy rechociki, długo nie trwało, a już zaczęliśmy się przejeżdżać na całego po Willardzicy, a ja pomyślałam sobie: Ten Konstanty na pewno gwizdże na to, że jestem taka wysoka, że nigdy nie byłam w Europie i że nie znam kilku obcych języków. Ten człowiek ma nosa, przejrzał mnie i od razu zobaczył taką, jaka jestem naprawdę.

Konstanty zawiózł mnie starym, zielonym sportowym samochodem, ze zniszczonymi, ale bardzo wygodnymi siedzeniami skórzanymi i opuszczanym dachem, do gmachu ONZ. Dowiedziałam się, że grywa regularnie w tenisa i dlatego jest tak pięknie opalony. Siedzieliśmy wygodnie ramię przy ramieniu i sunęliśmy bez pośpiechu wzdłuż Manhattanu. Konstanty trzymał mnie za rękę, od

czasu do czasu ściskając ją znacząco, a ja byłam szczęśliwa. Nie pamiętam takiego uczucia szczęścia co najmniej od dziewiątego roku życia, kiedy ścigałam się z ojcem na białej nadmorskiej plaży. Wkrótce potem ojciec umarł.

A kiedy w pół godziny później siedziałam u boku poważnej i muskularnej tłumaczki rosyjskiej w wygodnym fotelu i przysłuchiwałam się jakimś obradom, uświadomiłam sobie nagle ze zdziwieniem, że naprawdę szczęśliwa to byłam tylko do tego dziewiątego roku życia.

A potem zrozumiałam jeszcze, że ani przynależność do skautingu, ani lekcje gry na fortepianie czy malowanie farbami wodnymi, ani lekcje tańca, ani pobyt na obozie żeglarskim, ani college – żadna z tych przyjemności, które zawdzięczałam ogromnym wysiłkom matki – ani wiosłowanie w ósemkach w porannej mgiele, ani pieczenie tortów z koleżankami, ani wspaniałe fajerwerki intelektualne, jakimi olśniewano mnie niemal co dzień – że to wcale nie było szczęście. Szczęściem było jedynie i wyłącznie dzieciństwo.

Przyglądałam się intensywnie młodej Rosjance, wciśniętej w obcisły szary kostium. Wyrzucała z siebie jak automat idiom za idiomem w tym jakże obcym dla mnie języku – Konstanty powiedział, że tłumaczenie z angielskiego na rosyjski jest dlatego takie trudne, że idiomy tych języków są zupełnie różne – i myślałam, że dałabym nie wiem co, żeby wleźć w jej skórę i przez całe życie już nic innego nie robić, tylko sypać jak ona

bezbłędnie tymi idiomami. Może nie stałabym się od tego szczęśliwsza, ale zbliżyłabym się w pewnym sensie do doskonałości.

A potem Rosjanka i Konstanty, i ta cała gromada czarnych, białych i żółtych ludzi, gadających szybko w małe, kieszonkowe mikrofoniki, jakby się rozplynęła. Patrzyłam na nich, widziałam, jak poruszają bezszmerowo ustami, i zdawało mi się, że oni siedzą na pokładzie oddalającego się okrętu, a ja tkwię na mieliźnie wielkiego milczenia.

Robiłam w duchu listę wszystkiego, czego nie umiem.

Zaczęłam od gotowania.

Moja matka i babka były tak wyśmienitymi kucharkami, że pozostawiałam im przyjemność gotowania. Próbowwały mnie uczyć przyrządzania różnych dań, ale ja przyglądając się ich zabiegom kulinarnym, mówiłam: „owszem, naturalnie” – i wszystko, co mówiły, przelatywało przeze mnie jak woda przez sito. Czasami próbowałam coś ugotować, ale nic mi, rzecz jasna, nie wychodziło i nikt nigdy nie namawiał mnie do powtórzenia eksperymentu.

Pamiętam, jak pewnego ranka, jeszcze w pierwszym semestrze, moja najlepsza i jedyna przyjaciółka, (ody, usmażyła mi jajecznicę u siebie w domu. Ta jajecznica miała dość dziwny smak, więc zapytałam, co do niej dodała. Odpowiedziała, że tarty ser i sól czosnkową. Zapytałam, kto ją tego nauczył, a ona na to, że nikt, że sama to sobie wymyśliła. No, ale Jody miała wielki zmysł

praktyczny i zamierzała robić magisterium z socjologii.

Stenografii także nie znałam.

Bez tego nie mogłam, oczywiście, liczyć na jakąkolwiek pracę po skończeniu college'u. Matka wciąż powtarzała, że nikt nie zatrudni dziewczyny magistra anglistyki bez znajomości stenografii. Pani magister anglistyki, znająca stenografię i maszynopisanie, to zupełnie inna para kaloszy. Taka bez trudu znajdzie posadę. Całe zastępy młodych, stojących u progu kariery mężczyzn zechcą dyktować jej niezliczone ilości fascynujących listów.

Ale ja nie miałam najmniejszego zamiaru wysługiwania się młodym, obiecującym biznesmenom jako sekretarka. Zamierzałam sama dyktować fascynujące listy. A poza tym, jak zobaczyłam w podręczniku mamy te ohydne, małe, czarne znaki, zapalałam do nich taką samą nienawiścią jak do równań matematycznych, w których „t” oznacza czas, a „s” – odległość pomiędzy dwoma punktami.

Lista moich niedociągnięć robiła się coraz dłuższa.

Nie umiałam, na przykład, zupełnie tańczyć. Nie miałam słuchu. Równowagę miałam chwiejną, szczególnie kiedy kazali chodzić po desce z rozłożonymi ramionami i książką na głowie. Był to popisowy numer szkolnych lekcji gimnastyki. Zawsze się przewracałam. Nie jeździłam ani konno, ani na nartach, a były to dwa sporty, które mi szczególnie imponowały. Były jednakże zbyt kosztowne. Nie znałam niemieckiego, nie czytałam

po hebrajsku, nie umiałam pisać po chińsku. Nie byłam nawet pewna, gdzie znajduje się większość krajów, reprezentowanych przez siedzących naprzeciwko mnie delegatów.

Tak więc teraz, siedząc w dźwiękoszczelnym sercu gmachu ONZ, pomiędzy Konstantym, który umiał i grać w tenisa, i tłumacząc bezpośrednio z jednego języka na drugi, a Rosjanką, znajdującą niezliczone ilości idiomów, poczułam się po raz pierwszy w życiu bezgranicznie niekompetentna. Dotychczas po prostu się nad tym nie zastanawiałam.

Jedyna rzecz, jaką umiałam robić naprawdę dobrze, to zdobywać nagrody i stypendia naukowe, ale ten okres mojego życia zbliżał się nieuchronnie ku końcowi.

Czułam się jak koń wyścigowy w świecie, gdzie nie ma torów wyścigowych, albo jak student rekordzista sportowy, który znalazł się na pierwszej w życiu posadzie – giełda, granatowe ubranie – a któremu, jako jedyne wspomnienie wspaniałej przeszłości, pozostał złoty puchar na półce z wyrytym jak na nagrobku imieniem, nazwiskiem i datą.

Życie moje ukazało mi się w postaci rozgałęzionego drzewa figowego, tak jak w tamtym opowiadaniu.

Na każdej gałęzi wisiała dojrzała fioletowa figa, symbol jednej z czekających mnie w życiu szans. Reprezentowały męża, dom, dzieci, sławę poetki, wybitną karierę profesorską, karierę dziennikarską, Europę, Afrykę i Amerykę Południową, Konstantego, Sokratesa,

Attyle i całe zastępy kochanków o dziwnych imionach i niezwykłych zawodach. Jedna z fig reprezentowała złoty medal olimpijski za wioślarstwo. Na drzewie było jeszcze wiele dojrzałych owoców, których symboliki nie zdołałam odszyfrować.

Wyobrażałam sobie, że siedzę na tym drzewie i umieram z głodu, ponieważ nie mogę w żaden sposób zdecydować, którą figę zerwać. Miałam ochotę na wszystkie, na absolutnie każdą z tych fig z osobna, ale zerwanie jednej oznaczało automatycznie rezygnację z pozostałych, więc siedziałam, aż figi zaczęły się marszczyć, czernieć i jedna za drugą spadały na ziemię.

Restauracja Konstantego pachniała ziołami, przyprawami i kwaśną śmietaną. Od przyjazdu do Nowego Jorku ani razu nie byłam w takim miejscu. Żywiłam się nieustannie w okropnych jadłodajniach typu „Boski kotlet”, gdzie przy kontuarze pokrytym nienagannie czystym laminatem i wśród lustrzanych ścian podają gigantycznych rozmiarów hamburgery, zupę firmową i cztery rodzaje tortów.

Żeby dostać się do środka owej restauracji Konstantego, trzeba było zejść w dół po siedmiu słabo oświetlonych stopniach. Była to właściwie piwnica.

Na ścianach widniały afisze biur podróży, podobne do okien wychodzących na szwajcarskie jeziora, japońskie pasma górskie, afrykańskie stepy. Za oświetlenie służyły grube świece wetknięte w stare butelki i zdawało się, że spływa po nich od stuleci barwna stearyna – zielona na

czerwoną i na niebieską – tworząc skomplikowaną woskową koronkę. Każdy stół miał własną aureolę światła, a w niej kołysały się leciutko twarze ludzkie, rozgrzane i ciepłe jak płomienie tych świec.

Nie mam pojęcia, co jadłam, wiem tylko, że już po pierwszym kęsie poczułam się znacznie lepiej. Pomyślałam, że to moje drzewo z dojrzałymi figami, kurczącymi się powoli i opadającymi na ziemię, było po prostu wytworem wyobraźni i pustego żołądka.

Konstanty dolewał mi bez przerwy jakieś słodkie greckie wino o smaku kory sosnowej i po pewnym czasie zaczęłam gadać, że zamierzam uczyć się niemieckiego, że pojedę do Europy i zostanę korespondentką wojenną jak Madzia Higgins.

Kiedy doszliśmy do jogurtu z konfiturą z truskawek, byłam już w tak wyśmienitym humorze, że postanowiłam stracić z Konstantym cnotę.

Od chwili, kiedy Buddy Willard zwierzył mi się ze swojej przygody z kelnerką, myślałam, żeby się też z kimś przespać. Zrobienie tego z Buddym nie liczyłoby się, bo i tak byłby zawsze o jedną przygodę dalej, więc trzeba było znaleźć kogoś innego.

Jedyny chłopiec, z którym rozmawiałam na ten temat, był rodem z Południa, studiował w Yale. Przyjechał do naszego college'u na któryś weekend i dowiedział się, że jego ukochana poprzedniego dnia uciekła z jakimś kierowcą taksówki. Ponieważ mieszkała w jednym domu

ze mną, a ja byłam tej soboty jedyną studentką, która nie miała żadnej randki, więc mnie, rzecz prosta, przypadła rola pocieszycielki.

Poszliśmy do kawiarenki, usiedliśmy we wnęce, której drewniane ściany upstrzone były setkami inicjałów, popijaliśmy niezliczone ilości czarnej kawy i rozmawialiśmy bardzo szczerze o życiu seksualnym.

Chłopiec ten, imieniem Eryk, twierdził, że widok moich koleżanek, które co sobota gziły się nieprzytomnie pod latarniami – praktycznie na widoku publicznym, a także na gankach i w krzakach, by z wybiciem pierwszej godziny powrócić do swoich pokojów – przyprawia go o mdłości. Milion lat ewolucji, powiedział z goryczą, i czym jesteśmy? Zwierzętami.

A potem opisał mi swoją pierwszą przygodę.

Uczęszczał do szkoły średniej na Południu. W szkole tej istniało niepisane prawo, że przed maturą każdy chłopiec musi poznać przynajmniej jedną kobietę. Poznać, w biblijnym tego słowa znaczeniu, dodał Eryk.

Tak więc pewnej soboty pojechał z grupą kolegów autobusem do najbliższego miasta, do znanego domu publicznego. Kurwa Eryka nie pofatygowała się nawet, żeby zdjąć suknię. Była to tłusta, niemłoda kobieta o ufarbowanych na rudo włosach, podejrzenie grubych wargach i szczurzo szarej cerze. Nie chciała nawet zgasić lampy, więc wszystko odbywało się w świetle jednej zapaskudzonej przez muchy dwudziestoświecowej żarówki i zaraz okazało się, że nie jest to znowu taka

wielka przyjemność. Cała rzecz, twierdził Eryk, jest mniej więcej równie interesująca jak zrobienie kupki.

Powiedziałam, że jak się kobietę kocha, to sprawa jest, być może, nieco zabawniejsza, ale Eryk nie zgadzał się i powiedział, że kiedy myśli o tym, iż kobieta, z którą to robi, jest takim samym zwierzęciem jak inne, to mu się wszystkiego odechciewa, więc postanowił, że nigdy nie pójdzie do łóżka z dziewczyną, w której byłby zakochany. Do tych spraw będzie używał kurew, ukochana kobieta niech pozostanie czysta i nieskalana.

Przyszło mi na myśl, że Eryk może byłby dobry na jednorazowe przespanie się. Przede wszystkim dlatego, że już wiedział, jak to się robi, a poza tym, w przeciwieństwie do większości chłopców, potrafił rozmawiać na tematy seksualne bez wygłupiania się. Ale wkrótce potem napisał, że wydaje mu się, iż mógłby się we mnie zakochać, ponieważ jestem inteligentna i cyniczna, a mimo to mam twarz anioła, zupełnie, notabene, jak jego starsza siostra. Zrozumiałam więc, że nic z tego nie będzie, bo jestem właśnie typem kobiety, z którą nie zamierza sypiać, więc odpisałam mu, że niestety wychodzę wkrótce za mąż za przyjaciela z lat dzieciennych.

Im dłużej o tym myślałam, tym bardziej nęciła mnie myśl, żeby pozwolić się uwieść w Nowym Jorku tłumaczowi kabinowemu z Narodów Zjednoczonych. Konstanty robił wrażenie człowieka dojrzałego i dobrze wychowanego. Nie mieliśmy wspólnych znajomych,

którym mógłby się pochwalić swoją konkieta, co z reguły czynią studenci. Opowiadają wszystko szczegółowo kolegom w dormitoriach albo w hali sportowej. Poza tym nęciła mnie pikanteria tej sytuacji. Przespać się z facetem przysłanym mi przez panią Willard, a potem obciążyć tym jej sumienie!

Kiedy Konstanty zaproponował, żebyśmy poszli do jego mieszkania i wysłuchali nagrania koncertu bałałajkowego, uśmiechnęłam się do samej siebie. Matka wbijała mi w głowę, żebym nigdy, pod żadnym pozorem, nie szła do domu mężczyzny po kolacji, ponieważ jest to propozycja absolutnie jednoznaczna.

– Szalenie lubię bałałajki – odparłam więc bez wahania.

Pokój Konstantego miał balkon wychodzący na rzekę. Z daleka, z ciemności słychać było syreny ciągnących po wodzie berlinek. Byłam trochę wzruszona, nabrzmiała czułością i absolutnie przygotowana na wszystko.

Wiedziałam, że można od tego zejść w ciążę, ale myśl ta, zawieszona gdzieś wysoko nad głową, specjalnie mnie nie zrażała. Wiedziałam też, że nie ma stuprocentowego sposobu zapobiegania ciąży, ponieważ przeczytałam o tym w miesięczniku „Reader's Digest”. Matka moja przysłała mi ten artykuł do college[^]. Napisany był przez kobietę zamężną, adwokatkę, matkę wielu dzieci. Tytuł jego brzmiał: *Obrona dziewictwa*.

Podane tam były wszystkie możliwe powody, dla których kobieta powinna spać tylko i wyłącznie z

własnym mężem, i to dopiero po ślubie.

Pani adwokat pisała, że świat mężczyzny jest zupełnie inny niż świat kobiety, że uczucia kobiet są zupełnie inne od uczuć mężczyzn i że tylko małżeństwo może zbliżyć te dwa światy i połączyć te dwie kategorie emocjonalne. Matka moja dodała, że jest to prawda, którą przeciętna kobieta poznaje dopiero, kiedy jest za późno, i dlatego dobrze jest zawniczej zapoznać się z radami ekspertów w tej dziedzinie, to jest kobiet zamężnych.

Pani adwokat pisała jeszcze, że najlepsi z mężczyzn także zachowują cnotę dla swoich żon, ale nawet ci, którym się to nie udało, osobiście wolą wtajemniczyć swoje małżonki w praktyki miłosne. Każdy próbuje namówić swoją dziewczynę do stosunku przedślubnego, że to niby zadatek na przyszłość, każdy przyrzeka małżeństwo, ale potem traci szacunek dla narzeczonej i rozumuje na ogół, że skoro przespała się z nim, to na pewno robiła to także z innymi, i wszystko kończy się fatalnie. Dla kobiety.

Artykuł z kolei kończył się twierdzeniem, że strzeżonego Pan Bóg strzeże, a ponadto, że nie ma stuprocentowego sposobu zapobiegania ciąży, a ciąża to dla dziewczyny dopiero klops.

Pani adwokat brała pod uwagę wszystko z wyjątkiem uczuć dziewcząt.

Może zachowanie dziewictwa i małżeństwo z niewinnym jak łąza chłopcem jest rzeczywiście bardzo przyjemną przygodą, ale co będzie, jeżeli taki facet zaraz

po ślubie przyzna się, że kłamał, jak chociażby Buddy Willard? Nie mogłam się pogodzić z tym, że kobieta musi prowadzić życie cnotliwe i niepokalane, a mężczyzna może sobie żyć życiem podwójnym – grzesznym i cnotliwym, takim i siakim, jak mu się podoba.

W końcu zdecydowałam, że ponieważ znalezienie inteligentnego, normalnego, a jednocześnie niewinnego chłopaka w wieku lat dwudziestu jest rzeczą niemalże niemożliwą, to nie muszę tak strasznie chronić własnej cnoty. Postanowiłam jakoś pogodzić się z myślą o małżeństwie z mężczyzną, który przeżył już coś w tej dziedzinie. Nie mógłby przynajmniej mieć do mnie pretensji, bo sam nie byłby bez winy.

Kiedy miałam lat dziewiętnaście, utrata cnoty uchodziła za sprawę bardzo poważną.

Świat nie dzielił się na demokratów i republikanów, katolików i protestantów, białych i czarnych, ani nawet na mężczyzn i kobiety, ale jedynie i wyłącznie na ludzi, którzy już stracili cnotę, i takich, którzy się jeszcze z nikim nie przespali. Stanowiło to jedyną istotną różnicę pomiędzy jedną osobą a drugą. Przynajmniej dla mnie.

Byłam przekonana, że w dniu, w którym zdecyduję się na przekroczenie tej wymyślonej linii demarkacyjnej, nastąpi we mnie jakaś zupełnie zasadnicza zmiana.

Myślałam, że będzie to mniej więcej takie uczucie, jakiego zaznałabym na przykład po powrocie z pierwszej podróży po Europie. Wracam do domu, przyglądam się

sobie uważnie w lustrze i oto dostrzegam w głębi źrenicy malutki wizerunek Alp. A teraz pomyślałam, że jak jutro spojrzę do lustra, to zobaczę na dnie oka malutkiego, uśmiechniętego Konstantego.

Ale naprawdę było tak: Przez dobre dwie godziny siedzieliśmy na balkonie na dwóch wygodnych leżakach i słuchaliśmy nagrań bałałajkowych z leżącego pomiędzy nami adaptera. Przyglądaliśmy się sobie w słabym świetle latarni ulicznych, księżyca, gwiazd albo reflektorów przejeżdżających samochodów – sama już nie pamiętam – a Konstanty trzymał mnie za rękę i nie wykazywał najmniejszej ochoty uwiedzenia mnie.

Spytałam go, czy jest zaręczony, czy ma dziewczynę, bo myślałam, że może to go tak powstrzymuje, ale odparł, że nie, że nic z tych rzeczy, że odwrotnie: bardzo uważa, żeby się z nikim nie wiązać.

Po pewnym czasie poczułam, że zaczyna mnie morzyć sen, pewnie przez to wino z kory sosnowej.

– Może pójdę do pokoju i położę się trochę – zaproponowałam.

Weszłam do pokoju i pochyliłam się, by zrzucić z nóg pantofle. Czyste łóżko Konstantego kołysało się lekko przed moimi oczami jak bezpieczna, solidna łódź. Wyciągnęłam się na nim i zamknęłam oczy. Po chwili usłyszałam, że Konstanty także wchodzi do pokoju. Westchnął, zrzucił jeden but, potem drugi i położył się obok.

Przyglądałam mu się dyskretnie spoza zasłony moich

długich włosów.

Leżał na plecach, z rękami pod głową i wpatrywał się w sufit. Wykrochmalone, zawinięte rękawy jego białej koszuli lśniły w ciemności niesamowitym blaskiem, a jego opalona skóra wydawała się niemal czarna. Pomyślałam, że jest chyba najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziałam w życiu.

I jeszcze pomyślałam, że gdybym przynajmniej była sławną pisarką albo znała się na polityce, albo chociaż miała interesujące rysy twarzy, Konstanty zdecydowałby się może przespać ze mną choć raz.

A potem zaczęłam się zastanawiać, czy gdybym mu się spodobała, przestałby mi się wydawać taki inny, a gdyby się we mnie zakochał, czy nie znalazłabym w nim natychmiast najrozmaitszych wad, tak jak było z Buddym Willardem czy innymi chłopakami jeszcze przed Buddym.

Bo ze mną zawsze jest tak: Z daleka facet wydaje mi się z reguły niezwykły i niemal doskonały ale kiedy poznam go bliżej, znajduję w nim tysiące wad.

Dlatego między innymi postanowiłam nigdy nie wychodzić za mąż.

Ale najbardziej w świecie bałam się zakotwiczenia w bezpiecznej małżeńskiej przystani, no i tego, żeby nie zostać przypadkiem miejscem, z którego wychodzi strzała. Odwrotnie, marzyłam o zmianach, przygodach i sama chciałam być strzałą – co tam: całą masą barwnych, roziskrzonych strzał, kolorowych jak fajerwerki w święto

Niepodległości.

Obudził mnie szum deszczu.

W pokoju było ciemno jak w grobie. Po chwili wyłonił się słaby zarys nie znanego mi okna. Od czasu do czasu wąski promień światła pojawiał się znikąd, przesuwał się po ścianie, jakby narysowany ręką wścibskiego duszka, i równie tajemniczo znikał.

Nagle usłyszałam słaby świst czyjegoś oddechu.

Przez moment myślałam, że może to ja tak oddycham, że wciąż leżę w ciemności w moim pokoju hotelowym i walczę z chorobą. Wstrzymałam więc oddech, ale nic się nie zmieniło.

Tuż koło mnie błysnęło zielone oko podzielone liniami jak kompas. Wyciągnęłam rękę, chwyciłam je i powoli przysunęłam do siebie. Wraz z okiem podniosłam ludzką rękę, ciężką jak u nieboszczyka, ale ciepłą i senną.

Zegarek Konstantego wskazywał godzinę trzecią.

Leżał przy mnie ubrany w koszulę, spodnie i skarpetki, tak jak go widziałam, zasypiając, a kiedy wzrok mój przywykł do ciemności, zobaczyłam jego blade powieki, prosty nos i te jego pięknie wykrojone usta, na których igrał lekki tolerancyjny uśmiezek. Wszystko było niematerialne, zasnute jakby mgłą. Przez kilka minut przyglądałam mu się uważnie. Po raz pierwszy w życiu spałam na jednym łóżku z mężczyzną.

Usiłowałam sobie wyobrazić, że Konstanty jest moim mężem.

Musiałabym wówczas wstawać o siódmej, smażyć mu

jaja na bekonie, robić grzanki i kawę, tłuc się po domu w szlafroku, z włosami nawiniętymi na walki, aż wyszedłby do pracy, potem trzeba by było pozmywać, zasłać łóżka, a wieczorem, po powrocie do domu z całodzienną, fascynującą pracą, małżonek żądałby oczywiście dobrej kolacji. Po kolacji musiałabym, rzecz jasna, znowu zmywać całe góry naczyń, po czym, śmiertelnie zmęczona, waliłabym się do łóżka.

Nudne by to było, zmarnowane życie dla dziewczyny po piętnastu latach nauki, to fakt, ale wiedziałam, że tym jest właśnie małżeństwo dla kobiety, sprzątaniami, gotowaniem i zmywaniem. Takie były właśnie główne i niemal jedyne zajęcia matki Buddy'ego, która była żoną profesora, a przed zamążpójściem uczyła w szkole podstawowej.

Pewnego dnia zastałam panią Willard przy robieniu dywanika z nitek, które wyciągała ze starego ubrania pana Willarda. Robota ta zajęła jej wiele pracowitych tygodni. Wyraziłam swój podziw dla kolorów, bo naprawdę pięknie dobrała granaty, szarość i zielenie. Ale kiedy pani Willard skończyła dywanik, to zamiast powiesić go nad łóżkiem – co ja zrobiłabym bez wahania – położyła go w kuchni na podłodze, tak że już po kilku dniach był brudny, przetłuszczony i nie różnił się niczym od pierwszej lepszej maty kuchennej, nabytej u Woolwortha za kilkadziesiąt centów.

Wiedziałam, że róże, pocałunki i intymne kolacyjki po restauracjach mężczyźni fundują swoim dziewczynom

tylko w okresie narzeczeństwa. Natychmiast po ślubnej uroczystości ogarnia ich jedno jedyne skryte pragnienie. Chcą, żeby żona rozłożyła się pod ich nogami, jak ta mata w kuchni pani Willard.

Nawet moja własna matka opowiadała mi pewnego razu, że gdy powróciła z podróży poślubnej – byli w Reno, ponieważ ojciec przedtem musiał sobie tam załatwić rozwód – papa westchnął z ulgą i powiedział:

– No, nareszcie będziemy mogli przestać się wygłupiać i być sobą!

I od tego dnia moja matka nie zaznała już ani chwili radości.

Pamiętam też, jak Buddy Willard powiedział kiedyś ponurym i zarozumiałym tonem, że jak zostanę matką, to się zmienię, że na pewno przejdzie mi ochota do pisania wierszy. Zastanawiałam się nad tym i doszłam do wniosku, że posiadanie męża i dzieci równa się przepierce mózgu, człowiek staje się czymś w rodzaju głupiego niewolnika w małym, totalitarnym państewku.

Wpatrywałam się więc w Konstantego, tak jak gdyby był małym, nieosiągalnym kamyczkiem na dnie głębokiej studni; nagle powieki jego zadrgały, uniosły się i spojrzął na mnie oczami pełnymi miłości. Ale gdy mnie tylko rozpoznał, wzrok jego stał się szklany i obojętny, a rozszerzone, błyszczące źrenice pociemniały.

Usiadł, przeciągnął się i ziewnął.

– Która godzina? – zapytał.

– Trzecia – odpowiedziałam obojętnie. – Muszę wracać

do siebie. Idę wcześniej do pracy.

– Odwiozę cię.

Kiedy siedzieliśmy odwrócenii plecami po dwóch stronach łóżka, w niemiłosiernie jasnym świetle lampy i mocowaliśmy się ze sznurowadłami, Konstanty nagle odwrócił się do mnie.

– Czy twoje włosy zawsze są takie?

– Jakie?

Nie odpowiedział, ale wyciągnął rękę, położył mi ją na głowie i powoli przejechał palcami jak grzebieniem przez moje włosy. Lekki prąd elektryczny przeszył całe moje ciało, ale nawet nie drgnęłam. Od dzieciństwa lubię, kiedy mnie ktoś czesze. Uspokaja mnie to i usypia.

– Już wiem – stwierdził Konstanty. – Pewnie są świeżo umyte.

I nachylił się, żeby skończyć sznurowanie swoich tenisówek.

W godzinę później znajdowałam się już w swoim hotelowym łóżku. Leżałam i wsłuchiwałam się w szum deszczu. Lało jak z cebra. Poczułam ból w lewej nodze, więc porzuciłam wszelką nadzieję zaśnięcia przed siódmą, kiedy radosne dźwięki marsza Sousy miały wydobyć się z mojego radiobudzika.

Kiedy padał deszcz, budził się stary ból w miejscu, w którym kiedyś złamałam nogę, i przywodził na myśl inny ból, tępy, ale równie dotkliwy.

Buddy Willard jest odpowiedzialny za to, że złamałam wtedy nogę – pomyślałam niemal głośno.

I zaraz potem: Wcale nie. To moje dzieło Złamałam ją dlatego, że chciałam się ukarać za własną głupotę.

Rozdział 8

W góry Adirondack zawiózł mnie pan Willard.

Było nazajutrz po Bożym Narodzeniu, niebo szare, chmury spęczniałe śniegiem. Jak zawsze po świętach byłam przejeżdżona, rozczarowana i ogłupiała, bo tak już jest, że to wszystko, co zwiastują prezenty świąteczne, wstążki, choinki, świeczki, płonące na kominkach ognie, pieczone indyki z nadzieniem, kolędy z akompaniamentem fortepianowym, musi się kończyć wielkim rozczarowaniem.

W czasie Bożego Narodzenia zawsze żałowałam, że nie jestem katoliczką.

Najpierw prowadził pan Willard, a potem ja. Nie pamiętam już, o czym rozmawialiśmy. Zaśnieżony krajobraz stawał się coraz bardziej ponury, ciemne sosnowe lasy pokrywały stoki gór. Były tak intensywnie zielone, że niemal wpadały w czerń. Robiło mi się coraz smutniej i smutniej.

Miałam ochotę zaproponować panu Willardowi, żeby sobie pojechał dalej, a ja wrócę do domu autostopem.

Ale jedno spojrzenie na tego człowieka – srebrno-siwe włosy, ostrzyżone chłopięco na jeża, szczerze niebieskie oczy, różowe policzki, cera jak lukier na torcie weselnym i ten niewinny, ufny wyraz twarzy – i zrozumiałam, że nic z tego, że trzeba będzie przeżyć tę wizytę do samego końca.

Okolo południa przejaśniło się nieco. Zaparkowaliśmy na oblodzonym parkingu tuż przy szosie i zjedliśmy sandwicze z sałatką z tuńczyka, kruche ciasteczka i jabłka, popijając czarną kawę z termosu. Posiłek ten przygotowała nam pani Willard.

Pan Willard przyglądał mi się życzliwym okiem. Zjadł, odchrząknął i strząsnął okruszyny ze spodni. Od razu zorientowałam się, że powie coś ważnego, ponieważ jako człowiek bardzo nieśmiały zawsze chrząkał, zanim zabierał głos. Byłam kiedyś na jego wykładzie z ekonomii i wtedy także długo chrząkał, zanim zaczął mówić.

– Nelly i ja zawsze marzyliśmy o córce.

Przez krótką obłąkaną chwilę sądziłam, że pan Willard usiłuje mi w ten sposób dać do zrozumienia, że jego żona zaszła w ciążę i że spodziewają się córeczki. Ale zaraz dodał:

– I nie wyobrażam sobie milszej córki aniżeli ty.

Pan Willard był pewny, że płacze ze szczęścia, bo poklepał mnie po ramieniu, chrząkał i chrząkał, i w kółko powtarzał:

– No dobrze, już dobrze. Rozumiem, wszystko rozumiem.

Potem wysiadł z samochodu, obszedł go, ja przesunęłam się na jego miejsce, on wsunął się za kierownicę i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Nie pamiętam już, jak sobie wyobrażałam sanatorium Buddy'ego. Może jako śliczny drewniany domek szwajcarski, zbudowany na szczycie góry, zamieszkaany

przez pięknych chłopców i cudownej urody dziewczyny o różowych policzkach i niezdrowo błyszczących oczach, leżakujących na balkonach, pod grubymi pledami.

„Gruźlica to jak bomba w płucach” – pisał biedny Buddy w jednym ze swoich listów. – „Człowiek musi po prostu leżeć bardzo cicho i spokojnie, żeby nie wybuchła”.

Nie wyobrażałam sobie Buddy'ego leżącego bez ruchu. Cała jego filozofia życiowa polegała na tym, że człowiek powinien być szalenie czynny i wykorzystywać każdą chwilę. Nawet kiedy latem jeździliśmy na plażę, Buddy nie kładł się na piasek, żeby się po prostu opalać, tak jak ja. O nie! Biegał albo kopał piłkę, albo gimnastykował się, nie marnował ani sekundy.

Kazano nam siedzieć w poczekalni, aż się skończy popołudniowy odpoczynek pacjentów.

Koncepcja dekoracyjna lekarza prowadzącego sanatorium musiała być oparta na wątrobie. Wszędzie brązowe boazerie, fotele kryte skórą, ściany, które były, być może, niegdyś białe, ale uległy chorobie pleśni i wilgoci. Podłogę zakrywało brunatne marmurkowe linoleum.

Na niskim stoliku, pełnym okrągłych i półkolistych płam na ciemnym fornirze, leżały stare numery „Time'a” i „Life'u”. Otworzyłam jeden na chybił trafił. Uśmiechnięta twarz Eisenhowera, gładka i tępa jak twarzyczka embrionu pływającego w spirytusie, spojrzała na mnie zniechęta.

Po chwili zaintrygował mnie filuterny, cichutki szum. Przez minutę myślałam, że wilgoć zaczęła się już skraplać i spływa po ścianach, ale nie, to szumiała mała fontanna, umieszczona w kącie poczekalni.

Wytryskiwała z kikuta zwykłej rury z wysokości kilkunastu centymetrów. Woda rozkładała się szerokim wachlarzem, potem spadała i znikwała w kamiennym baseniku, wyłożonym białymi ośmiokątnymi kafelkami, jakie widuje się najczęściej w toaletach publicznych.

Nagle rozległ się dzwonek, w oddali zaczęły się otwierać i zamykać liczne drzwi i do poczekalni wszedł Buddy.

– Halo, tato.

Objął i uściskał ojca, po czym podszedł do mnie, uśmiechając się koszmarnym, radosnym uśmiechem, i wyciągnął rękę. Uścisnęłam ją. Była pulchna i spocona.

Ja i pan Willard siedzieliśmy na skórzanej kanapce, a Buddy naprzeciwko nas, na brzegu śliskiego fotela. Nie przestawał się uśmiechać, jak gdyby kąciki jego ust rozciągnięte były niewidzialnym drutem.

Nigdy nie przyszło mi na myśl, że Buddy mógłby się roztyć. Szczególnie w sanatorium. Odwrotnie, byłam przekonana, że jest chudy jak szczapa, ma zapadnięte policzki i oczy płonące w kościstych oczodołach.

A tymczasem wszystko, co kiedyś było w Buddym wklęsłe, stało się wypukłe. Pod obcisłą, białą nylonową koszulą rysował się pokaźny brzusek, a policzki miał krągłe i czerwone jak z marcepanu. Nawet jego śmiech

był tłustawy.

Spojrzeliliśmy sobie w oczy.

– To przez tutejsze jedzenie – powiedział. – Tuczą nas przez cały dzień i nie pozwalają nam się ruszać. Ale już mi wolno spacerować przez godzinę dziennie, więc nie martw się, daj mi dwa tygodnie, a pozbędę się tego tłuszczu. – Skoczył na nogi, uśmiechając się jak wytworny gospodarz domu. – Czy chcielibyście zobaczyć mój pokój?

Szłam za Buddym, a pan Willard za mną. Przeszliśmy przez dwoje wahadłowych drzwi, przez długi, słabo oświetlony korytarz o ścianach koloru wątroby i podłodze śmierdzącej pastą i linoleum, i jeszcze czymś, co zalatywało przywiedłą gardenią.

Buddy pchnął jakieś brunatne drzwi i wszyscy weszliśmy do wąskiego pokoiku.

Całą niemal przestrzeń zajmowało kiepsko zaścielone łóżko spowite cienką, białą narzutą w nikłe, niebieskie paseczki. Przy łóżku stał nocny stolik, a na nim dzbanek z wodą, szklanka i słoik wypełniony różowym płynem dezynfekcyjnym, z którego sterczała srebrna gałązka termometru. Pomiedzy łóżkiem a szafą znajdował się niewielki stół, na którym piętrzyły się podręczniki i bruliony oraz kilka ulepionych z gliny jeszcze nie wypalonych naczyń.

– Bardzo sympatyczny pokój – chrząknął pan Willard.

Buddy roześmiał się.

– A to co? – wzięłam do ręki brunatne gliniane

naczynko w kształcie liścia, z żyłkami starannie narysowanymi żółtą kreską. Buddy nie palił.

– To popielniczka. Zrobiłem ją dla ciebie.

Odłożyłam popielniczkę na stół.

– Przecież nie palę.

– Wiem, ale myślałem, że może ci się spodoba.

– No cóż – pan Willard oblizywał wyschnięte wargi.

Chyba już czas na mnie. Chyba już zostawię was, młodych.

– Dziękuję ci, tato, do widzenia.

Byłam zaskoczona. Spodziewałam się, że pan Willard też zostanie na noc i że nazajutrz powrócimy razem samochodem.

– To ja też pojedę.

– Nie, nie. – Pan Willard odliczył kilka banknotów i wręczył je Buddy'emu.

– Zajmij się Esther, dobrze? Przypilnuj, żeby dostała dobre miejsce w pociągu. Zostanie tu dzień albo dwa.

Buddy odprowadził ojca do drzwi.

Zrozumiałam, że pan Willard po prostu mnie oszukał. Byłam teraz pewna, że to było z góry zaplanowane, ale Buddy potem przysięgał, że nie, że jego ojciec nie znosi widoku ludzi chorych, a już szczególnie chorego syna, ponieważ jest absolutnie przekonany, że choroby ciała są w gruncie rzeczy wyłącznie chorobą woli. Pan Willard nie przeleżał ani jednego dnia w łóżku. Taki to był człowiek.

Usiadłam na łóżku Buddy'ego. Nie było po prostu

innego miejsca.

Buddy zaczął szperać wśród swoich papierów i podał mi numer jakiegoś cienkiego pisemka w szarej oprawie.

– Przeczytaj stronę jedenastą.

Był to magazyn wydawany w stanie Maine. Zawierał wiersze i krótkie utwory prozą, oddzielone od siebie trzema gwiazdkami. Na stronie jedenastej znalazłam wiersz pod tytułem *Świt na Florydzie*. Szybko prześliznęłam wzrokiem po nie kończących się strofach, opisujących słońce koloru arbuza i palmy koloru skorupy żółwia oraz muszle rzeźbione jak greckie kapitele.

– Nieźle – powiedziałam.

Okropne, pomyślałam.

– Jak myślisz, czyje to? – zapytał Buddy z tajemniczym uśmiechem.

Spojrzałam na podpis. B. S. Willard.

– Nie mam pojęcia – powiedziałam, ale szybko dodałam: – Oczywiście, że wiem, Buddy! Tyś to napisał.

Buddy przysunął się do mnie.

Odsunęłam się. Nie znam się na gruźlicy, ale zawsze uważałam ją za bardzo groźną chorobę, szczególnie że rozwija się tak niepostrzeżenie. Wyobrażałam sobie, że Buddy otoczony jest rojem niewidzialnych, ale morderczych bakterii.

– Nie bój się – roześmiał się Buddy – ja nie prątkuję.

– Nie prątkujesz?

– Nie mogę nikogo zarazić.

Oddychał głęboko, jak gdyby się zasapał, idąc pod

górze.

– Chciałbym ci zadać jedno pytanie. – Miał nowy zwyczaj zagładania rozmówcy głęboko w oczy, jak gdyby mu próbował prześwidrować wzrokiem głowę i zajrzeć do mózgu.

– Myślałem nawet, żeby cię zapytać listownie.

Wyobraziłam sobie niebieską kopertę z wyciśniętym emblematem Yale.

– Ale potem postanowiłem, że poczekam, aż przyjedziesz, i zapytam cię osobiście. – Zrobił pauzę. – No co, nie jesteś nawet ciekawa?

– Jestem – odpowiedziałam suchym, beznamiętnym głosem.

Buddy przysunął się znowu. Objął mnie i odgarnął włosy z mojego prawego ucha. Nawet nie drgnęłam.

– Czy chciałabyś zostać panią Willard? – szepnął.

Zachciało mi się okropnie śmiać.

Pomyślałam, że przez pięć czy sześć lat, kiedy po kryjomu i na odległość uwielbiałam Buddy'ego Willarda, pytanie takie całkowicie by mnie znokoutowało.

Buddy zauważył, że nie spieszę się z odpowiedzią.

– Oczywiście, nie jestem w tej chwili w formie – powiedział szybko. – Biorę jeszcze PAS i nie jest wykluczone, że będą mi musieli wyjąć jedno lub dwa żebra, ale na jesieni na pewno wrócę do medyka. Najpóźniej za rok...

– Buddy, muszę ci coś powiedzieć.

– Wiem – Buddy zeszywniał. – Poznałaś innego

chłopaka.

– Nie, to nie to.

– No to co?

– Ja w ogóle nie zamierzam wychodzić za mąż.

– Zwariowałaś! – Buddy rozchmurzył się z miejsca. –

Na pewno zmienisz zdanie.

– Nie. Jestem zupełnie zdecydowana.

Ale Buddy nie był zrażony.

– Czy pamiętasz, jak wracaliśmy autostopem do domu?

– Pamiętam.

– Pamiętasz, że zapytałeś mnie wtedy, czy wolałabym mieszkać w mieście czy na wsi?

– A ty odpowiedziałaś...

– A ja odpowiedziałam, że i tu, i tam.

Buddy skinął głową.

– A ty – ciągnęłam dalej w nagłym przypiływie energii – ty śmiałeś się i powiedziałeś, że to są wyraźne predyspozycje do nerwicy, bo to pytanie jest z jakiegoś psychotestu, który przerabialiście na seminarium w poprzednim tygodniu.

Uśmiech Buddy'ego zaczął przygasać.

– I wiesz, co ci powiem? Miałaś rację. Ze mną nie jest dobrze. Nie mogłabym mieszkać stale ani na wsi, ani w mieście.

– Więc może pośrodku między jednym a drugim? – zaproponował Buddy. – Mogłabyś wtedy czasami bywać w mieście, a czasami jeździć na wieś.

– I to ma być objaw nerwicy?

Buddy milczał.

– No więc? – warknęłam. – Nie trzeba się cackać z chorymi, to im tylko jeszcze bardziej przewraca w głowie.

– Nic, nic – wymamrotał Buddy.

– Nerwica! – zaśmiałam się szyderczo. – Jeżeli nerwica ma polegać na tym, że człowiek pragnie dwóch, zupełnie sprzecznych ze sobą rzeczy naraz, to, owszem, w takim razie jestem wariatką! Wiem, że przez całe życie będę się miotać pomiędzy różnymi, wykluczającymi się nawzajem pragnieniami!

– Pozwól, że będę się miotać wraz z tobą – powiedział Buddy i położył dłoń na mojej dłoni.

Stałam na szczycie stromego wzgórza i patrzyłam w dół. Nie powinnam się tam była pchać, to pewne. Nigdy w życiu nie miałam nart na nogach, ale co tam, pomyślałam, pojedę na górę i nacieszę się widokiem.

Na lewo wyciąg wypluwał z siebie w regularnych odstępach czasu narciarza za narciarzem. Śnieg był ubity, wygładzony śladami niezliczonej ilości nart. W południe słońce podgrzało go tu i ówdzie, po czym chwycił mróz, nadając kałużom szklisty, wysoki połysk. Ostre, mroźne powietrze przenikało do płuc i zatok czołowych.

Z lewej i z prawej narciarze w czerwonych, niebieskich i białych wiatrówkach szusowali na olśniewająco białą nartostradę, podobną do wystrzępionej amerykańskiej flagi. Z dołu, z zachrypniętego głośnika, dochodziły tony modnej wówczas piosenki:

W małym domeczku we dwoje
Pod Jungfrau siedzieć, ach...

Zdawało mi się, że znajduję się na śnieżnej pustyni i że opodal huczy niewidzialna, rwąca rzeka. Jeden nieopatrzny, ale wspaniały ruch i wyrzucona jak z katapulty znaję się cudem na nartostradzie, w pogoni za małym, zielonkawym punkcikiem, sunącym samym środkiem. Tym punkcikiem był Buddy Willard.

Od wczesnego rana Buddy uczył mnie jazdy na nartach.

Najpierw wypożyczył narty i kijki od jakiegoś przyjaciela, buty narciarskie od żony swojego lekarza – były tylko o jeden numer za duże – wreszcie czerwoną wiatrówkę od jednej z pielęgniarek. Był niezwykle stanowczy i mój tępy opór wcale go nie zrażał.

(Przypomniało mi się, że jeszcze w szkole medycznej Buddy dostał nagrodę za to, że namówił jakąś tam ilość rodzin zmarłych pacjentów, by zgodzili się na sekcję zwłok swoich bliskich, chociaż nie było to konieczne. Zwłoki te potrzebne były studentom do nauki. Nie pamiętam już, co za to dostał, ale mogę sobie doskonale wyobrazić, jak Buddy Willard, w białym kitlu ze stetoskopem wystającym z kieszeni, zupełnie jakby był częścią jego ciała, uśmiecha się, kłania i zagaduje tych nieszczęsnych, zapłakanych krewniaków świeżych nieboszczyków, żeby mu podpisali taki jeden mały

papierek).

Następnie Buddy pożyczył samochód swojego lekarza. Lekarz ten notabene sam kiedyś chorował na gruźlicę i dlatego był bardzo wyrozumiały dla pacjentów. W momencie kiedy głośnik na korytarzu sanatorium zaskrzeczał, anonsując godzinę spaceru, wyruszyliśmy w drogę.

Buddy był też nowicjuszem, ale twierdził, że zasady jazdy są niezmiernie proste, a ponieważ wielokrotnie obserwował instruktorów i ich uczniów, więc podjął się nauczania mnie wszystkiego, co ważne.

Przez pierwsze pół godziny posłusznie podchodziłam na małe zbocze, odpychałam się kijkami i zjeżdżałam równo w dół. Buddy był zadowolony z moich postępów.

– Doskonale, Esther – chwalił, gdy podchodziłam po raz dwudziesty. – Spróbujemy teraz wyciągu linowego.

Stałam jak wryta. Byłam zadyszana i czerwona jak rak.

– Ależ, Buddy, ja jeszcze nawet nie umiem skręcać. Zobacz, że wszyscy ci ludzie z wyciągu doskonale opanowali skręty.

– Nie musisz przecież jechać na samą górę. Oskoczysz w połowie drogi i nie zdążysz nabrać wielkiego rozpędu.

Buddy podprowadził mnie pod wyciąg, pokazał mi, jak trzeba trzymać linę, tak żeby ślizgała się przez rękę, potem zacisnąć na niej palce i jechać.

Nawet nie wpadło mi do głowy, że mogłabym się nie

zgodzić.

Zacisnęłam więc ręce mocno na grubej, szorstkiej, chropowatej jak żmija linie i pojechałam.

Lina szarpała, chwiałam się, z trudem utrzymywałam równowagę i już wiedziałam, że nie uda mi się puścić jej w połowie trasy. Przede mną był jeden narciarz, za mną drugi, na pewno bym się natychmiast przewróciła i nadziała na narty i kijki. Wolałam tego uniknąć, więc puściłam linę dopiero na samej górze.

Ale na górze zaczęłam się poważnie zastanawiać nad całą sytuacją.

Stałam więc bez ruchu w tej mojej czerwonej wiatrówce i patrzyłam, jak z dołu Buddy daje mi znaki rękami. Wyglądał jak wiatrak koloru khaki. Zorientowałam się, że chce, żebym się zapuściła pomiędzy szusujących narciarzy. Niezdecydowana i dosyć przerażona, chwiałam się na deskach, aż tu nagle gładka, biała powierzchnia dzielącego nas stoku zaczęła zachodzić mgłą.

Bo z prawa i z lewa przecinali go teraz pojedynczy narciarze, a tam na dole, na drugim skraju białego pola, stał Buddy i machał rękami jak szalony. Całe wzgórze roilo się od malutkich, zwinnych stworzonek, podobnych do bakterii oglądanych przez mikroskop lub do lekko przechylonych, kolorowych wykrzykników.

Oderwałam wzrok od tego niebywałego widowiska i spojrzałam w górę.

Patrzyło na mnie kolosalne, szare oko nieba,

przymglone lekko słońce zebrało w sobie jak w soczewce bezkresne, milczące przestrzenie ze wszystkich punktów kompasu – cały korowód bladych wzgórz, kończący się tuż u moich stóp.

Głos rozsądku mówił mi, żebym nie była idiotką, żebym ratowała skórę, zdjęła narty i zeszła na dół piechotą, żebym uciekała, gdzie pieprz rośnie. Myśl o tym, że za chwilę mogę się zabić, wyrosła w mojej świadomości beznamiętnie jak drzewo lub kwiat.

Zmierzyłam przestrzeń dzielącą mnie od Buddy'ego.

Stał teraz z założonymi rękami, jak gdyby był częścią wyrastającego za nim drewnianego płotu – tępy, brunatny, pozbawiony większego znaczenia.

Nachyliłam się, wbiłam kijki w twarde śnieg, odepchnęłam się i pojechałam. Wiedziałam, że nie zatrzymam się już nawet największym wysiłkiem woli.

Celowałam prosto w dół.

Gwałtowny wiatr niespodzianie trzepnął mnie w usta z ogromną siłą, włosy stanęły mi prostopadle nad czołem. Zjeżdżałam, ale mimo to białe słońce nie przesunęło się do góry. Wisiało nad nieruchomą falistą linią wzgórz – bezduszna oś, wokół której kręciła się Ziemia.

W najtajniejszych zakamarkach mojego ciała coś się poruszyło, wychynęło na powierzchnię i poleciało ku słońcu. Płuca nabrzmiały cudowną treścią tego krajobrazu: powietrza, gór, drzew, ludzi. To jest właśnie pełnia szczęścia, pomyślałam.

Szusowałam, mijając narciarzy, instruktorów, uczniów,

pędziłam, pozostawiając za sobą lata nieszczerości, fałszywych uśmiechów, tchórzliwych kompromisów.

Ludzie i drzewa rozstępowały się przede mną jak ściany ciemnego tunelu, a ja zmierzałam szaleńczo ku jasnemu punktowi przyświecającemu mi w oddali, ku kamyczkowi rzuconemu w studnię, ku słodkiemu białemu dziecięciu, skulonemu w matczynym łonie.

Usłyszałam chrzęst i poczułam smak żwiru w ustach. Lodowato zimna woda wpływała mi do krtani.

Nade mną zawisła twarz Buddy'ego, wielka i bliska zarazem, jak zbłąkana planeta. Za nią majaczyły inne, obce twarze. A jeszcze dalej roiło się mnóstwo czarnych punkcików na białym tle. Powoli, po kawałku, jak za dotknięciem różdżki jakiejś beznadziejnie nudnej czarodziejki, prawdziwy świat powracał na swoje miejsce.

– Byłaś cudowna – chwalił mnie znajomy głos – dopóki ten facet nie zastąpił ci drogi.

Jacyś ludzie zdejmowali mi wiązania, zbierali moje kijki, wbite w dwie dość odległe od siebie pryzmy śniegu. Za moimi plecami wyrósł drewniany płot.

Buddy nachylił się, ściągnął mi buty i kilka par wełnianych skarpetek, którymi je wypełniłam. Jego tłusta rączka zacisnęła się na mojej lewej stopie, obmacywał dokładnie kostkę, naciskał delikatnie, puszczał, znów naciskał, jak gdyby szukał ukrytej broni.

W zenicie stało obojętne białe słońce, cienkie teraz jak tarcza do ostrzenia noży. Ach, gdybym to ja mogła

naostrzyć się na nim i stać się święta i cienka, i pożyteczna jak dobry nóż.

– Wracam na górę – oświadczyłam. – Muszę to powtórzyć.

– O nie, nic z tego.

Na twarzy Buddy'ego ukazał się dziwny uśmiech, pełen ukrytej satysfakcji.

– Nic z tego – powtórzył i uśmiechnął się raz jeszcze. – Masz złamaną lewą nogę. W dwóch miejscach. Będziesz w gipsie przez kilka dobrych miesięcy.

Rozdział 9

– Cieszę się, że wreszcie zrobią z nimi koniec.

Hilda przeciągnęła się kocim ruchem, ziewnęła, położyła łokcie i głowę na stole konferencyjnym i znowu zasnęła. Nad jej czołem sterczał kawałek zgniłozielonej słomkowej wstążki, jak mały rajski ptaszek.

Zgniła zieleń. Kolor ten miał być lansowany dopiero na jesieni, ale Hilda wiedziała o tym, oczywiście, już pół roku z góry. Zgniła zieleń z czernią, zgniła zieleń z seledynem, swoim stryjecznym bratem.

W mojej mózgowicy tańczyły srebrzyste mydlane bańki, pełne jesiennych modeli. Wydobywały się na zewnątrz, pękały, wydając z siebie małe: plop!

– Cieszę się, że nareszcie zrobią z nimi koniec.

Przeklinałam zbieg okoliczności, dzięki któremu znalazłam się w kafeterii hotelowej jednocześnie z Hildą. Po zarwanej nocy byłam zbyt zamoczona, żeby znaleźć jakąś wymówkę. Mogłam przecież powiedzieć, że zapomniałam w pokoju rękawiczek, chusteczki do nosa, parasolki albo brulionu. Za karę musiałam teraz w towarzystwie Hildy przebyć przestrzeń, dzielącą szklane, obrotowe drzwi „Amazonki” od różowej marmurowej fasady gmachu naszej redakcji na Madison Avenue.

Całą tę drogę Hilda przeszła krokiem zawodowej modelki.

– Masz piękny kapelusz. Czy sama go zrobiłaś?

Spodziewałam się, że Hilda obruszy się i zapyta: „Czy ty czasem nie jesteś chora?“, ale ona tylko wyciągnęła swoją łabędzią szyję i powiedziała:

– Tak.

Poprzedniego wieczoru byłam w teatrze na sztuce, której bohaterkę opanował dybuk, wlaźł w nią i przemawiał z głębi jej brzucha głosem tak głębokim i piwnicznym, że nie wiadomo było, czy jest mężczyzną, czy kobietą. Głos Hildy brzmiał zupełnie jak głos tego dybuka.

Przyglądała się odbiciu swojej sylwetki w szybach wystawowych, jak gdyby chciała się upewnić, że istnieje. Milczenie, jakie trwało między nami, było okropnie przygnębiające. Postanowiłam je przerwać.

– Czy to nie straszne z tymi Rosenbergami? – odezwałam się więc.

Rosenbergowie mieli być nadchodzącej nocy straceni na krześle elektrycznym.

– No tak – odparła Hilda i zdawało mi się, że nareszcie dotknęłam jakiejś ludzkiej struny w kociej kołysce jej serca. Ale dopiero gdy znalazłyśmy się w zimnej jak marmurowy grobowiec rodzinny sali konferencyjnej, Hilda mi odpowiedziała:

– To straszne, że tacy ludzie w ogóle żyją na świecie.

Ziewnęła, szeroko roztwierając wargi koloru niedojrzałej pomarańczy i ukazując przepastne wnętrze ust. Zafascynowana, gapiłam się w tę ciemną jamę, aż wargi Hildy znowu się spotkały, poruszyły, a z głębi jej

trzewi wydobył się głos dybuka:

– Bardzo się cieszę, że nareszcie umrą.

– Proszę o piękny uśmiech.

Siedziałam przed fotografem na różowej kozetce Totki, trzymając w garści piękną papierową różę. Fotografowano po kolei całą naszą dwunastkę. Ja byłam ostatnia. Próbowałam się schować w toalecie, ale nic z tego nie wyszło. Betsy zobaczyła moje pantofle przez szparę.

Nie chciałam się fotografować, bo bałam się, że zacznę płakać przed kamerą. Nie wiadomo, dlaczego byłam pewna, że z chwilą kiedy ktoś odezwie się wprost do mnie albo spojrzy mi w oczy, łzy zaczną mi spływać po policzkach, szloch wyrwie mi się z krtani i nie przestanę beczeć przez dobry tydzień. Czułam, że łzy chlupią we mnie jak woda w szklance trzymanej w niepewnej dłoni.

Robiono ostatnie zdjęcia przed zamknięciem numeru. Potem miałyśmy wszystkie powrócić do Tulsy, Teanecku czy Coos Bay, jednym słowem do naszych rodzinnych miast. Fotografowano każdą z nas z jakimś przedmiotem, który miał symbolizować przyszły zawód.

Tak więc Betsy trzymała w ręku kaczan kukurydzy, ponieważ zamierzała zostać żoną farmera, Hilda – łysą pałą drewnianej głowy do modelowania kapeluszy, Doreen miała na sobie haftowane złotem sari, ponieważ zamierzała zostać pracownicą społeczną w Indiach (przyznała mi się później, że to nieprawda, ale że miała

straszna ochotę na sari).

Kiedy mnie zapytano, co będę robiła, odpowiedziałam, że nie wiem.

– Ale na pewno pani wie – nalegał fotograf.

– Ją wszystko nęci – dowcipkowała Jotka.

Zaczęto więc szukać odpowiedniego przedmiotu.

Jotka zasugerowała tomik poezji, ale fotograf oświadczył, że to zbyt banalne. Prosił, żebyśmy pomyślały o czymś, co raczej symbolizuje poezję. Wreszcie Jotka odpięła piękną sztuczną różę od swojego nowego kapelusza.

Fotograf robił coś przy jaskrawych gorących reflektorach.

– Proszę przybrać uduchowiony wyraz twarzy. Natchnienie – zażądał.

Wpatrywałam się w fikusa, stojącego na parapecie okna, w skrawek błękitnego nieba. Kilka efektownych chmurków żeglowało z lewa w prawo. Wczepiłam wzrok w największą z nich, jakby w nadziei, że zabierze mnie ze sobą.

Kurczowo zacisnęłam usta.

– A teraz proszę o uśmiech.

Posłusznie próbowałam się uśmiechnąć.

– Ale, zaraz, co to? – zaprotestował fotograf. – Pani wygląda, jakby się pani zbierało na płacz.

Nie mogłam się dłużej powstrzymać.

Wbiłam nos w różowy welur kozetki i całe morze słonych łez, wszystkie nieszczęsne szlochy, wzbierające

od rana, znalazły sobie ujście. Jak gdyby zerwała się we mnie tama.

Kiedy podniosłam głowę, fotografa już nie było, nie było też Jotki. Czułam się jak wyciśnięta cytryna, pusta jak skóra zrzucona przez jakieś okropne zwierzę. Pozbycie się tego zwierzęcia przyniosło mi wprawdzie pewną ulgę, ale musiało chyba zabrać ze sobą moją duszę i w ogóle wszystko, na czym udało mu się położyć łapę.

Pogmerałam w torebce, znalazłam złocone pudełeczko z tuszem do rzęs, szczoteczką, trzema pomadkami do ust i lusterkiem. Twarz, jaką zobaczyłam w odbiciu lusterka, podobna była do gęby więźnia, poddanego dłuższemu przesłuchaniu. Była zapuchnięta, plamista i koloru żółtozielonego. Przydałoby się jej przede wszystkim mydło, woda, no i odrobina chrześcijańskiej wyrozumiałości.

Ze ściśniętym sercem zabrałam się do naprawiania szkód za pomocą makijażu. Po upływie pewnego czasu Jotka bardzo taktownie powróciła do swojego gabinetu, dźwigając gruby plik manuskryptów.

– Przypuszczam, że to cię zainteresuje – oświadczyła. – Masz, weź się do roboty i niech ci się dobrze czyta.

Codziennie na biurku każdego redaktora literatury pięknej piętrzą się ogromne, świeże, śnieżnobiałe sterty manuskryptów. Tuż obok spoczywają ich zakurzone poprzedniczki. Jestem pewna, że na strychach, w piwnicach i klasach szkolnych całego naszego kraju siedzą ludzie i w tajemnicy przed światem piszą

opowiadania. Jeżeli założyć, że co minuta ktoś gdzieś kończy jeden utwór, to co pięć minut na biurkach redaktorów literatury pięknej zjawić się musi przeciętnie pięć manuskryptów. W ciągu godziny – sześćdziesiąt. Te, które nie mieszczą się na biurkach, układane są na podłodze. W ciągu jednego roku...

Uśmiechnęłam się i oczami wyobraźni zobaczyłam piękny i czysty manuskrypt, kołyszący się łagodnie nad moją głową. W górnym, prawym rogu widniało nazwisko autorki: Esther Greenwood. Po odbyciu miesięcznego stażu w magazynie wybierałam się na kurs pisania, prowadzony przez pewnego słynnego autora. Posyłało mu się własny utwór, żeby mógł sobie wyrobić opinię o kandydacie i zdecydować, czy zechce go przyjąć. Przyjmował bardzo niewiele. Posłałam mu jedno ze swoich opowiadań już dość dawno i dotychczas nie miałam odpowiedzi. Pocieszałam się jednak tym, że na pewno po powrocie do domu na stoliku w przedpokoju znajdę pismo zawierające pozytywną odpowiedź.

Postanowiłam zrobić Jotce niespodziankę i posłać jej anonimowo dwa opowiadania, które specjalnie dla niej napisałam. Wyobrażałam sobie, że pewnego dnia redaktorka działu literatury pięknej zjawi się osobiście w gabinecie Jotki, rzuci jej moje opowiadania na biurko i krzyknie: „Tu jest coś, co wyrasta daleko ponad poziom wszystkich dotychczas nadesłanych prac!”. Jotka po przeczytaniu, oczywiście, także zachwyci się szalenie, zaprosi autora na lunch, a wtedy okaże się, że autorem

tym jestem ja.

– Daję ci słowo – odezwała się Doreen – że ten jest zupełnie inny.

– Opowiedz – zażądałam z kamienną twarzą.

– Peruwiańczyk.

– Są krępi i okropnie brzydcy jak Aztekowie.

– Nie, nie, nie, kochanie. Widziałam go na własne oczy.

Siedziałyśmy na łóżku, wśród sterty brudnych, kretonowych sukienek, podartych pończoch i wymiętej bielizny i od dziesięciu minut Doreen namawiała mnie, żebym koniecznie poszła na potańcówkę do klubu podmiejskiego z Lennym i tym jego przyjacielem, o którym mówiła, że jest zupełnie inny, ale ja zamierzałam nazajutrz o ósmej rano złapać pociąg do domu, więc uważałam, że powinnam przynajmniej udawać, iż się pakuję.

Jednocześnie kołatała we mnie nadzieja, że jeżeli sama jedna przejdę się ulicami Nowego Jorku nocą, to coś z tajemniczości i ogromu tego miasta przeniknie może do mojej świadomości.

Ale poddałam się.

Od kilku dni rosła we mnie absolutna niemożność powzięcia jakiegokolwiek decyzji. A kiedy się przełamywałam i zabierałam się na przykład do pakowania walizki, kończyło się na wyciągnięciu z szuflady wszystkich moich poplamionych, kosztownych

sukien i rozrzuceniu ich na krzesła, łóżko i podłogę. Siedziałam i przyglądałam im się z niesłychanym zdumieniem. Wydało mi się, że zdobyły nagle własną, oporną indywidualność i że bronią się przed praniem, złożeniem i zapakowaniem.

– Oj, te ciuchy – powiedziałam do Doreen. – Słabo mi się robi na myśl, że jak wrócę, to będą tu tak leżały.

– Jest na to sposób.

Wspaniała, energiczna Doreen zabrała się natychmiast do składania haleczek, pończoch, staniczków bez ramiączek, ale za to ze stalowymi fiszbinami – prezent od firmy Primrose Corset Company, nie odważyłam się ich nawet przymierzyć – a na koniec do smętnej sterty czterdziestodolarowych, dziwacznie skrojonych sukien...

– Ej, tę zostaw, zamierzam ją włożyć.

Doreen wyciągnęła z walizki wymiętą, czarną suknię popołudniową i rzuciła mi ją na kolana. A potem zgarnęła resztę moich wytwornych szmat i wsunęła je pod łóżko.

Doreen zapukała do zielonych drzwi ze złotą gałką.

Ze środka dochodziły odgłosy szamotaniny, śmiechów, a potem wysoki jasnowłosy młody człowiek, uczesany na jeża i bez marynarki, spojrział na nas przez szparę.

– Baby! – wrzasnął.

Doreen zniknęła w jego objęciach, a ja pomyślałam sobie, że to pewnie ten przyjaciel Lenny'ego.

Stałam spokojnie w drzwiach, w mojej małej czarnej sukience, z szalem obszytym grubą frędzlą, zalękniona

jak zawsze, ale za to może już trochę mniej naiwna. Jestem tylko obserwatorem, powiedziałam sobie i patrzyłam, jak blondyn podaje Doreen jakiemuś facetowi we wnętrzu pokoju. Był to wysoki brunet o nieco dłuższych włosach, w nieskazitelnie białym ubraniu i jasnoniebieskiej koszuli. Jego żółty, jedwabny krawat przebity był złotą szpilką z kolorowym oczkiem.

Nie mogłam oczu oderwać od tej szpilki.

Błyszczała tak jasnym blaskiem, że zdawała się rozświetlać cały pokój. Po sekundzie zgasła i połyskujący w niej kamień był już tylko kroplą w złotym polu.

Zrobiłam krok naprzód.

– Popatrzcie na jego brylant – powiedział ktoś i kilka osób wybuchło głośnym śmiechem.

Stuknęłam paznokciem w gładką powierzchnię kamienia – Jej pierwszy brylant!

– Podaruj jej go, Marko.

Marko pochylił się nade mną i złożył szpilkę od krawatu w mojej dłoni.

Brylant się mienił, rzucał iskierki na wszystkie strony. Jak zaczarowany kawałek lodu. Wsunęłam szpilkę szybko do wieczorowej torebeczki ze sztucznych dżetów i zaczęłam się rozglądać po pokoju. Twarze zgromadzonych tu ludzi były jak puste talerze. Zdawało mi się, że ludzie ci są bez życia, że nawet nie oddychają.

– Mam dziś szczęście – czyjeś suche, twarde palce zacisnęły się na moim ramieniu. – Będę pani towarzyszył przez cały wieczór. Być może... – oko Marka zmętniało,

pociemniało. – Być może, uda mi się oddać pani małą przysługę... – Ktoś zarechotał. – Wartą brylantu.

Palce Marka zacisnęły się mocniej na moim ramieniu.

– Boli!

Puścił mnie. Na skórze pozostał sinawy odcisk jego kciuka. Przyglądał mi się uważnie, a po chwili wskazał palcem na moje ramię.

– Proszę zobaczyć.

Cztery siniaki.

– Jak pani widzi, jestem człowiekiem serio.

Przelotne uśmiešky Marka przywiodły mi na myśl żmiję, którą drażniłam kiedyś w zoo w Bronx. Stukałam palcem w grubą szybę i wtedy żmija najpierw rozwierała pysk, niemalże uśmiechając się, po czym błyskawicznie wysuwała łeb i waliła nim gwałtownie w szklaną ścianę. Instynktownie odsuwałam się.

Po raz pierwszy w życiu zetknęłam się z mężczyzną – autentycznym wrogiem kobiet.

Zorientowałam się szybko, że Marko nienawidzi kobiet, ponieważ nie zwracał uwagi na liczne modelki i gwiazdki telewizyjne, które znajdowały się w pokoju, ale zajmował się tylko i wyłącznie mną. I to nie z uprzejmości czy ciekawości, a jedynie dlatego, że zostałam mu przydzielona na ten wieczór, podana jak karta z talii, złożonej z jednakowych kart.

Z zespołu orkiestry klubowej jeden z muzyków wysunął się naprzód do mikrofonu i zaczął potrząsać

grzechotką, co oznaczało oczywiście, że będzie muzyka południowoamerykańska.

Marko sięgnął po moją dłoń. Ale ja wolałam poczekać na czwarte daiquiri i nie poddawałam się. Jeszcze nigdy w życiu nie kosztowałam koktajlu daiquiri, a teraz piłam go tylko dlatego, że Marko mi go zamówił. Byłam mu tak wdzięczna za to, iż nie kazał mi decydować, że wychylałam jeden kieliszek za drugim.

Marko spojrzał mi zaborczo w oczy.

– Nie! – rzuciłam.

– Co to znaczy? Dlaczego nie?

– Nie umiem tańczyć do tej muzyki.

– Nie bądź durna.

– Chcę skończyć drinka.

Marko nachylił się nade mną, nie przestając się uśmiechać. Daiquiri dostało skrzydeł, poleciało wysoko w górę i wylądowało w doniczce dużej palmy. Potem chwycił mnie tak mocno za rękę, że mogłam albo zatańczyć z nim, albo zostać kaleką.

– Tango – Marko wmanewrował nas zręcznie pomiędzy tańczące pary. – Strasznie lubię tańczyć tango.

– Kiedy ja nie umiem.

– Nie musisz umieć. Po prostu daj się prowadzić.

Objął mnie mocno ramieniem, przycisnął do swojego nieskazitelnie białego ubrania i powiedział:

– Wyobraź sobie, że toniesz w morskich falach.

Zamknęłam oczy i muzyka spadła na mnie jak ulewa. Udo Marka przywarło do mojego, moje cofnęło się,

połączona z nim od pasa poruszałam się bezwolnie, bezwiednie i zupełnie automatycznie. Po chwili pomyślałam: W gruncie rzeczy wcale nie tańczy się we dwoje, ale w pojedynkę.

Wyginałam się i kołysałam jak drzewo szarpane wiatrem.

– No co, nie mówiłem? – oddech Marka parzył mi ucho. – Nie mówiłem? Jesteś całkiem dobrą tancerką.

Zaczełam rozumieć, dlaczego mężczyźni, którzy nie cierpią kobiet, tak łatwo robią z nas idiotki. Nienawistnie) są jak bogowie: nieosiągalni i wszechmocni. Schodzą na ziemię, a potem znikają, kiedy im się zechce. Nie można ich w żaden sposób ujarzmić.

Po muzyce południowoamerykańskiej nastąpiła przerwa.

Marko zaprowadził mnie przez drzwi balkonowe do ogrodu. Światło żyrandoli przenikało przez smukłe okna wraz z odgłosami rozmów, ale dalej, w głębi ogrodu, stała ściana ciemności. Drzewa i krzewy pachniały świeżością, wysoko na niebie gwiazdy błyszczały mdłym, przymglonym blaskiem. Księżyc nie było.

Otaczał nas gęsty żywopłot, a za nim ciągnęło się duże pole golfowe, zakończone niewielką kępą drzew. Było coś bardzo znajomego w tym krajobrazie tym klubie, tym balu, tej murawie z rozśpiewanym świerszczem pośrodku.

Nie byłam pewna, gdzie jestem, wiedziałam tylko, że na którymś z eleganckich przedmieść Nowego Jorku.

Marko wyjął z kieszeni smukłe cygaro i srebrną

zapalniczkę w kształcie rewolwerowej kuli. Wsunął cygaro między wargi i pochylił się nad małym płomykiem. Twarz jego, cała w ciemnych plamach i migotliwych smugach światła, wydała mi się nagle obca i niespokojna, jak twarz zbiega.

Przyglądałam mu się uważnie.

– Kochasz się w kimś? – zapytałam.

Przez chwilę Marko milczał i tylko wypuszczał przez nos krążki błękitnego dymu.

– To doskonale! – roześmiał się.

Krążki dymu powiększały się, rozlewały, wreszcie rozwiewały się w ciemnościach jak małe duszki.

– Kocham się we własnej kuzynce – powiedział wreszcie.

Nie byłam zaskoczona.

– Czemu się nie pobierzecie?

– Bo to niemożliwe.

– Dlaczego?

Marko wzruszył ramionami.

– Jesteśmy kuzynostwem w pierwszej linii.

Postanowiła zresztą iść do klasztoru.

– Czy jest bardzo piękna?

– Najpiękniejsza na świecie.

– Czy wie, że ją kochasz?

– Naturalnie.

Zamilkłam. Nie bardzo rozumiałam, o co chodzi.

– Skoro jesteś zdolny do miłości – powiedziałam – to niedługo znajdziesz sobie inną.

Marko rzucił cygaro i przydusił je obcasem.

Ziemia uniosła się i opadła na mnie miękko. Błoto prześlizgiwało mi się między palcami. Marko zaczekał, aż uniosłam się na łokciu. Wtedy położył mi obydwie ręce na ramionach i mocno mnie odepchnął.

– Moja suknia... !

– Twoja suknia! – Błoto chlupotało pod moimi łopatkami, ale było sprężyste i przytulne jak dobry materac. – Twoja suknia! – Twarz Marka zawieszona nad moją. Krople jego śliny spadają na moje wargi. – Twoja suknia jest czarna i błoto też jest czarne.

Runął na mnie, jak gdyby chciał przebić i mnie, i rozpulchnioną ziemię, ciężarem swojego ciała.

Zaraz się stanie! – pomyślałam. – Zaraz będzie z tym koniec. Jeżeli wstrzymam oddech, jeżeli tylko nie będę się ruszała!

Marko chwycił zębami ramiączko mojej sukni i szarpnął. Rozdarła się aż do pasa. Byliśmy już tylko dwojgiem zażartych przeciwników, przedzielonych skrawkiem białego, nagiego ciała.

– Dziwka! – syknął mi prosto w ucho. – Dziwka!

Kurz opadł, odsłonił się krajobraz bitwy. Zaczęłam szamotać się, szarpać i gryźć.

Marko wgniął mnie mocno w ziemię.

– Dziwka!

Wbiłam ostry obcas w jego łydkę, zabolowało, więc syknął i skulił się.

Zacisnęłam pięści i zaczęłam go walić po nosie, ale

bezsukutecznie. Było tak, jak gdybym biła ręką w stalowy kadłub krążownika. Marko usiadł. Zaczęłam płakać.

Wyciągnął z kieszeni białą chusteczkę i przyłożył ją do nosa. Ciemna ciecz, podobna do atramentu, splamiła biały materiał. Ssałam palce. Były słone od łez.

– Chcę do Doreen.

Marko patrzył tępo na golfowe pole.

– Chcę do Doreen. Chcę iść do domu.

– Dziwka, same dziwki. – Marko mówił teraz do samego siebie. – Jedne zgadzają się, drugie nie, ale wszystkie są jednakowe.

Stuknęłam go palcem w plecy.

– Gdzie jest Doreen?

– Idź na parking – warknął. – Poszukaj na tylnych siedzeniach samochodów. Na pewno ją znajdziesz.

Potem obrócił się gwałtownie.

– Mój brylant!

Wstałam, podniosłam szal i ruszyłam w stronę klubu. Marko zerwał się i zastąpił mi drogę. A potem powoli przeciągnął palcem po swojej dolnej wardze i posmarował mi krwią obydwie policzki.

– Zapłaciłem za ten brylant własną krwią. Oddawaj go natychmiast!

– Nie wiem, gdzie jest.

Wiedziałam oczywiście doskonale, że brylant znajduje się w mojej wieczorowej torebce. Kiedy Marko przewrócił mnie na ziemię, torebka poleciała w głąb ciemnego ogrodu niczym nocny ptak. Postanowiłam teraz

odejść, ale później wrócić i odnaleźć ją.

Nie miałam pojęcia, jaka jest wartość takiego brylantu, ale wiedziałam, że na pewno nie mała.

Marko chwycił mnie za ramiona.

– Mów, ale to już! – syknął. – Mów, bo jak nie, to ci łeb ukreczę.

Nagle wszystko mi zobojętniało.

– Twój brylant jest w mojej torebce – powiedziałam. – Leży tam gdzieś w błocie.

Kiedy odchodziłam, Marko czołgał się na czworakach i przeszukiwał skrawek ziemi, na której błyszczący kamień znalazł schronienie przed jego rozwścieczonym wzrokiem.

Doreen nie było ani na sali balowej, ani na parkingu.

Trzymałam się skraju ciemności, bo bałam się, że ktoś zauważy, iż suknia moja i pantofle są brudne i oblepione trawą, nagie piersi zakryłam czarnym szalem.

Na szczęście bal miał się już ku końcowi, ludzie szukali swoich samochodów, więc zaczęłam pytać, czy ktoś nie mógłby mnie zabrać do miasta, wreszcie znalazłam miejsce w samochodzie jadącym na Manhattan.

O tej nijakiej godzinie, zawieszanej pomiędzy nocą a świtem, solarium na dachu „Amazonki” było zupełnie puste.

Odziana tylko w biały szlafroczek w błękitne chabry, wspierałam się cicho jak włamywacz na parapet. Ponieważ był bardzo wysoki – sięgał niemal do moich ramion –

musiałam przywlec jedno ze składanych krzesel, ustawionych pod ścianą. Stałam na nim.

Silny wiatr tarł mi włosy i spiętrzał je nad czołem. U moich stóp rozciągało się uśpione miasto, pełne ciemnych, w żalobie pogrążonych domów.

Ostatnia noc mojego życia!

Z zawiniątka, jakie przyniosłam, wydobyłam kawałek jasnego materiału i pociągnęłam go tak, jak pociąga się kota za ogon. Stara, sprana, niegdyś elastyczna koszulka wysunęła się z zawiniątka. Powiewałam nią nad głową jak sztandarem pokoju... Chwyliła wiatr. Puściłam ją.

Zaczęła spadać w ciemność nocy, jak wielki, biały kwiat. Powoli, bardzo powoli, jakby się rozglądała za dogodnym dachem czy parapetem.

Znowu szarpnęłam moje zawiniątko.

Wiatr opierał się ze wszystkich sił i tym razem nie udało mi się. Płachta spadła płasko jak nietoperz na ogródek na dachu sąsiedniego domu.

I tak stałam i karmiłam nocny wiatr moją garderobą, sztuka po sztuce. Jak popioły drogiej zmarłej osoby, nędzne strzępy mojej niedawnej świetności ulatywały w dal i padały na chybił trafił, nie wiadomo gdzie, w głąb dalekiego niewidzialnego serca miasta.

Rozdział 10

Z lustra wycierała na mnie twarz chorego Indianina.

Wsunęłam puderniczkę do torebki i zaczęłam patrzeć przez okno pociągu. Za szybami przesuwały się grzędawiska i rudery, typowe dla stanu Connecticut, istne śmietnisko. Nieskładne, do niczego niepodobne fragmenty zrujnowanego krajobrazu.

Świat jest jedną wielką kupą śmieci.

Spojrzałam na bluzkę i spódnicę, które miałam na sobie.

Spódniczka była z zielonej elany, przymarszczona, w malutkie czarne, białe i jaskrawoniebieskie ciapki. Sterczała dokoła mnie jak abażur. Bluzka ze szwajcarskiego haftu miała falbany zamiast rękawów, wiotkie jak skrzydełka nowo narodzonego aniołka.

Kiedy puszczałam z wiatrem moją nowojorską garderobę, zapomniałam o tym, że trzeba będzie coś na siebie włożyć, więc później wymieniłam szlafrok w chabry na spódnicę i bluzkę Betsy.

Moje lustrzane odbicie w szybie – białe skrzydła bluzki, ciemne włosy zaczesane w koński ogon, blada twarz – wyglądało dość niesamowicie na tle przesuwanego się krajobrazu.

– Strach na wróble – powiedziałam głośno.

Siedząca naprzeciwko kobieta spojrzała na mnie sponad jakiegoś pisma ze zdumieniem.

Specjalnie nie zmyłam z policzków zaschniętej krwi. Te dwie rdzawe smugi uznałam za bardzo wzruszające i raczej interesujące i postanowiłam zachować je niby pamiątkę po zmarłym kochanku, dopóki się same nie zetrą.

Wiedziałam, że jak będę się uśmiechać albo robić miny, to zeschnięta krew zacznie odpadać po kawałku, więc siedziałam z nieruchomą twarzą, a kiedy trzeba się było odezwać, mówiłam przez zęby, nie poruszając prawie wargami.

Zupełnie nie mogłam zrozumieć, dlaczego ludzie tak mi się przyglądają.

Znam mnóstwo osób o znacznie dziwniejszym wyglądzie.

Na półce nade mną leżała moja szara walizka, w której znajdowała się jedynie książka pod tytułem *Trzydzieści najlepszych opowiadań roku*, biała plastikowa pochewka na okulary słoneczne i dwa tuziny awokado – pożegnalny prezent od Doreen.

Awokado były zupełnie niedojrzałe, żeby mogły dojechać na miejsce w dobrym stanie. Kiedy zdejmowałam albo podnosiłam walizkę, przewalały się w niej ze specjalnym, dosyć nawet sympatycznym grzechocikiem.

– Ulica Sto Dwadzieścia Oooosiem! – wrzasnął konduktor.

Obłąskawiona dżungla, złożona z dębów, sosen i klonów, zatrzymała się w biegu i stanęła nieruchomo,

obramowana framugą okna. Jak obraz wiejskiego malarza. Przemknęłam się przez wąskie przejście pomiędzy ławkami, dźwigając chroboczącą walizkę.

Gdy wyszłam z klimatyzowanego wnętrza pociągu na platformę dworca, runął na mnie od razu znajomy zaduch naszego przedmieścia. Pachniało węzami gumowymi, benzyną, raketami tenisowymi, niemowlętami i psami.

A nad tym wszystkim senny spokój lata położył swoją rękę, kojącą jak śmierć.

Matka czekała na mnie, oparta o swoją szarą chevroletę.

– Cóż to, kotuniu, co ty masz na twarzy?

– Zacięłam się – odparłam krótko i razem z walizką wpakowałam się na tylne siedzenie. Nie chciałam, żeby gapiała się na mnie przez całą drogę.

Pokrowce samochodu były śliskie i czyste.

Matka wsunęła się za kierownicę, rzuciła mi kilka listów na kolana i odwróciła się ode mnie.

Samochód zamruczał i ruszył.

– Najlepiej będzie, jak ci od razu powiem – odezwała się matka. Po tym, jak trzymała głowę, zorientowałam się, że wiadomość nie jest dobra. – Nie dostałaś się na te kursy pisarskie.

Ścisnęło mnie w dołku.

Przez cały czerwiec myśl o tym, że będę uczęszczała na kurs pisania, rozciągała się przede mną jak szeroki, bezpieczny most, przerzucony przez beznadziejną, bezdenną przepaść lata. Teraz most pękł, zapadł się, a

drobna postać, odziana w białą bluzkę i zieloną spódnicę, spadała w przepaść.

Usta ułożyły mi się w grymas goryczy.

Spodziewałam się tego w gruncie rzeczy.

Wcisnęłam się głębiej w siedzenie, przywarłam nosem do ramy okna i zaczęłam się wpatrywać w przesuwane się domy i domki przedmieścia Bostonu. W miarę jak ulice stawały się bardziej znajome, zsuwałam się coraz niżej.

Zależało mi bardzo na tym, żeby mnie nikt nie zauważył.

Wyściełany, szary sufit samochodu wisiał nad moją głową jak sufit więziennej karetki, a jednakowe białe drewniane domy ze starannie wystrzyżonymi trawnikami przesuwały się jak szereg wielkich, dobrze zabezpieczonych klatek.

Jeszcze nigdy w życiu nie spędziłam lata w domu.

Przejmujący zgrzyt kół samochodowych ranił mi uszy. Słońce, przefiltrowane przez żaluzje z plastyku, wypełniało sypialnię szafranowym światłem. Nie miałam pojęcia, ile godzin spałam, ale byłam wciąż śmiertelnie zmęczona.

Drugie łóżko, ustawione równolegle do mojego, było puste.

O siódmej usłyszałam, jak matka wstaje, ubiera się cichutko i na palcach wysuwa się z pokoju. Potem z dołu, z kuchni, doszło mnie warczenie elektrycznej wyciskarki do soku, zapach świeżej kawy i smażonego bekonu.

Następnie usłyszałam szum wody w zmywaku, a wreszcie brzęk sztućców i talerzy. Matka chowała naczynia do kredensu.

Drzwi frontowe otworzyły się i zamknęły, otworzyły się i zamknęły drzwiczki samochodu, motor warknął brrum, brrrum i z chrzęstem kół po żwirze samochód matki oddalił się i ucichł.

Moja matka uczyła pisania na maszynie oraz stenografii w żeńskim college'u miejskim. Wracała do domu dopiero późnym popołudniem.

Znowu zgrzyt kółek na żwirze. Ktoś chyba przesuwiał wózek dziecienny tam i z powrotem tuż pod moim oknem.

Wylazłam z łóżka, opadłam na dywan i poczołgałam się na czworakach pod okno, żeby zobaczyć, kto to może być.

Dom nasz był mały, biały, drewniany, ustawiony na środku niewielkiego jaskrawozielonego trawnika, przy zbiegu dwóch spokojnych podmiejskich ulic. Mimo że zasadziliśmy dokoła naszej posesji klony, to każdy, kto zechciał, mógł zajrzeć w okna sypialni na drugim piętrze i dowiedzieć się, co robimy.

Dała nam to niedwuznacznie do zrozumienia nasza najbliższa sąsiadka, pani Ockenden.

Pani Ockenden była emerytowaną pielęgniarką, niedawno poślubiła trzeciego męża – poprzedni dwaj umarli w dość tajemniczych okolicznościach – i spędzała niewiarygodną ilość czasu, obserwując nasz dom spoza białych, krochmalonych firanek swojej sypialni.

Dwukrotnie telefonowała do matki, żeby się na mnie poskarżyć. Raz, by donieść, że siedzę od godziny w niebieskim plymoucie pod samym domem i całuję się namiętnie z jakimś chłopcem. Drugi raz – powiedzieć, żebym spuszczała roletę, bo, wyprowadzając wieczorem swojego teriera, zobaczyła mnie prawie naga.

Bardzo ostrożnie podciągnęłam się na tyle, żeby zobaczyć, co się dzieje na ulicy.

Niewielkiego wzrostu kobieta o zabawnie sterczącym brzuchu pchała stary, czarny wózek dziecinny, podczas gdy dwoje czy troje mizernych dzieci o umorusanych twarzach i poobijanych kolanach wlokło się za nią.

Na ustach tej kobiety igrał pogodny, ekstatyczny niemal uśmiech. Głowę odrzuciła w tył. Wyglądała jak jajo wróbla nałożone na jajo kacze. Uśmiechała się prosto w słońce.

Znałam ją doskonale.

Nazywała się Dodo Conway.'

Dodo Conway była katoliczką, absolwentką Barnard College, żoną architekta, absolwenta Columbia University również katolika. Mieszkali w wielkim, starym domu, ocienionym wysokimi sosnami. Na ganku i trawniku stały hulajnogi, rowery na trzech kołach, wrotki, wózki dla lalek, zabawki, takie jak wozy strażackie, a także rakiety do różnych gier, kije do baseballu, siatki do badmintona, bramki do krokieta, klatki na chomiki, szczeniaki cocker spanieli – jednym słowem, wszystkie rekwizyty prowincjonalnego życia rodzinnego.

Życie Dodo bardzo mnie interesowało.

Jej dom różnił się całkowicie od innych domów naszej dzielnicy. Przede wszystkim był większy i nie był biały (drugie piętro skonstruowane było z brunatnych desek, a pierwsze pokryte szarym tynkiem z wciśniętymi tu i ówdzie czarnymi i fioletowymi kamieniami).

Rząd sosen zasłaniał go przed okiem sąsiadów, co w naszej dzielnicy uważano za rzecz wręcz aspołeczną. Pozostali mieszkańcy sadzili dokoła swoich parceli niskie żywopłoty, a kontakty pomiędzy ludźmi były żywe i serdeczne.

Dodo odżywiała swoją szóstkę – a niebawem siódemkę – dmuchanym ryżem, masłem fistaszkowym, marmoladą, lodami waniliowymi i niezliczoną ilością mleka. Mleczarz dawał jej specjalny rabat.

Dodo cieszyła się powszechną sympatią, chociaż rosnąca gromadka jej dzieci była ulubionym tematem konwersacji. Starsi mieszkańcy naszego przedmieścia mieli przeciętnie dwoje dzieci, młodszy, zamożniejsi – czworo, a jedynie Dodo spodziewała się siódmego. Już pół tuzina dzieci uważano za swojego rodzaju rekord, ale, mówiono, ostatecznie Dodo jest katoliczką.

Patrzyłam teraz, jak pchała wózek ze swoim najmłodszym tam i z powrotem pod naszymi oknami. Wyglądało na to, że próbuje zwrócić na siebie moją uwagę.

Nie cierpię dzieci.

Deska w podłodze zaskrzypiała, nachyliłam się szybko,

a główka Dodo Conway, wiedziona instynktem czy też niesamowicie wprost wyostrzonym słuchem, przekreśliła się na jej szczupłej szyi.

Czułam, że Dodo przebija wzrokiem białe deski naszej szczytowej ściany, tapetę w czerwone różyczki i widzi mnie, przytuloną do srebrnych żeberek kaloryfera.

Poczołgałam się z powrotem do łóżka i naciągnęłam prześcieradło na głowę. Ponieważ jednak przepuszczało światło, wtuliłam twarz w poduszkę, żeby stworzyć złudzenie, że jest noc. Zastanawiałam się nad tym, czy nie należałoby może wstać, ale nie mogłam znaleźć żadnego powodu.

Nic na mnie nie czekało.

Po jakimś czasie zadzwonił telefon w hallu. Wepchnęłam sobie rogi poduszki do uszu i postanowiłam odczekać pięć minut. Potem uniosłam głowę. Było cicho.

Ale po sekundzie dzwonienie rozległo się znowu.

Przeklinając przyjaciela, krewniaka czy znajomego, który dowiedział się o moim powrocie do domu, poczłapałam boso na dół. Czarny, ustawiony na stole instrument odzywał się w regularnych odstępach czasu histerycznym trelem, zupełnie jak jakiś nerwowy ptak.

Podniosłam słuchawkę.

– Halo – powiedziałam grubym basem.

– Halo, Esther, co się z tobą dzieje? Czy jesteś przeziębiona?

Był to głos mojej przyjaciółki, Jody. Dzwoniła z Cambridge.

Jody pracowała tego lata w kooperatywie studenckiej, a poza tym uczęszczała na letni kurs socjologii. Wraz z dwiema koleżankami z mojego roku odnajęła na ten okres duże mieszkanie od czterech studentów prawa z Harvardu. Miałam się tam wprowadzić na resztę lata.

Jody chciała wiedzieć, kiedy zamierzam przyjechać.

– Wcale – zawiadomiłam ją. – Nie przyjęli mnie.

Nastąpiła cisza.

– Co za idioci – odezwała się wreszcie Jody.

– Nie znają się na literaturze.

– Też tak uważam – mój głos brzmiał obco i głucho.

– Ale przyjeżdżaj, co tam! Pójdiesz na jakiś inny kurs.

Przemknęła mi przez głowę myśl o letnim kursie niemieckiego lub psychopatologii. Miałam na książeczce niemal całą nowojorską pensję, więc stać mnie było na to.

Ale ten nowy, głuchy głos odpowiedział za mnie:

– Nie, raczej na mnie nie liczcie.

– Właśnie, bo mamy dziewczynę, która chciałaby się wprowadzić, w razie gdyby zwolniło się łóżko...

– Świetnie. Niech się wprowadza.

W momencie kiedy odwieszałam słuchawkę, wiedziałam już, że popełniłam błąd. Trzeba było mimo wszystko powiedzieć, że przyjeżdżam. Jeszcze jeden poranek spędzony na wsłuchiwanie się w zgrzyt kół wózka dziecinnego na pewno doprowadzi mnie do szału. Dawno już postanowiłam nigdy nie mieszkać z matką pod jednym dachem dłużej niż tydzień.

Sięgnęłam po słuchawkę.

Ręka moja wysunęła się kilka centymetrów, potem cofnęła się sama i opadła. Zmuszałam ją kilka razy do podjęcia słuchawki, ale cofała się tak gwałtownie, jak gdyby waliła w niewidoczną szklaną szybę.

Zeszłam do jadalni.

Na stole znalazłam długi, rzeczowy list z biura kursów letnich i cienką błękitną kopertę z napisem „Yale”, zaadresowaną starannym charakterem pisma Buddy'ego.

Wzięłam nóż i otworzyłam pierwszy list.

Ponieważ nie dostałam się na kurs pisania, proponowano mi, żebym zapisała się na coś innego i kazano mi natychmiast zatelefonować do sekretariatu, w przeciwnym wypadku mogę się znaleźć na lodzie, gdyż zgłoszeń jest bardzo dużo.

Wykręciłam numer biura letnich kursów i tym swoim somnambulicznym głosem oświadczyłam, że panna Esther Greenwood nie zamierza tego lata uczęszczać na żadne kursy. Przysłuchiwałam się samej sobie ze zdumieniem.

Następnie odpieczętowałam list Buddy'ego.

Buddy pisał, że chyba zakochał się w swojej pielęgniarce, która również cierpi na gruźlicę, ale że matka wynajęła na lipiec domek w górach Adirondack i gdybym zechciała tam pojechać, jego uczucia dla pielęgniarki prawdopodobnie się rozwieją.

Chwyciłam ołówek i przekreśliłam wszystko, co Buddy napisał, a na odwrocie nabazgrałam, że jestem zaręczona z pewnym tłumaczem kabinowym i nie chcę Buddy'ego

więcej znać, a to głównie dlatego, że nie życzę sobie, żeby moje dzieci miały ojca hipokrytę.

Wpakowałam list z powrotem do koperty, zakleiałam taśmą i przeadresowałam do Buddy'ego. Nie nakleiałam świeżego znaczka. Uważałam, że te trzy centy opłacą się mojemu byłemu narzeczonemu sowicie.

A potem wpadło mi do głowy, że mogłabym spędzić resztę lata, pisząc powieść.

Sprawiłoby to wielu osobom autentyczną przykrość.

Poszłam do kuchni, nałożyłam sporą łyżkę tataru do filiżanki, wbiłam jajko, wymieszałam i zjadłam. Następnie rozstawiłam stolik do kart na otwartej werandzie pomiędzy domem a garażem.

Duży krzak jaśminu odcinał ją od ulicy. Z jednej strony zasłaniał mnie mur domu, z drugiej mur garażu, a kępa brzoź i żywopłot chroniły mnie przed wzrokiem pani Ockenden.

Z szafy w hallu, spod sterty starych kapeluszy filcowych, szczotek do ubrania i wełnianych szali wyjęłam trzysta pięćdziesiąt kartek wysokogatunkowego papieru do pisania.

Powróciłam z tym wszystkim na moją przewiewną werandę, wsadziłam pierwszą kartkę papieru do starego portabla i przekręciłam wałek.

Oczyma duszy jakby z oddali widziałam siebie – siedzącą pomiędzy dwiema pobielanymi, drewnianymi ścianami, krzewem jaśminu, kępą brzoź i żywopłotem, malutką jak figurka z domku dla lalek.

Współczucie dla tej samotnej postaci ścisnęło mi serce. Postanowiłam, że bohaterką mojej powieści będę ja sama – trochę, rzecz jasna, zakamuflowana. Bohaterka miała się nazywać Elaine. Elaine. Policzyłam na palcach litery. Sześć. Tyle samo co w Esther. To dobry omen.

„Elaine siedziała między domem a garażem, odziana tylko w starą, żółtą koszulę nocną swojej matki, i czekała, aż coś się wydarzy. Był lipcowy, upalny poranek i po jej plecach pojedynczo, powoli, jak leniwe insekty, sunęły krople potu”.

Odchyliłam się i spojrzałam na swoje dzieło.

Zdanie wydało mi się nawet dość żywo napisane i byłam dumna z tych leniwych insektów, chociaż miałam niejasne uczucie, że już to kiedyś gdzieś czytałam.

Siedziałam przez dobrą godzinę, usiłując napisać jeszcze jedno zdanie, a oczyma duszy widziałam wciąż w oddali małą, bosą laleczkę w żółtej koszuli nocnej swojej matki, która także siedziała i patrzyła tępo przed siebie.

– Cóż to, kochanie, czemu się jeszcze nie ubrałaś?

Moja matka zawsze bardzo się pilnowała, żeby nie mówić do mnie rozkazującym tonem. Tłumaczyła mi wszystko słodkim głosem, jak przystało na dojrzałą, inteligentną osobę, która zwraca się do drugiej, równie inteligentnej.

– Jest prawie trzecia.

– Piszę powieść – oświadczyłam. – Nie mam czasu na to, żeby wciąż tylko zdejmować jedno ciuchy i nakładać

drugie.

Rozłożyłam się na werandowej kanapce i przymknęłam oczy. Słyszałam, jak matka zamyka maszynę do pisania i odstawia ją na bok, by zrobić miejsce na talerze i sztucce, ale nie ruszałam się.

„Inercja owładnęła całym ciałem Elaine. Tak zapewne czują się ludzie cierpiący na malarię, pomyślała”.

Pomyślałam, że jeżeli uda mi się napisać jedną stronę dziennie, to będzie bardzo dobrze.

Nagle mnie olśniło. Zrozumiałam, na czym polegają moje trudności.

Miałam za mało doświadczenia życiowego.

Jakże pisać o życiu, skoro się nie miało romansu, nie urodziło dziecka, a nawet nie było świadkiem cudzej śmierci? Jedna moja znajoma dostała niedawno nagrodę za opowiadanie, oparte na jej przygodach wśród afrykańskich Pigmejów. Jakże tu rywalizować z takimi ludźmi?

Pod koniec kolacji matce mojej udało się mnie namówić, żebym się wieczorami uczyła u niej stenografii. W ten sposób, mówiła, wilk będzie syty i owca cała. Napiszę powieść, nauczę się czegoś praktycznego i jednocześnie zaoszczędzę masę pieniędzy.

Tegoż wieczoru matka wyniosła z piwnicy starą tablicę i ustawiła ją na werandzie. Następnie zaczęła kredą wypisywać jakieś dziwne esy-floresy. Siedziałam w fotelu i przyglądałam się.

Z początku nawet mnie to bawiło.

Pomyślałam, że nauczę się tej stenografii bardzo szybko, a kiedy ta stara piegowata baba z Biura Stypendialnego zapyta mnie, dlaczego nie pracowałam przez lipiec i sierpień, jak inne stypendystki, odpowiem, że skończyłam bezpłatny kurs stenografii, by móc od razu po studiach zarabiać na życie.

Ale kiedy próbowałam sobie wyobrazić, jak pokrywam szybciotko całe stronice papieru znakami, popadłam w panikę. Żadna posada, związana ze znajomością stenografii, jakoś mnie nie nęciła. I gdy tak siedziałam i patrzyłam na tablicę, esy-floresy zaczęły zachodzić mgłą, a ich znaczenie nie chciało w żaden sposób dotrzeć do mojej świadomości.

Oświadczyłam więc, że rozboleła mnie głowa, i położyłam się do łóżka.

W godzinę później drzwi otworzyły się cichutko i matka wśliznęła się do sypialni. Słyszałam, jak się rozbiera, jak wsuwa się do łóżka. Szpilki w jej nawiniętych na wałki włosach połyskiwały jak małe bagneciki.

Postanowiłam pisać powieść dopiero po powrocie z podróży do Europy, a przynajmniej po jednym kochanku, natomiast stenografii nie uczyć się wcale. Rozumowałam, że jeżeli nie będę znała stenografii, to nie będę się musiała nią posługiwać.

Doszłam także do wniosku, że najlepiej będzie spędzić lato na lekturze *Finnegan's Wake* i na przygotowaniach do pracy dyplomowej.

W ten sposób, w chwili rozpoczęcia nowego roku szkolnego, we wrześniu, będę już bardzo zaawansowana i spędzę ostatni rok studiów przyjemnie, podczas gdy większość seniorek będzie tyrać dzień i noc, bez makijażu, z brudnymi włosami, karmiąc się kawą i benzedryną.

Po chwili jednak znowu zmieniłam zdanie, postanowiłam przerwać naukę na jeden rok i zabrać się do ceramiki artystycznej.

A może pojechać do Niemiec, popracować w jakiejś knajpie i nauczyć się bezbłędnie języka?

Różne plany, jeden po drugim, zaczęły się lęgnąć w mojej głowie i mnożyć jak króliki.

Widziałam dotychczasowe lata mojego życia jak słupy telefoniczne, rozstawione w regularnych odstępach wzdłuż drogi i połączone ze sobą drutami... dziewiętnaście słupów. Po chwili druty splątały się, odsunęły w dal i mimo że się bardzo wyteżczałam, nie mogłam dojrzeć ani jednego słupa za tym ostatnim, dziewiętnastym.

Pokój tonął w niebieskawej poświacie. Gdzie podziała się noc? Matka z powalonego pnia przemieniła się w uśpioną, starszą kobietę, oddychającą lekko otwartymi ustami. Z głębi jej krtani wydobywało się ciche chrapanie. To chrząkanie zirytowało mnie i przez chwilę myślałam o tym, żeby ścisnąć oburącz tę krtani, te ścięgna, tę skórę i zrobić z tym koniec.

Udawałam, że śpię, dopóki matka nie wyszła do

szoły, ale światło słoneczne przenikało nawet przez zamknięte powieki. Widziałam je od wewnątrz, dwie czerwone podrażnione zasłony, utkane z malutkich naczyń krwionośnych jak dwie otwarte rany. Wsunęłam się pomiędzy materac a wyścielaną ramę łóżka. Materac legł na moich plecach jak płyta nagrobkowa. Było tu ciemno i bezpiecznie, ale wołałabym, żeby materac był cięższy.

Potrzebny mi był ciężar, bardzo wielki ciężar na plecach, żebym mogła spokojnie zasnąć.

Gruba księga wbijała mi się w brzuch, „rzekobieg, koło Ewy i Adama, tukiem brzegu aż po zakole zatoki wiedzie nas wygodnym zakolem recyrkulacji do Howth Castle i Enwironów”.

Mała litera, od której zaczynało się zdanie, znaczy, być może, że nic się właściwie nigdy nie zaczyna od początku, nic nie zaczyna się dużą literą, a tylko wynika z czegoś, co już kiedyś było. Ewa i Adam to naturalnie Adam i Ewa, ale chyba nie tylko.

Może to po prostu pub w Dublinie.

Wodziłam oczami po stronicy, jak po talerzu napełnionym rosołem z kluseczkami w kształcie liter. Zatrzymałam się na środku stronicy, na bardzo długim słowie:

„bababadalghartaghtakamminarronn-konnbronntonnerrerr
onntonntuonnthuunntrovarr-hounawnskatohohordenutnuk
!”.

Policzyłam litery. Było ich dokładnie sto. To na pewno

coś symbolizuje.

Dlaczego jest ich akurat sto?

Z wysiłkiem przeczytałam to długie słowo na głos.

Z ust moich wydobyły się dźwięki, przypominające spadanie ciężkiego, drewnianego przedmiotu po schodach. Bum, bum, bum. Stopień po stopniu. Podniosłam książkę do oczu, stronicę rozwinęły się jak wachlarz. Znajome niegdyś słowa przelatowały przed moimi oczami, zdeformowane, rozmazane, jak twarze odbite w krzywym zwierciadle. Uderzały w szklistą powłokę mojego, mózgu, ale bez echa, bez rezonansu.

Zmrużyłam oczy.

Literom wyrosły kolce i wielkie jelenie rogi, po chwili zaczęły się rozdzielać, wycinać hołubce, podskakiwać i w ogóle wygłupiać się na całego. Potem zaczęły się łączyć w fantastyczne, obce, nieprzetłumaczalne słowa, może chińskie, może arabskie.

Postanowiłam dać sobie spokój ze specjalną pracą dyplomową. Zrobię normalne magisterium z anglistyki. Poszłam do dziekanatu college'u, żeby się zorientować, jakie przedmioty trzeba w tym celu zaliczyć. Okazało się, że nie miałam nawet połowy. Między innymi wymagany był kurs literatury osiemnastowiecznej. Nie cierpię osiemnastego wieku. Od razu widzę całą kupę zarozumiałych, szaleńczo racjonalnych elegancików komponujących precyzyjne dwuwierszyki. Opuściłam więc ten kurs. Mogłam sobie na to pozwolić, ponieważ studentom robiącym dyplom specjalny pozostawiono

bardzo dużą swobodę. Tak wielką, że ja na przykład zajmowałam się głównie czytaniem dzieł Dylana Thomasa.

Jednej z moich przyjaciółek udało się, dzięki temu systemowi, nie przeczytać ani jednego utworu Szekspira. Znała natomiast każdą linijkę *Czterech kwartetów*. [*Cztery kwartety* – cykl poematów T. S. Eliota, który ukazał się w Nowym Jorku w 1943 roku.]

Zorientowałam się więc, że przeniesienie się z programu specjalnego na zwykły byłoby nie tylko szalenie pracochłonne, ale mogłoby mnie po prostu skompromitować. Poszłam więc do sekretariatu college'u miejskiego, w którym uczyła moja matka, i sprawdziłam, jakich kursów wymagają tam do dyplomu.

Okazało się, że wymagania ich były nawet większe.

Trzeba było zaliczyć staroangielski, historię języka, a także przestudiować niemal całą literaturę, od *Beowulfa* po dzień dzisiejszy.

Przyznam, że zaskoczyło mnie to. Dotychczas traktowałam college matki z lekką pogardą, szczególnie, że był koedukacyjny i uczęszczali doń studenci, którym nie udało się otrzymać stypendium w którymś ze znanych college'ów Wschodniego Wybrzeża.

Teraz zrozumiałam, że najmarniejszy nawet student z college'u miejskiego umie więcej ode mnie. Nawet gdybym chciała zapłacić pełne czesne, nie miałabym szans na przyjęcie, a o takim stypendium, jakie miałam, nie mogłoby, rzecz prosta, być mowy.

Najlepiej będzie, pomyślałam, jeżeli przerwę studia na rok, pójdę do pracy i przez ten czas zastanowię się nad swoją przyszłością. Mogłabym jednocześnie, w tajemnicy, przerobić literaturę osiemnastego wieku.

Ale nie znałam przecież stenografii, więc o posadę byłoby trudno.

Mogłabym zostać tylko maszynistką albo kelnerką.

Tymczasem ani na jedno, ani na drugie nie miałam ochoty.

– Czy ty naprawdę znowu chcesz receptę na proszek nasenny?

– Tak.

– Dałam ci w zeszłym tygodniu całą buteleczkę bardzo mocnych proszków.

– Już nie działają.

Teresa popatrzyła na mnie uważnie swoimi wielkimi, ciemnymi oczami. Pod oknami gabinetu przyjęć bawiła się trójka jej dzieci. Moja ciotka, Libby, wyszła za mąż za Włocha. Teresa zaś była szwagierką ciotki i naszą rodzinną lekarką.

Lubiłam Teresę. Ma takt i intuicję. Pewnie dlatego, że jest Włoszką z pochodzenia.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Powiedz, co się z tobą dzieje? – zażądała Teresa.

– Nie mogę spać. Nie mogę czytać. – Usiłowałam mówić głosem spokojnym i zrównoważonym, ale miałam zupełnie zaciśniętą krtani. Rozłożyłam ręce.

– Myśle... – Teresa wydarła kartkę z bloczka i wypisała jakieś nazwisko i adres. – Myśle, że powinnaś poradzić się specjalisty. Pomoże ci lepiej niż ja.

Spojrzałam na kartkę, ale nie mogłam przeczytać, co było na niej wypisane.

– Doktor Gordon – powiedziała Teresa. – Psychiatry.

Rozdział 11

Poczekalnia doktora Gordona utrzymana była w kojących odcieniach beżu.

Beżowe ściany, beżowy dywan, beżowe fotele i beżowa kanapa. Ani jednego obrazu czy lustra. Na ścianach dyplomy znanych szkół medycznych z nazwiskiem doktora Gordona wypisane po łacinie. Na stołach i stolikach doniczki z ceramiki, pełne bladych, seledynowych paproci i ciemnozielonych roślin dekoracyjnych.

Zastanawiałam się nad tym, dlaczego ten pokój daje takie poczucie bezpieczeństwa. Wkrótce zrozumiałam. Nie było tam ani jednego okna.

Drżałam z zimna, bo klimatyzacja była bardzo silna.

Wciąż miałam na sobie białą bluzkę i namarszczoną spódnicę Betsy Od chwili, kiedy powróciłam do domu, a więc od trzech tygodni, ani razu ich nie wyprałam, więc były bardzo wymięte. Przepocona bawełna miała cierpki, ale sympatyczny zapach.

Od trzech tygodni również ani razu nie umyłam włosów.

Od siedmiu nocy nie zmrużyłam oka.

Matka uważała, że pewnie jednak od czasu do czasu zasypiam, bo nie wyobrażała sobie, żeby można było tak długo żyć bez snu. Ale jeżeli nawet trochę spałam, to chyba bez zmrużenia powiek, gdyż wiem, że przez

siedem długich nocy śledziłam wzrokiem ruch wskazówek budzika, i jestem pewna, że nie opuściłam ani jednej sekundy, ani jednej minuty, ani jednej godziny.

Nie myłam włosów i nie prałam odzieży po prostu dlatego, że wydawało mi się to szalenie głupie.

Dni nadchodzącego roku akademickiego ciągnęły się przede mną jak rząd błyszczących, białych klocków, poprzedzielanych czarną krechą reprezentującą sen. Tylko że teraz te smugi cienia, odgradzające jeden klocek od drugiego, znikły i wszystkie te białe klocki zlały się w jedną wielką, szeroką, jasną, nieskończenie przygnębiającą aleję. Po co więc pracować dzisiaj, skoro jutro trzeba będzie zacząć od początku. Już sama myśl o tym męczyła mnie niesłychanie.

Chciałam zrobić wszystko tylko raz jeden, jedyny raz. I to raz na zawsze.

Doktor Gordon bawił się srebrnym ołówkiem. – Matka pani twierdzi, że pani jest bardzo przygnębiona.

Skulona w głębokim, skórzanym fotelu patrzyłam na doktora Gordona poprzez nieskończenie szeroki, wypolerowany blat biurka.

Doktor Gordon czekał spokojnie na moją odpowiedź, stukając ołówkiem, tap, tap, tap, po gładkiej, czystej zielonej bibule.

Miał tak gęste i długie rzęsy, że robiły wrażenie sztucznych. Czarna nylonowa frędzla zwisająca nad dwiema zielonymi, lodowato zimnymi sadzawkami.

Doktor Gordon miał tak regularne rysy, że był po prostu ładny.

Znienawidziłam go w momencie, w którym przekroczyłam próg jego gabinetu.

Wyobrażałam sobie, że zastanę sympatycznego, brzydkiego, wrażliwego na ludzkie sprawy mężczyznę, który podniesie na mnie wzrok, powie: „Aha!” – jak gdyby już wiedział, że wszystko będzie dobrze. Byłam pewna, że znajdę wówczas odpowiednie słowa, żeby wyrazić to, co mnie dręczy, wytłumaczyć mu, dlaczego jestem tak okropnie przerażona, dlaczego mam uczucie, jak gdyby mnie siłą wpychano coraz głębiej i głębiej do czarnego dusznego worka, z którego się już nigdy nie wydostanę.

A potem ten dobry lekarz rozparłby się wygodnie w fotelu, złożył czubki palców dłoni, tworząc małą kościelną wieżyczkę, i wytłumaczył mi, dlaczego nie mogę spać, dlaczego nie mogę jeść, dlaczego nie mogę czytać i dlaczego wszystko, co inni ludzie robią, wydaje mi się idiotyczne, bo cały czas myślę o tym, że na końcu czeka mnie nieuchronnie śmierć.

A potem ten doktor pomoże mi powrócić krok za krokiem do zdrowia.

Ale doktor Gordon był zupełnie inny. Młody, przystojny i – widać było od razu – zarozumiały.

Na jego biurku stała fotografia w srebrnej ramie, przedstawiająca piękną, ciemnowłosą kobietę, podobną do doktora jak siostra. Uśmiechała się nad główkami

dwojga jasnowłosych dzieci.

Zdawało mi się, że jedno jest dziewczynką, a drugie chłopcem, ale mogli to być również dwaj chłopcy albo dwie dziewczynki, trudno się zorientować, jak dzieci są jeszcze takie małe. O ile pamiętam, był tam jeszcze pies, na samym dole – airedale lub złoty wyżeł – a może był to tylko wzór na materiale spódnicy tej kobiety.

Sama nie wiem dlaczego, ale fotografia ta bardzo mnie rozzłościła.

Nie rozumiałam, dlaczego doktor ustawił ją tak, bym ją widziała. Chyba tylko po to, żeby mnie z góry ostrzec, że jest żonaty, więc żeby mi nic głupiego do głowy nie wpadło.

Ten doktor Gordon na pewno mi nie pomoże, bo sam żyje w otoczeniu wzorowej rodziny, pięknej żony, dwojga cudownych dzieci i rasowego psa. Idylla ta przypominała obrazek z kartki świątecznej.

– Może mogłaby pani opisać mi swoje dolegliwości i powiedzieć, co pani o nich sądzi?

Analizowałam w myślach te słowa, obracałam je podejrzliwie, jakby były okrągłymi, wypolerowanymi morską falą kamyczkami, z których niespodziewanie mogą wysunąć się ostre kły.

Co sądzę o moich dolegliwościach?

Brzmiało to, jak gdyby w rzeczywistości nic mi nie było i jakbym wyobrażała sobie tylko, że coś mi jest.

Głosem płaskim i beznamiętnym – żeby mu pokazać, że jego uroda i jego rodzinna fotografia nie zrobiły na

mnie żadnego wrażenia – powiedziałam doktorowi Gordonowi, że w ogóle przestałam spać, że nie jem i że nie mogę czytać. Nie powiedziałam mu nic o tym, co stało się z moim pismem, chociaż to mi najwięcej dokuczało.

Tego samego ranka zabrałam się do napisania listu do Doreen, do zachodniej Wirginii, żeby ją zapytać, czy nie mogłabym do niej przyjechać i może znaleźć pracę na lato w jej college'u.

Ale kiedy wzięłam pióro do ręki, zaczęły spod niego wychodzić ogromne, wichrowate kulfony – podobne do pisma małego dziecka – gryzmoły te na dodatek miały tendencję do opadania krzywo, po przekątnej strony. Wyglądało to, jakby ktoś na nie dmuchnął.

Nie mogłam wysłać takiego listu, podarłam go więc na małe kawałki i wsunęłam do torebki, gdzie leżała również moja kosmetyczka. Wzięłam je na wszelki wypadek, gdyby psychiatra prosił, żebym mu je pokazała.

Doktor Gordon, rzecz jasna, nie zażądał strzepów listu, ponieważ nic mu o nim nie powiedziałam. Zaczęłam cieszyć się ze swojej przebiegłości. Zrozumiałam nagle, że będę mu mogła powiedzieć to, co zechcę, i w ten sposób ukrywając to, a ujawniając tamto, pokazać taki obraz własnej osoby, jaki mi się spodoba. On, oczywiście, będzie myślał, że jest mądrzejszy ode mnie.

Podczas gdy mówiłam, doktor Gordon siedział z pochyloną głową, zupełnie jakby się modlił. Jedyнным dźwiękiem, jaki rozbrzmiewał w pokoju, z wyjątkiem

mojego płaskiego głosu, było rytmiczne stukanie jego ołówka o blat stołu. Brzmiało to, jakby ktoś stukał laską spacerową w ten sam punkt bruku.

Kiedy skończyłam, doktor Gordon uniósł głowę.

– W jakim pani jest college'u? – zapytał.

Zdumiona odpowiedziałam na to dziwne pytanie. Nie rozumiałam, jaki może być związek pomiędzy nazwą mojego college'u a moimi problemami.

– Aha! – doktor Gordon odchylił się i nostalgicznym wzrokiem zapatrzył się w jakiś punkt ponad moją głowę.

Pomyślałam, że może jednak osądziłam go przedwcześnie i zbyt nieżyczliwie, że pewnie formułuje diagnozę. Ale on tylko powiedział:

– Świetnie pamiętam ten college. Bywałem tam w czasie wojny. Mieli obóz dla Pomocniczej Służby Kobiet. A może dla pielęgniarek?

Odpowiedziałam, że nic o tym nie wiem.

– Tak, tak, to był obóz Służby Pomocniczej, teraz sobie przypominam. Zanim wysłali mnie do Europy, byłem tam lekarzem. Cóż za śliczne dziewczęta.

Doktor Gordon roześmiał się.

A potem sprężystym ruchem wstał z fotela i obszedł biurko. Nie byłam pewna, co chce zrobić, więc też wstałam.

Doktor Gordon sięgnął po moją luźno zwisającą dłoń i mocno ją uściskał.

– Do zobaczenia za tydzień.

Na Commonwealth Avenue bujne, gęste wiązy

tworzyły cienisty tunel, w którym ciągnęły się żółte i czerwone fasady ceglanych domów. Tramwaj sunął po srebrzystych szynach w stronę Bostonu. Zaczekałam, aż przejechał, i przeszłam na drugą stronę ulicy. Stała tam szara chevroleta.

Przez okienko widać było twarz matki. Była stroskana i pożółkła jak plasterek cytryny.

– No więc, co powiedział?

Trzasnęłam drzwiczkami samochodu, ale nie zamknęły się. Pchnęłam je i zatrzasnęłam po raz drugi.

– Powiedział, żebym przyszła za tydzień.

Matka westchnęła.

Doktor Gordon brał dwadzieścia pięć dolarów za godzinę.

– Hej, ty tam, jak się nazywasz?

– Elly Higginbottom.

Marynarz szedł za mną noga w nogę. Uśmiechnęłam się do niego.

Na Rynku było co najmniej tylu marynarzy, ile gołębi. Wyłaniali się zza brunatnego narożnika, upstrzonego wielkimi białoniebieskimi plakatami ze sloganem „Wstąp do Marynarki”.

– Gdzie mieszkasz, Elly?

– W Chicago.

W życiu nie byłam w Chicago, ale znałam kilku chłopców z tamtejszego uniwersytetu i miałam wrażenie, że jest to miasto w sam raz dla ludzi trochę pokręconych i

niezbyt konwencjonalnych.

– A więc jesteś daleko od domu.

Marynarz objął mnie wpół i spacerowaliśmy tak po Rynku przez dłuższy czas. Poprzez materiał mojej marszczonej spódnicy głaskał moje biodro, a ja uśmiechałam się, ale milczałam, żeby nie zdradzić się bostońskim akcentem. Każdej chwili mogliśmy się natknąć na panią Willard albo którąś z innych przyjaciółek mojej matki, przechodzącą tędy po zakupach u Filene'a albo po herbatce w jakiejś kawiarence na Beacon Hill.

Postanowiłam, że jeżeli się znajdę w Chicago, to definitywnie zmienię nazwisko na Elly Higginbottom. Wtedy nikt się nie dowie, że straciłam stypendium w jednym z najlepszych żeńskich college'ów na Wschodnim Wybrzeżu, że zmarnowałam cały miesięczny pobyt w Nowym Jorku, ani o tym, że odrzuciłam propozycję małżeńską solidnego studenta medycyny, który na pewno zostanie kiedyś członkiem Amerykańskiego Towarzystwa Lekarskiego i będzie zarabiał mnóstwo pieniędzy.

W Chicago ludzie będą mnie szanowali.

Stanę się po prostu sierotą, Elly Higginbottom. Wszyscy polubią mnie za moje łagodne, anielskie wprost usposobienie. Nikt nie będzie mnie zmuszał do czytania nieskończonych ilości książek i pisania długich referatów na temat problemu bliźniąt w dziełach Jamesa Joyce'a. Wyjdę za mąż za jurnego, ale troskliwego mechanika samochodowego, założę dużą, krowiastą rodzinę na wzór

Dodo Conway.

Jeżeli, oczywiście, będę miała na to ochotę.

– Co zamierzasz robić, jak wyjdiesz z marynarki? – zapytałam nagle marynarza.

Było to najdłuższe zdanie, jakie dotychczas wypowiedziałam. Marynarz speszył się, zsunął swoją małą, białą czapkę na bok i podrapał się w głowę.

– Bo ja wiem. Sam nie wiem. Jeżeli dostanę stypendium wojskowe, to może pójdę na studia.

Stałam, a po chwili dodałam znacząco:

– A czy nigdy nie miałeś ochoty na warsztat samochodowy?

– Nie – powiedział marynarz. – Jakoś nigdy. Spojrzałam na niego spode łba jednym okiem.

Mógł mieć najwyżej szesnaście lat.

– Czy ty wiesz, ile ja mam lat? – zapytałam go kwaśnym tonem.

Marynarz uśmiechnął się krzywo:

– Nie i nie interesuje mnie to.

Teraz dopiero zauważyłam, że ten marynarzyk jest bardzo przystojny. Jasnowłosa, nordycki i dziewiczy. Grałam osobę prostolinijną i widocznie przyciągałam chłopców przystojnych, dobrych i nieskomplikowanych.

– Wyobraź sobie, że mam trzydzieści lat – powiedziałam. Byłam ciekawa, jak on na to zareaguje.

– Elly, ależ wcale na to nie wyglądasz – marynarz mocniej przycisnął moje lewe biodro.

Szybko rozejrzał się na wszystkie strony.

– Słuchaj, Elly, chodźmy pod te schodki koło pomnika, to będę cię mógł pocałować.

W tej samej chwili zobaczyłam postać kobiety, ubranej w brązowy kostium, przechodzącą przez Rynek. Szła w naszym kierunku. Miała buty na wygodnych, płaskich obcasach. Nie widziałam dokładnie jej twarzy, ale byłam przekonana, że jest to pani Willard.

– Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie jest stacja kolejki podziemnej? – zapytałam marynarza bardzo głośno.

– Co?

– Stacja kolejki. Jadę do więzienia na Deer Island.

Jak pani Willard podejdzie, będzie myślała, że zatrzymałam marynarza, żeby go zapytać o drogę, i że wcale go nie znam.

– Zabierz ręce! – wyrzuciłam przez zaciśnięte zęby.

– Elly, zaraz. Co ci się stało?

Kobieta minęła nas i nawet nie spojrzała w naszym kierunku. Okazało się, oczywiście, że nie była to wcale pani Willard. Pani Willard znajdowała się przecież w swoim domku w górach Adirondack.

Patrzyłam na oddalającą się kobietę. Byłam zła i rozgoryczona.

– Co jest, Elly?

– Zdawało mi się, że to znajoma – wyjaśniłam. – Wzięłam ją za takie jedno babsko z domu sierot w Chicago.

Marynarz znowu mnie objął.

– Czy to znaczy Elly, że ty nie masz ani mamy, ani taty?

– No tak – uroniłam pojedynczą łzę, którą miałam w pogotowiu. Spłynęła mi po policzku wąską, gorącą strużką.

– Nie płacz, Elly. Ta kobieta? Czy ona ci zrobiła krzywdę?

– Ona... ona była straszna.

Moje łzy zaczęły płynąć ciurkiem. Staliśmy tak w cieniu wielkiego wiązu, a marynarz wycierał mi twarz dużą, białą lnianą chusteczką. Byłam teraz pewna, że ta koszmarna baba w brązowym kostiumie jest odpowiedzialna za wszystko, co się ze mną stało. Za to, że zabłądziłam, straciłam kierunek i nie mogę znaleźć drogi powrotu.

– No i cóż, Esther, jak się czujemy w tym tygodniu? – doktor Gordon obracał srebrny ołówek w palcach jak rewolwerową kulę.

– Tak samo.

– Tak samo? – uniósł szybko jedną brew, jakby mi nie wierzył.

Więc powtórzyłam mu raz jeszcze tym moim nowym płaskim, nudnym, tyle że nieco bardziej dzisiaj niecierpliwym głosem, ponieważ byłam zła, że tak powoli kapuje, że nie sypiam od dwóch tygodni, że nie mogę ani czytać, ani pisać i że mam trudności z przełykaniem.

Doktor Gordon wcale się nie przejął.

Sięgnęłam do torebki i wygrzebałam z niej strzępy mojego listu do Doreen. Rzuciłam je na nieskazitelną, zieloną bibułę biurka doktora. Spadły miękko jak płatki stokrotek na soczystą trawę.

– A co pan o tym sądzi, doktorze?

Byłam pewna, że doktor Gordon od razu zauważy, co się stało z moim charakterem pisma, ale on tylko powiedział:

– Wydaje mi się, że powinienem porozmawiać z pani matką. Czy pani się zgadza?

– Zgadzam się. – Wcale mi się ta propozycja nie podobała. Pewnie jej powie, że trzeba mnie umieścić w zakładzie zamkniętym. Zgarnęłam więc strzępy mojego listu do Doreen, żeby doktor Gordon nie mógł ich poskładać i przeczytać, że zamierzam wyjechać, i bez słowa pożegnania wyszłam z gabinetu.

Postać matki malała i malała, aż znikła w bramie domu doktora. Potem pojawiła się znów i rosła, aż znalazła się przy mnie, za kierownicą samochodu.

– No i co? – Zorientowałam się od razu, że matka płakała.

Nic nie odpowiedziała, tylko zapuściła motor. Dopiero kiedy znalazłyśmy się w chłodnym, morskozielonym cieniu wiązów, odezwała się:

– Doktor Gordon mówi, że nie widzi żadnej poprawy. Uważa, że potrzebna ci jest kuracja wstrząsowa w jego prywatnej klinice w Walton.

Słowa matki bardzo mnie zainteresowały, zupełnie jak gdybym przeczytała w gazecie jakiś bardzo sensacyjny nagłówek, dotyczący całkiem obcej osoby.

– Czy to znaczy, że będę musiała tam siedzieć przez dłuższy czas?

– Nie – odparła matka i zobaczyłam, że trzęsie jej się podbródek.

Na pewno kłamie, pomyślałam.

– Powiedz mi prawdę – zażądałam – w przeciwnym razie nie odezwę się do ciebie słowem do końca życia.

– Przecież ja ci zawsze mówię prawdę – powiedziała matka i wybuchnęła płaczem.

Samobójca uratowany z parapetu na siódmym piętrze!

Po dwóch godzinach stania na wąskim parapecie na siódmym piętrze nad asfaltowym parkingiem, w obecności wielkiego tłumu przechodniów, George Pollucci pozwolił się sprowadzić na dół sierżantowi Willowi Kilmartinowi z komisariatu na Charles Street.

Zgniotłam fistaszka i zjadłam go. Kupiłam cały woreczek fistaszków za dziesięć centów, niby to dla gołębi. Miał smak przywiedłej kory starego drzewa.

Przysunęłam gazetę do oczu, żeby się dobrze przyjrzeć twarzy George'a Pollucci, sfotografowanej na tle cegieł i czarnego nieba, oświetlonej reflektorem, jak światłem

księżycą w trzeciej kwadrze. Byłam pewna, że ma mi coś ważnego do powiedzenia, i próbowałam to wyczytać z jego twarzy. Ale gdy się w nią wpatrywałam, rysy twarzy George'a Pollucci rozmazały się jeszcze bardziej. Pozostała tylko plama, pełna czarnych, szarych i całkiem jasnych kropek.

Wydrukowana grubą czcionką wzmianka o panu Pollucci nie wyjaśniała, dlaczego wlaźł na parapet i co mu powiedział sierżant Kilmartin, żeby go odwieść od samobójczych zamiarów.

Skakanie z okna ma jedną wadę. Jeżeli nie wejdzie się na dostatecznie wysokie piętro, to można się wcale nie zabić. Ale siedem pięter chyba powinno wystarczyć.

Złożyłam gazetę i wsunęłam ją pomiędzy deski ławki. Był to, zdaniem mojej matki, brukowiec, pełen miejscowych skandali, morderstw, opisów bójek i napadów rabunkowych, a na każdej niemal stronie widniały zdjęcia półnagich kobiet. Piersi ich wypływały z dekoltów sukien, a nogi tak im fotografowano, żeby było widać podwiązki.

Nie wiem, dlaczego dotychczas nie kupowałam takich gazet. Teraz stanowiły jedyną lekturę, jaką byłam w stanie czytać. Niewielkie kawałki tekstu pomiędzy fotografiami były tak krótkie, że zdążyłam je przeczytać, zanim litery zaczynały podskakiwać i spływać w dół. Matka abonowała tylko „Christian Science Monitor”. Leżał na progu naszego domu codziennie już o piątej rano, z wyjątkiem niedziel. Dziennik ten z zasady nie

donosił o samobójstwach, zbrodniach seksualnych czy wypadkach lotniczych.

Biała, w kształcie łabędzia łódź, wypełniona dziećmi, zbliżała się, opłynęła zalesioną wysepkę zamieszkaną przez gromadkę kaczek i zniknęła pod ciemnym łukiem mostku. Wszystko wydawało mi się dzisiaj bardzo wyraziste i bardzo małe.

Jak gdybym patrzyła na świat przez dziurkę od klucza w drzwiach, których nie mogę otworzyć. Zobaczyłam siebie z młodszym bratem – byliśmy mali i trzymaliśmy w rękach baloniki z króliczymi uszami. Wsiadaliśmy do łódki w kształcie łabędzia, przepychaliśmy się do burty, wpatrywaliśmy się w powierzchnię jeziora, na której pływały łupki po fistaszkach. Poczułam na podniebieniu smak czystości i mięty. Kiedy byliśmy grzeczni u dentysty, matka w nagrodę fundowała nam przejażdżkę po jeziorze łodzią w kształcie łabędzia.

Spacerowałam po parku miejskim. Minęłam mostek, kilka niebieskozielonych pomników, klomb w kolorach amerykańskiej flagi. Przy wejściu był kiosk, pomalowany w białe i pomarańczowe pasy, gdzie można się było za dwadzieścia pięć centów sfotografować. Odczytywałam nazwy drzew z tabliczek.

Moim ulubionym drzewem było Drzewo Płaczącego Uczzonego. Byłam pewna, że pochodzi z Japonii. Japonia rozumie i szanuje intelektualistów.

Kiedy Japończykowi zbrzydnie życie, rozpruwa sobie brzuch.

Próbowałam to sobie wyobrazić. Potrzebne są przede wszystkim bardzo ostre noże. Delikwent siada, krzyżuje nogi, w każdej ręce trzyma nóż. Potem krzyżuje ręce i kieruje ostrze noży ku sobie. Pewnie nago, bo w przeciwnym wypadku nóż mógłby utkwić w materiale ubrania.

Potem mocnym, gwałtownym ruchem wbija obydwie noże głęboko w ciało, zatacza nimi dwa półkola, górą i dołem, aż oba ostrza się spotkają. Z otwartego brzucha wypadają na wierzch kiszki i człowiek umiera błyskawicznie.

Wymaga to wielkiej odwagi.

Mój problem polega na tym, że nie znoszę widoku krwi.

Postanowiłam pozostać w parku przez całą noc.

Nazajutrz Dodo Conway miała mnie i matkę zawieźć do Walton i jeśliby się zdecydować na ucieczkę – to albo teraz, albo wcale. Zajrzałam do torebki. Miałam dolara i siedemdziesiąt dziewięć centów w dziesiątkach, piątkach i pojedynczych pieniążkach.

Nie wiedziałam, ile kosztuje bilet do Chicago, a nie miałam odwagi wyciągnąć oszczędności z banku, ponieważ obawiałam się, że doktor Gordon uprzedził urzędnika i zostanie zatrzymana.

Przyszło mi do głowy, żeby pojechać autobusem, ale nie wiedziałam, która z licznych dróg wyjazdowych Bostonu prowadzi w kierunku Chicago. Na mapie łatwo się orientuję, ale jak znajdę się w mieście, tracę poczucie

kierunku. Jak tylko zaczynam się zastanawiać nad tym, gdzie jest wschód, a gdzie zachód, to akurat jest albo samo południe, albo niebo jest zachmurzone. Nocą też jest beznadziejnie. Umiem znaleźć na niebie najwyżej Wielką Niedźwiedzicę albo gwiazdozbiór Kasjopei. Jednym słowem, nie znam się na gwiazdach, co zresztą zawsze szalenie irytowało Buddy'ego Willarda.

Postanowiłam podejść do stacji autobusów i dowiedzieć się o cenę przejazdu do Chicago, a potem iść do banku i podjąć dokładnie taką sumę, co może nie wzbudziłoby podejrzania.

Weszłam przez oszklone drzwi na dworzec autobusowy i właśnie wertowałam kolorowe foldery i rozkłady jazdy, kiedy uświadomiłam sobie, że jest po czwartej i banki są już zamknięte, więc dopiero nazajutrz mogłabym podjąć pieniądze.

W Walton oczekiwano mnie o dziesiątej rano.

Nagle zaczęły się rozlegać z głośnika nazwy przystanków autobusu, który za chwilę miał ruszyć w drogę. Brzmiało to jak zwykle brum, brum, brum – nikt nigdy jeszcze nie zrozumiał słów płynących z głośnika – ale z tych trzasków i pisków wyłoniło się nagle jedno słowo, wyraźne i jasne jak czysta nuta wyczarowana z fortepianu w czasie strojenia instrumentów.

Była to nazwa przystanku odległego o dwie przecznice od mojego domu.

Wybiegłam z dworca wprost w parne, duszne lipcowe popołudnie. Byłam spocona, usta miałam wysuszone i

jakby pełne piasku. Zachowywałam się jak osoba spiesząca się na szalenie ważne spotkanie. Wsiadłam do czerwonego autobusu z zapuszczonym już motorem.

W milczeniu podałam konduktorowi pieniądze i poczułam, że za moimi plecami zamykają się drzwi. Bezszelestnie, na naoliwionych zawiasach.

Rozdział 12

Prywatna klinika doktora Gordona znajdowała się na szczycie łagodnego zielonego pagórka, u końca długiego, obrzeżonego drzewami podjazdu, wyłożonego skorupami muszel. Dom był duży, drewniany, pomalowany na żółto, okolony werandą, zalany słońcem, ale żywa dusza nie przechadzała się po rozległej murawie.

Kiedy podchodziłyśmy do wejściowych drzwi, runął na nas upał wczesnego jeszcze dnia, pojedyncza cykada rozśpiewała się w koronie złotego buku, rosnącego przed domem – uskrzydłona maszyna do strzyżenia trawy.

W drzwiach powitała nas pielęgniarzka.

– Proszę usiąść na chwilę w poczekalni. Doktor Gordon zaraz nadejdzie.

Najbardziej denerwowało mnie to, że wszystko na razie wydawało się najnormalniejsze w świecie, mimo że dom przecież był zamieszkały wyłącznie przez wariatów. W oknach nie było krat, nie słychać było żadnych niepokojących krzyków czy hałasów. Na wytartych, ale miękkich dywanach regularne, podłużne plamy słońca, w powietrzu słodki zapach świeżo ściętej trawy.

Zatrzymałam się w drzwiach poczekalni.

Przez chwilę miałam wrażenie, że znajduję się w saloniku małego zajazdu na wyspie w zatoce Maine, w którym przebywałam przed laty. Oszklone drzwi balkonowe wpuszczały do pokoju oślepiająco jasne

światło, w prawym rogu fortepian, a przy stolikach karcianych i w nieco spaczonych wyplatanych fotelach, jakie często spotyka się w zaniedbanych nadmorskich pensjonatach, normalni ludzie w letnich, jasnych strojach.

Ale już po chwili zorientowałam się, że ci tutejsi ludzie siedzą zupełnie nieruchomo.

Przymrużyłam oczy i starałam się zorientować, dlaczego wydają mi się tacy dziwni. Byli to mężczyźni i kobiety, chłopcy i dziewczęta w moim mniej więcej wieku. Łączyło ich wszystkich jakieś szczególne podobieństwo twarzy. Wyglądali, jak gdyby przeleżeli długi czas na półkach, z dala od słońca i światła, pokryci cienką warstwą kurzu.

A potem spostrzegłam, że niektórzy z nich jednak się poruszają, drobnymi, ptasimi, niemal niedostrzegalnymi ruchami.

Mężczyzna o poszarzałej twarzy liczył karty, jeden, dwa, trzy, cztery... myślałam, że sprawdza, czy talia jest cała, ale nie; kiedy skończył, zaczął od początku. Siedząca obok niego tęga kobieta bawiła się drewnianymi koralami. Przesuwała je, po jednym, na koniec kordonka, a potem klik, klik, klik, z powrotem.

Młoda dziewczyna przy fortepianie przeglądała nuty, ale kiedy zauważyła, że patrzę na nią, podarła je ze złością i pochyliła nisko głowę.

Matka dotknęła mojego ramienia. Weszliśmy do salonu.

Usiadliśmy w milczeniu na zniszczonej kanapie.

Skrzypiała za najmniejszym poruszeniem.

Wzrok mój przesunął się, spojrzałam przez okno na jaskrawą zielen trawnika, prześwitującą poprzez półprzezroczyste zasłony, poczułam się tak, jak gdybym siedziała w oknie wystawowym wielkiego magazynu. Otaczające mnie osoby nie były żywymi ludźmi. Były to kukły, wymalowane na obraz i podobieństwo człowieka, ustawione w pozach imitujących życie.

Wspinałam się po schodach w ślad za ciemną marynarką doktora Gordona.

Na dole, w hallu, postanowiłam dowiedzieć się od niego, na czym polega kuracja wstrząsowa, ale kiedy otworzyłam usta, nie wyszedł z nich ani jeden dźwięk. Wybałuszyłam oczy na tę jego znajomą, uśmiechniętą twarz, jakbym zobaczyła naczynie wypełnione nadzieją.

Na podeście pierwszego piętra kończył się czerwony chodnik. Podłoga pokryta tu była zwykłym brązowym linoleum, ciągnącym się długim korytarzem z dwoma rzędami zamkniętych białych drzwi. Kiedy tam szłam za doktorem Gordonem, drzwi jednego z pokoiów otworzyły się. Ze środka rozległ się przeraźliwy krzyk kobiety.

Zza zakrętu wyszła pielęgniarzka, prowadząc kobietę odzianą w niebieski szlafrok, której zwichrzone włosy sięgały do pasa. Doktor Gordon przystanął, a ja przywarłam plecami do ściany.

Pielęgniarzka musiała podtrzymywać tę nieszczęsną kobietę, która machała rękami, próbowała się wyrwać i powtarzała w kółko:

– Wskoczę oknem, wskoczę oknem, wskoczę oknem!

Tęga, muskularna, zezowata pielęgniarka miała na sobie poplamiony fartuch, a na nosie szkła tak grube, że wydawało się, iż ma dwie pary oczu. Próbowałam się zorientować, które są prawdziwe, a które są szklanym odbiciem, ale pielęgniarka nachyliła się do mnie, uśmiechnęła porozumiewawczo i syknęła, jakby mnie tym sykiem chciała uspokoić:

– Ona myśli, że to jej się uda, ale wszystkie okna są zakratowane.

Gdy doktor Gordon zaprowadził mnie wreszcie do pustego pokoju, spostrzegłam, że rzeczywiście okna mają grube kraty a zarówno drzwi od pokoju, jak i drzwi od szafy w ścianie oraz wszystkie i w ogóle wszystko, co daje się otwierać i zamykać, zaopatrzone jest w zamki.

Wyciągnęłam się na łóżku.

Pielęgniarka o szklanych oczach wróciła. Zdjęła mi zegarek z ręki i wsunęła go do kieszeni swojego fartucha. Potem zaczęła wyjmować mi szpilki z włosów.

Doktor Gordon otworzył szafę w ścianie. Wysunął z niej stolik na kółkach, na którym stała jakaś maszyna. Przysunął go do mojego wezgłowia. Pielęgniarka wysmarowała mi skroń śmierdzącym tłuszczem.

Gdy nachyliła się nade mną, by namaścić drugą skroń, wielka jej pierś musnęła mi twarz, jak chmura albo pierzyna. Szedł od niej słaby, apteczny fetor.

– Proszę się nie denerwować – wyszczerzyła się na

mnie. – Za pierwszym razem każdy się boi.

Próbowałam się uśmiechnąć, ale miałam skórę twarzy sztywną jak pergamin.

Doktor Gordon przymocował mi dwie płytki metalowe do skroni. Przytrzymujący je skórzany pasek werznął mi się w czoło. Między zęby doktor wsunął mi drut i kazał zacisnąć szczęki.

Zamknęłam oczy.

Zapanowała cisza, krótka jak westchnienie.

A potem coś zważyło się na mnie, trzepnęło mnie i potrząsnęło mną z taką siłą, że byłam pewna, że nadszedł koniec świata. Liii... zapiszczało, powietrze przecięły niebieskie błyskawice, a niewidzialne ręce skręcały mnie jak kleszcze. Byłam pewna, że mi trzasną wszystkie kości, a życie ujdzie ze mnie jak żywica ze zrąbanego drzewa.

Musiałam popełnić coś potwornego, żeby zasłużyć na taką karę.

Siedziałam w wyplatany fotelu ze szklaneczką soku pomidorowego w rękach. Oddano mi zegarek. Wydawał mi się dziwny. Po chwili zorientowałam się, że założono mi go na odwrót. Szpilki też tkwiły w moich włosach jakoś inaczej niż zwykle.

– Jak się pani czuje?

Z podświadomości wyłoniła się nagle stara metalowa lampa. Stała niegdyś w gabinecie ojca, relikw minionych lat. Ukoronowana miedzianym dzwonem, w który

wkręcało się żarówkę; włączona była grubym, zniszczonym sznurem, wijącym się dokoła metalowej podstawy, w gniazdko elektryczne w ścianie.

Pewnego dnia postanowiłam przesunąć tę lampę, stojącą zazwyczaj przy matczynym łóżku, do mojego biurka, znajdującego się w drugim końcu pokoju. Sznur był wystarczająco długi, nie wyciągnęłam go więc z gniazdka. Ujęłam mocno metalową podstawę, przytrzymując drugą ręką sznur.

I wtedy z wnętrza lampy coś wyskoczyło, sina błyskawica rozdarła powietrze i potrząsnęła mną tak gwałtownie, że zaczęłam szczekać zębami. Usiłowałam oderwać ręce od lampy, ale były jak przymurowane, zaczęłam więc krzyczeć, a może ten wrzask sam wyrwał mi się z krtani, bo nie poznawałam własnego głosu i tylko słyszałam, jak unosi się i zawisa w powietrzu niczym dusza gwałtownie wyzwolona z ciała.

Na koniec udało mi się oderwać ręce od lampy. Padłam na matczyne łóżko. Na środku prawej dłoni zobaczyłam małą czarną dziurkę, jak gdyby zrobioną ostro zatemperowanym ołówkiem.

– Jak się pani czuje?

– Dobrze.

Było to kłamstwo. Czułam się okropnie.

– Gdzie pani studiuje?

Wymieniłam nazwę mojego college'u.

– No proszę! – twarz doktora Gordona rozjaśnił ciepły, tropikalny niemal uśmiech. – Pamiętam. Tam był ośrodek

Pomocniczej Służby Kobiet w czasie wojny, prawda?

Zaciśnięte ręce matki były tak białe, jak gdyby przez tę godzinę czekania czas starł z nich skórę aż do kości. Spojrzała przez moje ramię na doktora Gordona, a on pewnie albo się uśmiechnął, albo skinął głową, bo od razu się rozchmurzyła.

– Jeszcze kilka wstrząsów, droga pani Greenwood, i zobaczy pani ogromną poprawę.

Dziewczyna wciąż siedziała przy fortepianie ze strzępami podartych nut, wyglądających jak martwe ptaki u jej stóp. Patrzyłyśmy na siebie tępych wzrokiem. Nagle zmrużyła oczy. Potem wywaliła język.

Matka szła za doktorem Gordonem ku drzwiom. Pozostałam nieco w tyle, a kiedy upewniłam się, że oboje są odwróceny plecami do pokoju, zrobiłam głupi grymas, wsadziłam oba kciuki do uszu i pomachałam szybko palcami. Dziewczyna schowała język i przybrała kamienny wyraz twarzy.

Wyszłyśmy z kliniki. Słońce, upał, trawnik.

Pod cienistym drzewem czaiła się jak pantera cheyroleta Dodo Conway.

Samochód ten został wykonany specjalnie na zamówienie dla pewnej szalenie bogatej damy. Był zupełnie czarny, bez kawałka chromowanej blachy. W środku też był wybity czarną skórą. Stwierdziła, że działa na nią deprymująco, bo jest zbyt podobny do karawanu, i chciała go sprzedać, ale nie mogła znaleźć nabywcy. W

końcu Conwayowie kupili go od niej za psi pieniądz, zaoszczędzając w ten sposób niemałą sumę.

Siedziałam teraz na przednim siedzeniu pomiędzy Dodo a matką, ogłupiała i przygnębiona. Próbowałam skoncentrować myśli na czymkolwiek, ale ślizgały się po każdym temacie jak po lodzie, by w piruetach zapaść się w przepastną szczelinę zapomnienia.

– Nie pójdę już nigdy więcej do tego okropnego Gordona – powiedziałam do matki, gdy pożegnałyśmy się z Dodo Conway i jej czarnym karawanem. – Możesz do niego zadzwonić i powiedzieć mu, że nie przyjdę w przyszłym tygodniu.

Matka uśmiechnęła się:

– A ja jestem pewna, że moje dziecko nie jest takie.

– Jakie znowu?

– Jak ci straszni, nieruchomi ludzie w jego klinice. – Zamilkła na chwilę. – Jestem pewna, że jak się do tego przyłożysz, to się wyleczysz.

Gwiazda filmowa umiera po 68 godzinach nie odzyskawszy przytomności

Sięgnęłam w głąb torebki, poszperałam pomiędzy zmiętymi kartkami papieru, puderniczką, łupkami po fistaszkach, dziesięcio – i pięciocentówkami, paczką z dziewiętnastoma żyletkami i wyciągnęłam fotografię, zrobioną tegoż popołudnia w pomarańczowo-białym kiosku.

Położyłam ją obok zamazanej fotografii zmarłej gwiazdy. Identyczne twarze, nos ten sam, takie same usta. Ale czy naprawdę identyczne? Moje oczy były otwarte, a jej zamknięte. Ale ja wiedziałam, że gdyby te oczy mogły się otworzyć, to spojrzałyby na mnie z takim samym, martwym, pustym wyrazem jak moje.

Wsunęłam swoje zdjęcie z powrotem do torebki.

Posiedzę jeszcze na ławeczce, na słońcu, dokładnie pięć minut, według zegara na tamtym budynku, a potem wstanę, pójdę i zrobię to.

Przywołałam chór wewnętrznych głosów.

Czy praca przestała cię interesować, Esther?

Czy ty wiesz, Esther, że masz wszystkie objawy pierwszorzędnej nerwicy?

Tak do niczego nie dojdiesz, tak nic nie zdasz, w ten sposób nie dojdiesz do niczego.

Pewnej parnej, letniej nocy spędziłam całą godzinę, całując się z okropnie owłosionym, zbudowanym jak orangutan studentem z Yale, jedynie i wyłącznie dlatego, że mi go było żal. Był tak strasznie brzydki. Kiedy skończyliśmy, oświadczył:

– Rozgryzłem cię, Baby. Jak dojdiesz do czterdziestki, będziesz autentycznym okazem typowego świętoszka.

„Zmanierowane!” – napisał profesor literatury na marginesie mojego opowiadania pod tytułem *Wspaniały weekend*.

Nie byłam całkowicie pewna, co to słowo znaczy, więc zajrzałam do słownika.

Zmanierowany – sztuczny, nieprawdziwy.

Tak nie dojdiesz do niczego.

Nie spałam od dwudziestu jeden nocy.

Pomyślałam, że najcudowniejszą rzeczą na świecie jest cień. Miliony ruchomych kształtów i zaułków cienia. Cień w szufladach biur, w szafach i walizkach, pod domami, pod drzewami i kamieniami, pod powiekami ludzi, pod ich uśmiechami i jeszcze długie, bezkresne kilometry cienia po ciemnej stronie naszego globu.

Spojrzałam na różowe plastry na mojej prawej łydce.

Tego ranka zrobiłam początek.

Zamknęłam się w łazience, nalałam pełną wannę ciepłej wody i wzięłam do ręki żyletkę.

Podobno zapytano kiedyś któregoś z rzymskich filozofów, jak pragnie zakończyć życie, na co ten odpowiedział, że przetnie sobie żyły w ciepłej kąpieli. Postanowiłam więc, że to będzie chyba i dla mnie najlepsze wyjście. Poleżę w wannie, popatrzę na czerwoną posokę płynącą z moich żył, aż krew pięknie zabarwi czystą wodę, a potem zasnę sobie spokojnie pod powierzchnią, falującą jak łan maków.

Ale jak przyszło do działania, nie mogłam się zmobilizować. Skóra na przegubie mojej ręki była taka biała i bezbronna. Wydało mi się, że to, co chcę zabić, nie znajduje się ani pod skórą, ani w błękitnej pulsującej żyłce, ale głębiej, utajone tam, gdzie bardzo trudno jest dotrzeć.

Okazało się, że trzeba wykonać dwa ruchy. Najpierw przeciąć jeden przegub, potem drugi. Nie, trzy ruchy,

jeżeli liczyć przełożenie żyłki z ręki do ręki. Potem trzeba wejść do wanny i położyć się.

Podeszłam do lustra. Jeżeli będę się na to patrzyła, wyda mi się, że obserwuję kogoś innego, bohaterkę sztuki teatralnej albo książki.

Ale osoba w lustrze była albo sparaliżowana, albo za głupia, żeby wykonać swój zamiar.

Postanowiłam puścić trochę krwi, żeby się przyzwyczaić do jej widoku, więc przysiadłam na brzegu wanny, położyłam prawą stopę na lewym kolanie, uniosłam prawą ręką żyłkę i opuściłam na łydkę jak ostrze gilotyny.

Nie zabołało na razie. Po chwili przeszedł mnie krótki gwałtowny dreszcz i szeroka smuga krwi wypłynęła z rany. Ciemna krew pęczniała jak dojrzewający owoc, a potem powoli toczyła się po kostce prosto do czarnego lakierka.

Teraz trzeba było wejść do wanny, ale ponieważ moje rozmyślenia zajęły prawie cały ranek, zbliżał się czas powrotu matki do domu.

Założyłam więc plaster na ranę, wpakowałam pozostałe żyłki do torebki i złapałam autobus odchodzący do Bostonu o jedenastej trzydzieści.

– Niestety Baby pociągu do więzienia na Deer Island nie ma, bo to jest przecież wyspa.

– Nic podobnego. To już nie jest wyspa. Nasypali ziemi i połączyli ją z lądem.

– Ale kolejki podziemnej nie przeprowadzono.

– Muszę się tam dostać.

– Zaraz – tłusciuch w kasie biletowej przyglądał mi się zza ochronnej kraty. – Niech pani nie płacze. Kogo pani tam ma, jakiegoś krewniaka?

Ludzie tłoczyli się w jaskrawo oświetlonych korytarzach stacji pod Scollay Square. Z głębokich tunelów rozlegało się dudnienie pociągów. Czułam, że łzy spływają mi spod zaciśniętych powiek.

– Mam tam ojca.

Tłusciuch studiował rozkład jazdy na ścianie.

– Niech pani zrobi tak. Wsiądzie pani w następny pociąg, wysiądzie na Orient Heights. Tam złapie pani autobus z napisem The Point. – Uśmiechał się życzliwie. – Zajedzie pani przed samo więzienie.

– Zaraz tam! – krzyknął młody człowiek w niebieskim mundurze i zaczął machać rękami. Siedział w małej, okrągłej budce strażniczej.

Pomachałam mu w odpowiedzi ręką, ale nie zatrzymałam się.

– Ej, tam! Panienko!

Stanęłam, a potem powoli podeszłam do okrągłej strażnicy, ustawionej na niewielkim wzniesieniu.

– Dalej iść nie wolno. To jest teren więzienny. Osobom postronnym wstęp wzbroniony.

– Myślałam, że każdy ma prawo spacerować po plaży – powiedziałam. – W każdym razie do linii przyływu.

Młody człowiek zastanawiał się przez chwilę.

– Ale nie po tej plaży – powiedział wreszcie.

Miał bardzo sympatyczną, opaloną twarz.

– Jak tu ładnie u pana – powiedziałam. – Jest pan jak u siebie w domu.

Młody człowiek spojrział na kwieciste firaneczki w oknach i kolorowy szmaciak na podłodze. Uśmiechnął się.

– Mamy nawet maszynkę do parzenia kawy.

– Kiedyś mieszkałam tu niedaleko.

– Taak? A ja urodziłem się i wychowałem w tym miasteczku.

Spojrział poprzez plażę na parking, na żelazną bramę, na wąską drogę wśród diun prowadzącą do dawnej wyspy.

Zbudowane z czerwonej cegły budynki więzienia robiły nawet dość sympatyczne wrażenie. Przypominały gmachy pierwszego lepszego nadmorskiego college'u. Na zielonym trawniku więziennym widać było poruszające się, niewielkie białe plamy i nieco większe różowe. Zapytałam strażnika, co to takiego.

– Świnie i kuraki – odpowiedział.

Pomyślałam sobie, że gdybym miała więcej rozumu, to pozostałabym w rodzinnym miasteczku. Wówczas poznałabym może tego młodego strażnika więziennego, wyszłabym za niego za męża i miałabym z nim dzisiaj zapewne gromadkę dzieci. Dobrze by to mogło być życie. Ocean i kupa dzieciaków, świń, kur. Ubierałabym się w – jak to nazywała moja babka – sukienki do prania,

przesiadylałabym w kuchni, oparta łokciami o blat stołu, i popijałabym kawę z dużego, porcelanowego kubka.

– Jak można się dostać do tego więzienia?

– Trzeba się postarać o przepustkę.

– Ale jak można się tam dostać na stałe?

– Oho! – roześmiał się strażnik. – Trzeba ukraść samochód albo obrabować jakiś sklep.

– Czy trzymacie tu także morderców?

– Nie. Morderców kierują do dużego, stanowego więzienia.

– A jacy tu jeszcze siedzą?

– Różni. Z początkiem zimy przywożą zazwyczaj całą gromadę starych włóczęgów z Bostonu. Rozwalają cegłą jakieś okno sklepowe, zostają aresztowani, a potem zimują sobie spokojnie w ciepłym więzieniu. Mają telewizor, masę dobrego żarcia i mecz siatkówki w każdą sobotę.

– To dobry pomysł.

– Co kto lubi – wzruszył ramionami strażnik.

Pożegnałam się z nim, a kiedy odeszłam kawałek, spojrzałam na niego przez ramię. Stał spokojnie w drzwiach swojej okrągłej strażnicy, a kiedy odwróciłam się, pomachał mi ręką na pożegnanie.

Siedziałam na powalonym pniu. Był ciężki jak z ołowiu i pachniał smołą. U stóp niewielkiego pagórka, nad którym wznosiła się szara, cylindryczna wieża ciśnień, ciągnął się długi nasyp. W czasie przyływu

znikał całkowicie pod wodą.

Świetnie pamiętam ten nasyp. Na jego najbardziej wybrzuszonej części można było znaleźć bardzo piękne muszle. Nie było takich na innych częściach plaży.

Muszle te były bardzo gładkie, małe na pół kciuka, przeważnie białe, chociaż zdarzały się i różowe, i brzoskwińowe, i jeszcze takie całkiem malutkie konchy.

– Mamo, ta dziewczyna wciąż tam siedzi.

Podniosłam odruchowo wzrok i zobaczyłam dziecko, całe oblepione piaskiem, które jakaś kobieta o wylupiastych oczach, ubrana w kostium z materiału w białe i czerwone grochy, siłą odciągała od brzegu.

Nie wyobrażałam sobie, że na plaży będzie tyle ludzi. W czasie mojej dziesięcioletniej nieobecności na pustych niegdyś plażach półwyspu Cape Cod wyrosły całe rzędy różowych, seledynowych i niebieskich domeczków, jak niesmaczne grzybki po deszczu. Małe, srebrzyste samolociki i baloniki w kształcie cygar ustąpiły miejsca odrzutowcom, które niemal bez przerwy nadlatywały z lotniska po przeciwnej stronie zatoki.

Byłam jedyną dziewczyną na plaży ubraną w sukienkę i pantofle na wysokich obcasach i dopiero po pewnym czasie zorientowałam się, że zwracam na siebie ogólną uwagę. Zdjęłam z nóg lakierki, bo zapadałam się obcasami w piasek. Z satysfakcją pomyślałam, że jeszcze długo po mojej śmierci będą sobie spokojnie leżały na grubym pniu, czubkami celując w ocean, jak kompasy wskazujące kierunek ludzkich myśli.

Bawiłam się paczką żyletek, spoczywającą w mojej kieszeni.

Głupia jestem, pomyślałam. Mam wprowadzić żyletki, ale gdzie ta ciepła kąpiel?

Zastanawiałam się nad tym, czy nie wynająć pokoju w jednym z niezliczonych domków jednorodzinnych albo w którymś pensjonacie. Ale nie miałam bagażu, co na pewno wzbudziłoby podejrzenia. Poza tym w pensjonatach ludzie zawsze czekają, żeby się zwolniła łazienka. Ledwo bym weszła do wanny, a już ktoś zacząłby się dobijać do drzwi.

Mewy, siedząc na palach wbitych w nasyp, miauczały jak koty. A potem jedna po drugiej, wszystkie w szarych surducikach, zerwały się i kracząc żałośnie, zaczęły krążyć nad moją głową.

– Hej tam, proszę pani, lepiej tu nie siedzieć, bo przyplływ idzie.

Chłopczyk, który przysiadł na piętach o kilka metrów ode mnie, podniósł płaski kamień i rzucił go daleko w wodę. Kamień plusnął i znikł pod powierzchnią. Chłopiec spojrzał na mnie. Słyszałam, jak kamienie w jego kieszeni postukują niczym garść monet.

Znowu rzucił płaski kamień i tym razem udało mu się. Kamień odbił się siedem razy o powierzchnię, zanim znikł pod wodą.

– Dlaczego nie wracasz do domu? – zapytałam go.

Chłopiec rzucił trzeci, tym razem cięższy kamyk. Trzy

razy plusk i kamień zapadł się pod wodę.

– Bo mi się nie chce.

– Matka na pewno czeka na ciebie.

– Wcale nie – zaniepokoił się.

– Jeżeli zaraz pójdziesz, to dam ci cukierka.

Podszedł bliżej:

– Jakiego cukierka?

Wiedziałałam nawet bez zaglądania do torebki, że są tam tylko łupki po fistaszkach.

– Dam ci pieniądze, kupisz sobie, co zechcesz.

– Artur!

Kobieta, ślizgając się i niewątpliwie klnąc pod nosem, wdrapywała się na nasyp. Usta jej poruszały się szybko, wydawała z siebie głośne, niecierpliwe okrzyki.

– Ar-tur!

Ośłaniała jedną ręką oczy, jak gdyby to miało jej ułatwić przebicie wzrokiem gęstniejącej, morskiej mgły.

Czułam, że zainteresowanie chłopca słodyczami maleje w miarę zbliżania się matki. Udał, że mnie nie zna, kopnął kilka kamyczków, jak gdyby czegoś szukał, i oddalił się.

Dostałam lekkich dreszczy.

Kamienie pod moimi bosymi stopami stawały się coraz cięższe i zimniejsze. Pomyślałam o moich pantofelkach, porzuconych na plaży. Fale cofały się jak sparzona ręka, potem wracały i lizały mi stopy.

Zdawały się wypływać z samego dna, gdzie bezbarwne ryby, kierowane własnym światłem, żeglują poprzez

bezkresne przestrzenie wiecznej podmorskiej zimy. Widziałam oczami wyobraźni rozrzucone tam, jak nagrobki, wielkie kły rekinów i białe czaszki wielorybów.

Czekałam na to, co ocean za mnie zdecyduje.

Kolejna fala rozbiła się u mych stóp, opryskała mnie białą pianą, zimno przeniknęło mnie do szpiku kości.

Całe moje ciało wzdrygnęło się tchórzliwie przed perspektywą takiej śmierci.

Wzięłam torebkę i ruszyłam z powrotem przez zimny piasek i lodowate kamienie do miejsca, gdzie w fioletowym świetle zachodzącego słońca czekały na mnie moje pantofelki.

Rozdział 13

– Moim zdaniem zabiła go matka.

Patrzyłam na wargi chłopca, którego poznałam niedawno u Jody. Były grube, różowe. Miał pucołowatą twarz niemowlęcia i jedwabistą, niemal białą czuprynę. Nazywał się Kal, co było zapewne zdrobnieniem jakiegoś nie znanego mi imienia, ale jedyne, jakie przychodziło mi do głowy, to Kalifornia.

– Skąd ta pewność? – zapytałam.

Kal był podobno niezwykle inteligentny. Tak zapewniała mnie Jody przez telefon. Dodała, że jest bardzo miły i na pewno mi się spodoba. Zastanawiałam się teraz, czy spodobałby mi się, gdybym była teraz taka jak jeszcze do niedawna.

– Najpierw gwałtownie zaprzeczała, ale w końcu przecież się przyznała.

– Ale potem znowu się wycofała.

Leżeliśmy z Kalem na ręczniku w pomarańczowe i zielone pasy na brudnej plaży pod Lynn. Jody i jej chłopiec pływali w morzu. Kal też miał ochotę na kąpiel, ale jednocześnie i na rozmowę. Omawialiśmy sztukę teatralną, w której młody człowiek dowiaduje się, że jest psychopata, ponieważ jego ojciec zadawał się z syfilityczkami. W trzecim akcie powolne rozmiękczenie mózgu doprowadza go do obłądu i matka chłopca zastanawia się, czy nie powinna go zabić.

Byłam pewna, że to moja matka zatelefonowała do Jody i poprosiła ją, żeby zabrała mnie ze sobą na jakąś wycieczkę. Martwiło ją, że siedzę całymi dniami w pokoju z zasuniętymi roletami. Z początku nie zgadzałam się, bo nie chciałam, żeby Jody zobaczyła, jak bardzo się zmieniłam. Byłe półgłówek, pomyślałam, zorientuje się natychmiast, że brak mi piątej klepki.

Ale w czasie jazdy samochodem – najpierw w kierunku północnym, potem wschodnim – Jody śmiała się, żartowała, gadała bez przerwy i zupełnie nie zwracała uwagi na to, że ja się prawie nie odzywałam, a najwyżej mówiłam: „Coś takiego”, „Masz ci” albo „Nie mów”.

Piekliśmy sobie parówki na rusztach ustawionych na plaży. Obserwując bacznie każdy ruch Jody, Marka i Kala, całkiem zręcznie poradziłam sobie ze swoją parówką. Trzymałam ją nad płomieniem odpowiednią ilość czasu, nie spaliłam jej i nawet nie spadła mi z patyka, chociaż tego obawiałam się najbardziej. A później, jak nikt nie patrzył, zakopałam ją w piasku.

Gdy skończyliśmy jeść, Jody i Mark, trzymając się za ręce, pobiegli do wody, a ja rozłożyłam się na ręczniku i wbiłam wzrok w niebo. Kal zaczął rozwodzić się nad tą sztuką.

Zapamiętałam ją tylko dlatego, że bohaterem jej był psychicznie chory człowiek, a w tej chwili wszystko, co dotyczyło chorób umysłowych, wbijało mi się w pamięć, a wszystko inne uchodziło z niej całkowicie.

– Ale ważne jest to, że się raz przyznała – upierał się

Kal. – W końcu znowu się przyzna.

Podniosłam głowę i spod przymrużonych powiek patrzyłam na gładką powierzchnię morza, tę błyszczącą, błękitną taflę z brudną pianą na brzegu. W odległości mniej więcej mili od kamienistej plaży wznosiła się ponad wodą duża, szara skała w kształcie połówki gigantycznego jaja.

– Zapomniałam już, jak ona to zamierzała zrobić.

Wcale nie zapomniałam. Pamiętałam doskonale, ale chciałam to usłyszeć z jego ust.

– Prostkami morfiny.

– Jak myślisz, czy w Ameryce produkuje się morfinę?

Kal zastanawiał się przez chwilę.

– Chyba nie – powiedział wreszcie. – To bardzo przestarzały lek.

Obróciłam się na brzuch i spojrzałam w lewo, w kierunku Lynn. Z rozstawionych po plaży rusztów, z rozpalonego asfaltu szosy unosiła się nikła mgiełka, a poprzez nią jak poprzez zasłonę półprzezroczystej wody widać było w oddali rząd cystern benzynowych, kilka kominów fabrycznych, jakieś wieże wiertnicze i mosty.

Był to widok wprost ohydny.

Położyłam się więc z powrotem na plecy i zapytałam zupełnie obojętnym tonem:

– A gdybyś ty chciał popełnić samobójstwo, to jak byś to zrobił?

Kal jakby się ucieszył z mojego pytania.

– Nieraz się nad tym zastanawiałem. Chyba palnąłbym

sobie w łeb.

Byłam rozczarowana. Typowa męska odpowiedź. Co mi po takiej metodzie. Skąd wziąć rewolwer? A nawet gdyby mi się to udało, to nie miałabym pojęcia, jak to zrobić, żeby nie spudłować.

Ileż to razy czytałam w gazecie o ludziach, którzy próbowali się zastrzelić i tylko uszkodzali sobie jakiś nerw, powodując paraliż, albo rozwalali sobie twarz, po czym wspaniali chirurdzy cudem ratowali im życie.

Ryzyko strzelania do siebie z rewolweru wydało mi się zbyt wielkie.

– A masz broń?

– Mój ojciec ma strzelbę, która jest zawsze naładowana. Mógłbym po prostu wejść do jego pokoju i – tu Kal przytknął palec do skroni, robiąc śmieszoną minę – paf! – Szeroko otworzył jasnoszare oczy i spojrzał na mnie.

– Czy twój ojciec mieszka pod Bostonem? – zapytałam mimochodem.

– O nie. W Clacton. W Anglii. Jest Anglikiem.

W podskokach, trzymając się za ręce, podbiegli do nas Jody i Mark, wesolutcy jak dwa sympatyczne szczeniaki. Nie chciałam leżeć z nimi na jednym ręczniku, podniosłam się więc i zmusiłam się do ziewnięcia.

– Chyba pójdę popływać.

Towarzystwo Jody, Marka i Kala zaczęło mnie drażnić. Obawiałam się, że za chwilę trzasną mi nerwy i powiem im, że nie mogę czytać ani pisać i że jestem chyba jedyną

osobą na świecie, która nie spała przez bity miesiąc i nie umarła z wyczerpania.

Miałam wrażenie, że z moich nerwów unosi się dym, tak jak z rusztów rozstawionych wzdłuż plaży i z rozpalonego asfaltu na pobliskiej szosie. Zdawało mi się, że cały ten krajobraz – plaża, wybrzeże, woda i skała – faluje jak teatralna dekoracja.

Zastanawiałam się, w którym miejscu ten idiotyczny, sztuczny błękit nieba przechodzi w czern.

– Idź, popływaj z nią.

Jody lekko popchnęła Kala.

– O nie! – Kal ukrył twarz w ręczniku. – Woda jest za zimna.

Ruszyłam w stronę oceanu.

Woda, iskrząca się w blasku południa, nęciła mnie i przyciągała jak magnes.

Utonąć – to chyba najmniej gwałtowna forma śmierci, pomyślałam, najgorsza – to spalenie żywcem. Pewne embriony, które pokazał mi Buddy Willard, miały, jak twierdził, skrzela. Przechodzą przez taką fazę, wyjaśnił, kiedy są podobne do ryby.

Płytką, brudną falą liznęła mi stopę. Wyniosła na brzeg kupę skórek po pomarańczach, papierków po cukierkach i innych śmieci.

Ktoś biegł za mną. Był to Kal.

– Popłynemy do skały – zaproponowałam.

– Zwariowałaś. To dobra mila.

– Co ci? Boisz się?

Kal chwycił mnie za łokieć i wciągnął do wody. Kiedy sięgała nam do pasa, zanurzył mnie siłą. Wychyłem na powierzchnię, trzepocząc się gwałtownie. Sól morską drażniła oczy. Pod powierzchnią woda była zielona, półprzezroczysta, jak wielki kawał kwarcu.

Płyłem żabką w kierunku skały. Kal płynął powolnym kraulem. Po pewnym czasie przewrócił się na plecy. Dyszał ciężko.

– Nie dam rady.

– Dobra. To wracaj.

Postanowiłem płynąć, aż się zmęczone, żeby mi nie starczyło sił na powrót. Rytmicznym ruchom rąk i nóg towarzyszyło głucho bicie mojego serca. W uszach szumiała mi krew, jak motor samochodu.

Jestem, je-stem, je-stem, je-stem.

Kilka dni przedtem próbowałem się powiesić.

Kiedy matka wyruszyła rano do pracy, wyciągnęłam jedwabny sznur z jej żółtego szlafroka kąpielowego i siadłszy na łóżku wzięłam się do robienia pętli. Czynność ta zabrała dużo czasu, ponieważ nigdy mi podobne zajęcia dobrze nie szły, a już szczególnie nie miałam pojęcia, jak zrobić solidną pętlę.

Potem zaczęłam szukać jakiegoś haka.

Kłopot polegał na tym, że nasz dom ma zupełnie nieodpowiednie sufity do takich poczynań. Są niskie, białe, gładkie, bez belek i bez haków na lampy. Z nostalgią myślałam o domu babki. Sprzedała go przed

kilku laty i przeniosła się najpierw do nas, a potem do ciotki Libby.

Dom jej zbudowany był w pięknym, dziewiętnastowiecznym stylu, miał wielkie pokoje, mocne haki od żyrandoli, duże wnęki, wyposażone w solidne szyny do zasłon, jak również strych, do którego nigdy nikt nie zaglądał. Były tam kufry, klatki na papugi i krawieckie manekiny. Sufit skonstruowany był z belek, grubych jak żebra statku.

Był to bardzo stary dom i odkąd babka go sprzedała, nie znałam już nikogo, kto mieszkałby w podobnym budynku.

Przez dłuższy czas snułam się w poszukiwaniu sposobu na zamocowanie sznura, który zwisał mi z szyi jak żółty ogon koci, ale nic z tego nie wyszło. Na koniec przysiadłam na brzegu łóżka matki i zaczęłam zaciskać pętlę rękami.

Ale kiedy zaczynało mi szumieć w uszach, kiedy krew uderzyła mi do głowy, ręce mi słabły i opadały, i zaraz znowu czułam się doskonale.

Zorientowałam się, że moje ciało wypowiedziało mi wojnę i że ma na mnie różne sposoby. Moje ręce słabły na przykład w kluczowym momencie i w ten sposób ciało moje ratowało się raz po raz od zagłady. Gdybym mogła sobie z nim dać radę, dawno już byłoby po wszystkim.

Postanowiłam więc zaskoczyć moje cielsko, mobilizując w tym celu całą, pozostałą mi jeszcze inteligencję, bo rozumiałam, że w przeciwnym razie

zostanę w tej idiotycznej pułapce na dalszych dobre pięćdziesiąt lat, a to nie miałyby żadnego sensu. Zdawałam sobie sprawę, że ludzie już się orientują, że nie mam piątej klepki, i że prędzej czy później – mimo że matka usiłuje być bardzo dyskretna – bez większego trudu przekonają ją, żeby mnie oddała do zakładu dla umysłowo chorych pod pretekstem, że tam mnie może wyleczą.

Ale mój wypadek był nieuleczalny.

Nabyłam w drugistorze kilka kieszonkowych wydawnictw na temat chorób umysłowych, porównałam moje symptomy z symptomami opisanymi w książkach i wszystko się zgadzało. Moja choroba nie nadawała się po prostu do leczenia.

Poza brukowcami byłam w stanie czytać jedynie i wyłącznie książki z dziedziny psychopatologii. Nic więcej. Było tak, jak gdyby w umyśle moim pozostała już tylko wąska smuga inteligencji. Pewnie po to, żebym mogła się zorientować, że jest ze mną bardzo niedobrze, i sama zrobić z tym koniec.

Nie udało mi się jednak powiesić i zaczęłam się zastanawiać, czy nie skapitulować i zgodzić się na leczenie, ale zaraz przypomniał mi się doktor Gordon i jego prywatna maszyna do wstrząsów. Jak mnie zamkną w szpitalu, to będą mi mogli robić elektrowstrząsy chociażby codziennie.

Potem zaczęłam sobie wyobrażać, jak to w ogóle będzie. Dzień w dzień odwiedzać mnie będą matka, brat i

przyjaciele, dopytywać się, czy nie nastąpiła jakaś poprawa. Potem te wizyty będą coraz rzadsze i rzadsze, aż rodzina straci wszelką nadzieję. Zestarzeją się. Zapomną o mnie.

I popadną w biedę.

Z początku będą chcieli dać mi wszystko, najlepszych specjalistów, najdroższe leki, wpakują mnie do prywatnego zakładu, wydadzą na to wszystkie oszczędności. Potem będą musieli mnie przenieść do szpitala stanowego, gdzie chorzy setkami wegetują w klatkach, zamknięci w piwnicach.

Bo im bardziej beznadziejny wypadek, tym bardziej ukrywa się ofiarę.

Kal zawrócił i zaczął płynąć z powrotem do brzegu.

Gdy mógł sięgnąć nogami dna, stanął i począł wyłazić na ląd; na tle piasku koloru khaki i falującej zieleni wody wyglądał, jak gdyby przecięto go w pół. Sekcjonowany biały robak z lekcji biologii. Poszedł dalej i wtedy był już tylko widoczny na tle szarego piasku. Potem zniknął w roju niezliczonej ilości robaków, co wiły się na piasku albo dyndały pomiędzy niebem a ziemią.

Rytmicznie wyrzucałam ręce i nogi. Skąła jakoś nie chciała się zbliżyć, dystans pomiędzy nami nie malał.

Nagle uświadomiłam sobie, że podpłynięcie do skały nie ma żadnego sensu. Moje ciało natychmiast skorzysta z niej, zmusi mnie do tego, żebym się na nią wspięła, wygrzała się na słońcu i zebrała siły na powrót do brzegu.

Jedynym wyjściem było utopienie się tu, i to już.

Zatrzymałam się.

Nachyliłam głowę i dałam nurka, rękami rozgarniając wodę. Poczułam ucisk na sercu i szum w uszach. Ale po kilku sekundach morze wyrzuciło mnie na powierzchnię. Skapany w jaskrawym słońcu świat mienił się, pełen błękitnych, zielonych i żółtych klejnotów.

Otarłam sobie oczy.

Dyszałam z wysiłku, ale bez trudu utrzymywałam się na powierzchni.

Jeszcze kilka razy nurkowałam, ale woda wypychała mnie na powierzchnię jak korek.

Szara skała drwiła sobie ze mnie. Kołysała się teraz na wodzie jak wielkie koło ratunkowe.

Zrozumiałam, że przegrałam.

Wróciłam na plażę.

Kwiaty kiwały główkami jak gromada bystrych dzieci. Stały na wózku, który pchałam przez korytarz.

Czułam się dosyć głupio w zielonym mundurku wolontariuszki. Szczególnie kiedy patrzyłam na białe fartuchy lekarzy i pielęgniarek czy nawet na brązowo umundurowane salowe, uzbrojone w szczotki i kubły pełne brudnej wody. Byłam przekonana, że nie jestem tu nikomu potrzebna.

Gdyby mi choć płacono za tę pracę, mogłabym ją traktować jak zwykłą posadę, ale za całe przedpołudnie, spędzone na pchaniu wózka z kwiatami, słodyczami i

pismami, otrzymywałam tylko bezpłatny obiad.

Matka twierdziła, że najlepszym sposobem na to, żeby się zbytnio nie rozczulać nad własnym losem, jest niesienie pomocy ludziom, którzy są w jeszcze gorszej sytuacji, więc Teresa zaproponowała, żebym została wolontariuszką w szpitalu. Nawet otrzymanie takiej bezpłatnej pracy nie było rzeczą łatwą, gdyż jest to domena pań z Ligi Kobiet, ale tak się szczęśliwie złożyło, że jedna z nich akurat wyjechała na urlop.

Miałam nadzieję, że zostanę przydzielona do pacjentów rzeczywiście niebezpiecznie chorych, bo oni na pewno potrafiliby docenić moje szczerą chęć, ukrytą za obojętnym i głupim wyrazem twarzy. Może nawet okazywaliby mi wdzięczność. Ale przełożona grupy wolontariuszek, miejscowa dama z towarzystwa, spojrzała na mnie tylko raz i zarządziła:

– Oddział położniczy.

Wsiadłam więc do windy, wjechałam na trzecie piętro i zgłosiłam się do siostry oddziałowej. Ta kazała mi się zająć kwiatami. Zadaniem moim miało być ustawianie właściwych wazonów przy właściwych łózkach we właściwych salach.

Ale zanim dojechałam do pierwszej sali, zauważyłam, że niektóre kwiaty przywiedły, i pomyślałam, że widok dużego bukietu umierających kwiatów mógłby źle podziałać na kobietę, która niedawno urodziła dziecko. Więc pojechałam do umywalki, znajdującej się na końcu korytarza, i zaczęłam usuwać wszystkie przywiedłe

kwiaty z bukietów.

Nie widziałam nigdzie kosza do śmieci, więc pozostawiłam te badyle na dnie głębokiej, białej, zimnej jak grób umywalki. Uśmiechnęłam się do siebie. Tak zapewne traktuje się ludzkie zwłoki w kostnicy. Gest mój, choć mało znaczący, był jednak nawiązaniem do pracy lekarzy i pielęgniarek.

Pchnęłam pierwsze drzwi i wprowadziłam wózek do środka. Dwie pielęgniarki zerwały się gwałtownie z krzeseł. Kątem oka zobaczyłam niezliczoną ilość oszklonych szafek i szklanych półek.

– Czego tu chcesz? – zapytała jedna z pielęgniarek surowym tonem. Nie potrafiłam ich rozróżnić, wszystkie wyglądały jednakowo.

– Rozwożę kwiaty.

Pielęgniarka położyła mi jedną rękę na ramieniu i wprawnie manewrując wózkiem, drugą wyprowadziła mnie na korytarz. Potem pchnęła sąsiednie drzwi, wskazała mi drogę i zniknęła.

Kiedy drzwi się zamykały, usłyszałam chichot tych dwóch idiotek.

Na sali znajdowało się sześć łóżek. Na każdym siedziała kobieta. Robiły na drutach, przeglądały magazyny albo nawijały sobie włosy na wałki i gadały wszystkie naraz, niczym papugi w wielkiej klatce.

Myślałam, że będą spały albo leżały w pościeli, blade i wyczerpane, a ja wejść na palcach, systematycznie sprawdzę numery łóżek, porównam z numerami

wypisanymi na plastrach chirurgicznych i przyklejonymi do poszczególnych waz, ale zanim zdążyłam się zorientować w sytuacji, jakaś energiczna blondyna o ostrej, trójkątnej twarzy skinęła na mnie ręką.

Postawiłam wózek na środku sali i podeszłam do niej, ale ona tylko wykonała niecierpliwy gest i wtedy zrozumiałam, że chodzi jej o to, żebym przysunęła wózek do jej łóżka.

Uśmiechnęłam się usłużnie i podjechałam.

– Hej, zaraz, gdzie są moje nasturcje? – Opasła kobieta spod przeciwległej ściany spojrzała na mnie złym wzrokiem.

Energiczna blondyna pochyliła się nad wózkiem.

– To są moje herbaciane róże – syknęła – ale ktoś pomieszał je z banalnymi irysami!

Teraz podniosły się inne głosy. Kobiety zaliły się głośno, marudziły, widać było, że są bardzo niezadowolone.

Chciałam już otworzyć usta i przyznać się, że przed chwilą wrzuciłam do zlewu garść zwiędłych nasturcji, a ponieważ niektóre bukiety były bardzo ubogie, gdyż usunęłam z nich zwiędłe kwiaty, dodałam coś niecoś z innych bukietów. Ale nie zdążyłam, bo drzwi na salkę otworzyły się szeroko i stanęła w nich wzburzona pielęgniarka, zwabiona widocznie hałasem.

– Proszę siostry, Larry przyniósł mi wczoraj wieczorem duży bukiet nasturcji i już ich nie ma!

– Spaskudziła mi moje cudne, herbaciane róże!

W biegu rozpięłam zielony fartuch, w biegu dorzuciłam go do martwych kwiatów w białej umywalce. A potem, biorąc po dwa stopnie naraz, pędziłam jak mogłam najszybciej po pustych kuchennych schodach. Na szczęście nie spotkałam po drodze żywej duszy.

– Którędy na cmentarz?

Włoch, ubrany w czarną skórzaną kurtkę, przystanął i wskazał mi alejkę, ciągnącą się na tyłach białego kościółka metodystów. Kościół ten znałam doskonale. Należałam do niego przez pierwsze dziewięć lat mojego życia. Dopiero po śmierci ojca przenieśliśmy się do innej miejscowości i przeszliśmy na unitarianizm.

Zanim moja matka została metodystką, była katoliczką. Babka, dziadek i ciotka Libby są katolikami po dzień dzisiejszy. Ciotka Libby wprawdzie rozstała się z Kościołem katolickim w tym samym czasie co moja matka, ale później zakochała się we Włochu i powróciła do dawnej wiary.

Od pewnego czasu zastanawiałam się, czy nie przejść także na katolicyzm. Wiedziałam, że u katolików samobójstwo jest śmiertelnym grzechem, i myślałam, że może potrafią mnie od niego odwieść.

Nie wierzyłam, oczywiście, ani w życie pozagrobowe, ani w niepokalane poczęcie, ani w inkwizycję, ani w nieomylność tego ich malutkiego papieża o twarzyczce małpy i w ogóle w nic z tych rzeczy, ale ostatecznie nie musiałabym się z tego zwierzać księdzu.

Skoncentrowałabym się całkowicie na moim grzechu głównym, a ksiądz dałby mi pokutę i byłoby po wszystkim.

Peszył mnie jednak fakt, że żadna wiara, nawet wiara katolicka, nie jest w stanie wypełnić człowiekowi całego życia. Żeby nie wiem jak długo klęczał i modlił się, to i tak musi jeść trzy posiłki dziennie, musi pracować i żyć wśród innych ludzi.

Postanowiłam się dowiedzieć, jak długo trzeba być katolikiem, by móc wstąpić do klasztoru. Najlepiej będzie zapytać o to matkę. Powinna się w tym orientować.

Ale matka tylko mnie wyśmiała.

– Czy ty sobie wyobrażasz, że oni przyjmą cię tak od razu, ni stąd, ni zowąd. Musisz się najpierw nauczyć katechizmu, modlitwy, no i wierzyć bez szemrania we wszystko jak leci. A to niemożliwe dla dziewczyny z twoją głową na karku!

Mimo to postanowiłam, że rozmówię się z jakimś księdzem w Bostonie. W Bostonie, ponieważ tutaj nie miałam ochoty zwierzać się nikomu z moich samobójczych zamiarów. Księża to znani plotkarze.

Ubrana na czarno, kredowoblada na twarzy, rzucę się temu księdzu do nóg i zawołam: „Pomóż mi, ojcze!”.

Ale tak myślałam, jeszcze zanim ludzie zaczęli przyglądać mi się bardzo zdziwionym wzrokiem. Jak chociażby te dwie pielęgniarke w szpitalu.

Byłam absolutnie przekonana, że katolicy nie przyjmują do klasztorów obłąkanych dziewcząt.

Pamiętam, jak mąż ciotki Libby żartował sobie kiedyś z pewnej zakonnicy, która została przysłana Teresie do przebadania. Zakonnica twierdziła, że stale słyszy dźwięki harfy i głos wołający „Alleluja!”. Po długich badaniach okazało się, że nie jest zupełnie pewna, czy to „Alleluja”, czy „Arizona”. Zakonnica pochodziła z Arizony. O ile pamiętam, posłano ją do zamkniętego zakładu.

Zasłoniwszy twarz czarnym welonem, przekroczyłam czarną bramę z kutego żelaza i weszłam na cmentarz, jakie to dziwne, pomyślałam, że od czasu, kiedy pochowaliśmy ojca, nikt z nas nie odwiedził jego grobu. Matka nie pozwoliła nam nawet uczestniczyć w jego pogrzebie, bo byliśmy bardzo mali. Ojciec zmarł w szpitalu, więc śmierć jego nie była dla mnie zjawiskiem całkowicie realnym. Podobnie jak ten cmentarz.

Od pewnego czasu dręczyły mnie wyrzuty sumienia i postanowiłam odrobić lata zaniedbania i zająć się pielęgnacją grobu ojca. Byłam przecież jego ulubionym dzieckiem – i czas, żebym wreszcie zaczęła nosić po nim żałobę. Moja matka nawet tego nie zrobiła.

Wiedziałam, że gdyby ojciec żył, to przekazałby mi wszystko, co wiedział o insektach. Był wielkim specjalistą w tej dziedzinie, wykladał o nich na uniwersytecie. Uczyłby mnie zapewne również niemieckiego, greki i łaciny. Sam znał je doskonale. Poza tym byłabym teraz pewnie protestantką. Mój ojciec był protestantem, ale tylko kiedy mieszkaliśmy w Wisconsin.

Jak przenieśliśmy się do Nowej Anglii, okazało się, że protestanci są tam bardzo niemodni, więc zupełnie przestał chodzić do kościoła, a pod koniec życia został zapiekłym ateistą.

Cmentarz rozczarował mnie. Położony na krańcu miasta, w kotlinie, robił raczej wrażenie wysypiska śmieci. Przechadzałam się po wysypanych żwirem ścieżkach i wdychałam zgniły zapach niedalekich, nadmorskich bagien.

Starsza część cmentarza była nawet niczego sobie, pełna zniszczonych, płaskich nagrobków, pokrytych mchem kamiennych pomników. Ale niebawem zorientowałam się, że grób ojca znajduje się w nowszej części, tej z pomnikami z lat czterdziestych.

Nagrobki były tu tandetne i brzydkie. Było trochę grobów obrzeżonych marmurem, przypominających wanienki pełne śmieci. Metalowe wazony pełne sztucznych kwiatów sterczały w miejscu, gdzie powinien się znajdować pępek nieboszczyka.

Z brudnoszarego nieba zaczął siąpić drobny kapuśniaczek. Było mi coraz smutniej.

Nie mogłam znaleźć grobu ojca.

Tam, gdzie niebo łączyło się z morzem, zbierały się niskie, rozczochrane chmury, a tuż za bagnami ciągnęły się rzędy obdrapanych baraków. Mój czarny płaszcz deszczowy, nabyty tegoż przedpołudnia, jeszcze bardziej szerniał od deszczu. Poczułam wilgoć na skórze.

– Czy jest nieprzemakalny? – zapytałam

sprzedawczynię.

– Płaszcz nieprzemakalny w ogóle nie istnieje – odparła. – Jest deszczoodporny A kiedy zapytałam, co to znaczy, poradziła mi kupno parasolki.

Ale nie miałam więcej pieniędzy. Wydałam wszystko na autobus do Bostonu i z powrotem, na fistaszki, gazety, różne książki o psychopatologii, na wyjazdy do rodzinnego miasteczka. Z moich nowojorskich zarobków nie było już prawie śladu.

Nagle zobaczyłam grób ojca.

Przylegał szczelnie do sąsiedniego grobu, głowa w głowę, tak jak układa się ludzi w przytułkach dla bezdomnych, kiedy braknie miejsca. Nagrobek zrobiony był z różowego nakrapianego kamienia, koloru konserwy z łososia. Wyryto na nim tylko imię, nazwisko i dwie daty, oddzielone od siebie kreską.

Położyłam garść mokrych azalii na płytę. Zerwałam je z krzaka rosnącego przy wejściu na cmentarz. Nogi ugięły się pode mną i przysiadłam na mokrym trawniku. Nie miałam pojęcia, dlaczego szlocham tak spazmatycznie.

Może dlatego, że nie płakałam po ojcu zaraz po jego śmierci.

Matka wówczas też nie płakała. Uśmiechała się tylko i zapewniała nas, że śmierć jest dla niego wyzwoleniem, bo gdyby żył, to byłby na zawsze kaleką, że na pewno nie zniósłby tego i że miłsza mu była śmierć od takiej wegetacji.

Przyłożyłam policzek do gładkiej powierzchni

marmuru i wyłam z żalu. Padał zimny, słony, równy deszcz.

Miałam dokładny plan działania.

Z chwilą kiedy koła samochodu matki zaskrzypiały na żwirze podjazdu i odgłos motoru zamilkł w oddali, wyskoczyłam z łóżka, nałożyłam białą bluzkę, zieloną marszczoną spódnicę w czarny wzorek i czarny płaszcz przeciwdeszczowy. Płaszcz był jeszcze wilgotny od wczorajszego deszczu, ale to już nie miało dla mnie żadnego znaczenia.

Zeszłam w dół, wzięłam ze stołu bladoniebieską kopertę i napisałam na niej starannie wielkimi literami: UDAJĘ SIĘ NA DŁUGI SPACER.

Ustawiłam kopertę w takim miejscu, żeby matka zauważyła ją natychmiast po powrocie do domu.

A potem roześmiałam się.

Przecież zapomniałam o najważniejszym.

Wpadłam na górę i przystawiłam krzesło do szafy ściennej. Weszłam na nie i sięgnęłam po zielone metalowe pudełko, ukryte na najwyższej półce. Wieko było słabe i bez trudu można by je było oderwać gołymi rękami, ale chciałam zrobić wszystko metodycznie i porządnie.

Wysunęłam więc prawą górną szufladę biurka matki i spod stosiku uperfumowanych, lnianych chusteczek do nosa wyciągnęłam pudełko na kosztowności i odpięłam mały kluczyk przymocowany do aksamitnej podszewki.

Kluczykiem tym otworzyłam metalowe pudełko i wyjęłam buteleczkę z moim nowym lekarstwem. Była w niej znacznie większa ilość pigułek, niż się spodziewałam.

Co najmniej pięćdziesiąt.

Gdybym je chciała zbierać po jednej, w miarę jak matka mi je wydawała, potrwałoby to pięćdziesiąt dni. Przez ten czas skończyłyby się wakacje, zaczęłyby się zajęcia w college'u, brat powróciłby z Niemiec i byłoby za późno.

Wpięłam klucz z powrotem w aksamitną podszewkę pudełeczka, wypełnionego tanimi łańcuszkami, broszkami i pierścionkami, i odłożyłam je na miejsce, pod lniane chusteczki do nosa, na górnej półce szafy, po czym odstawiłam krzesło dokładnie na miejsce.

Zeszłam do kuchni. Odkręciłam kran i nalałam sobie pełną szklanekę wody. Wzięłam tę szklanekę i buteleczkę z pigułkami i udałam się na dół, do piwnicy.

Przez szpary piwnicznych okien wpadało blade, przefiltrowane, podmorskie niemal światło. Za piecem, mniej więcej na wysokości ramion, ział w murze czarny, tajemniczy otwór. Nikt nie miał pojęcia, do czego służył. Prowadził w kierunku garażu. Nad nim stała teraz, znacznie później zresztą dobudowana, weranda.

Z otworu sterczało kilka nadgniętych, starych polan. Odsunęłam je w głąb. Następnie postawiłam szklanekę i buteleczkę z pigułkami na gładkiej powierzchni jednego z nich i zaczęłam gramolić się w górę.

Musiałam zrobić duży wysiłek, zanim udało mi się wsunąć całym ciałem do otworu. Skuliłam się w tej wąskiej gardzieli ciemności jak garbaty karzeł.

Piasek pod moimi bosymi stopami był zimny, ale przyjazny. Zastanawiałam się, ile lat upłynęło, odkąd ten skrawek ziemi widział słońce.

Pojedynczo przesunęłam ciężkie, zakurzone polana na miejsce, aż całkowicie zasłoniły otwór tunelu. Ogarnęła mnie ciemność miękka jak aksamit. Sięgnęłam po buteleczkę i szklanę i czołgając się na kolanach, bardzo ostrożnie, wsunęłam się jak mogłam najgłębiej.

Pajęczyny delikatne jak ćmy muskały mi twarz. Owinęłam się czarnym płaszczem, jak własnym życzliwym cieniem, odkręciłam buteleczkę i popijając wodą, powoli przełykałam tabletki, jedną, drugą, trzecią...

Z początku nie czułam nic, ale kiedy połknęłam prawie wszystkie, zaczęły mi przed oczami migać czerwone i niebieskie światełka. Buteleczka wypadła mi z ręki. Rozłożyłam się wygodnie.

Cisza rozstąpiła się jak kurtyna, ukazując kamienie, graty i skorupy, całe rumowisko mojego rozbitego życia. A potem na dalekim horyzoncie tej wizji wyrosła ogromna fala, zalała to wszystko, zagarnęła mnie i porwała w otchłań snu.

Rozdział 14

Było zupełnie ciemno.

Czułam tylko tę ciemność i nic więcej, a kiedy ją sobie uświadomiłam, uniosłam głowę jak robak wyłazący spod ziemi. Ktoś jęczał. Potem coś ciężkiego, twardego jak kamień, runęło na mój policzek i jęki ustały.

Cisza cofnęła się i wygładziła jak czarna powierzchnia jeziora, która pochłonawszy rzucony kamień, powraca do dawnego niezmaconego stanu.

Owiewał mnie chłodny wiatr. Zjeżdżałam szybko, coraz szybciej tunelem w głąb ziemi. Potem wiatr ucichł. Z oddali dochodzić zaczęły ludzkie głosy, protestowano, sprzeczano się. Po chwili i głosy umilkły.

Dłuto wbite w oko, przez maleńką szparę wpada promień ostrego światła krwisty jak otwarte usta, jak ziejąca rana – i zaraz znowu ciemność. Usiłuję odsunąć się od tego światła, ale przytrzymują mnie czyjeś ręce, mocne jak bandaże pętające nogi mumii. Nie mogę wykonać najmniejszego ruchu.

Wydaje mi się, że jestem w jaskini, oświetlonej jaskrawymi lampami, że z niewiadomych przyczyn w jaskini tej roi się od ludzi, którzy znów nie wiadomo dlaczego wiążą mi ręce i nogi.

Znowu dziabnięcia dłuta, światło wali prosto w głąb mojej głowy, rozdziera gęstą jak kozuch noc i słyszę czyjś głos wołający:

– Mamo!

Na twarzy lekki powiew.

Instynktem czuję kształt otaczającego mnie pomieszczenia. Jest to duży pokój z szeroko otwartym oknem. Pod moją głową miękka poduszka, ciało moje, nieważkie, lewituje pomiędzy cienkimi prześcieradłami.

Uczucie czyjegoś ciepłego dotyku. Może czyjaś dłoń głaszcze mnie po twarzy. Pewnie leżę na słońcu. Gdybym mogła otworzyć oczy, zobaczyłabym chyba kolory i kształty pochylające się nade mną jak dobre pielęgniarki.

Otwieram oczy.

Jest zupełnie ciemno.

Ktoś oddycha. Tuż obok.

– Nic nie widzę – mówię.

Z ciemności dochodzi mnie dziarski głos kobiety:

– Na świecie jest wielu ślepców. Wyjdiesz za mąż za sympatycznego, ślepego chłopca i wszystko się ułoży.

Znowu ten człowiek z dłutem.

– Po co to? – mówię. – Przecież to wszystko nie ma sensu.

– Proszę tak nie mówić. – Człowiek ostrożnie obmacuje bolesne zgrubienie nad moim lewym okiem. Zdejmuje mi coś z czoła. Powstaje szpara pełna światła, jak dziura wybita w murze. Przez nią wsuwa się twarz mężczyzny.

– Czy pani mnie widzi?

– Tak.

– I co jeszcze?

Przypominam sobie, że jestem ślepa.

– Nic nie widzę. – Szpara zmniejsza się, zamyka. –
Jestem ślepa.

– Nonsens! Kto pani to powiedział?

– Pielęgniarka.

Mężczyzna zżyma się. Kończy bandażowanie prawego oka.

– Ma pani szczęście. Oczy nie są w ogóle uszkodzone.

– Ktoś do pani.

Pielęgniarka uśmiecha się i znika.

W nogach łóżka zjawia się moja matka, także uśmiechnięta. Ma na sobie fioletową suknię w wielkie młyńskie kota i wygląda okropnie.

Za nią wysoki, barczysty chłopiec. Z początku nie orientuję się, kto to, ponieważ moje lewe oko otwiera się tylko troszeczkę, ale po chwili stwierdzam, że to mój brat.

– Dano mi znać, że pozwoliłaś mi przyjść.

Matka siada na skraju łóżka, kładzie rękę na moje udo. Jest pełna miłości, pełna wyrzutów. Chcę, żeby sobie poszła.

– Nic takiego nie mówiłam.

– Wołałaś mnie.

Jest bliska łez. Twarz jej kurczy się i trzęsie jak biała galareta.

– Jak leci? – pyta brat.

Patrzę matce prosto w oczy.

– Nic się nie zmieniło – odpowiedziałam.

- Ma pani gościa.
- Nie życzę sobie gości.

Pielegniarka wychodzi szybko i zaczyna szeptać do kogoś na korytarzu. Po chwili wraca.

– Ten młody człowiek bardzo prosi, żeby go pani przyjęła.

Patrzę na żółte nogi sterczące spod białej, jedwabnej piżamy. Przy każdym ruchu skóra na nich trzęsie się, jak gdyby mi zanikły mięśnie. Pokryta jest krótkim, czarnym odrostem.

- A kto to taki?
- Dobry znajomy pani.
- Jak się nazywa?
- George Bakewell.
- Nie znam żadnego George'a Bakewella.
- Ale on mówi, że panią zna.

A potem pielegniarka wyszła, a do pokoju wszedł mój stary znajomy i zapytał:

- Czy mogę usiąść na chwilę?

Miał na sobie biały fartuch, z kieszeni wystawał stetoskop. Pomyślałam, że pewnie któryś z kolegów przebrał się za lekarza.

Zamierzałam zakryć nogi, gdyby ktoś obcy wszedł do pokoju, ale było za późno, więc dałam spokój. Sterczały więc spod piżamy, brzydkie, a nawet obrzydliwe.

To bardzo dobrze – pomyślałam. – Tak teraz wyglądam i nie ma się co łudzić.

– Esther, czy ty mnie nie pamiętasz?

Zmrużyłam zdrowe oko i przyjrzałam mu się uważnie. Drugie oko jeszcze się nie otwierało, ale lekarz twierdził, że za kilka dni wszystko będzie dobrze.

Facet przyglądał mi się, jak egzotycznemu zwierzęciu w zoo. Byłam pewna, że za chwilę wybuchnie śmiechem.

– Esther, przypomnij sobie. – Mówił powoli, jak mówi się do niedorozwiniętego dziecka. – Nazywam się George Bakewell. Chodzę do tego samego kościoła co ty. Studiowałem w Amherst. Przyjechałaś tam raz z wizytą do kolegi, z którym mieszkałem.

Zaczynało mi coś świtać. Twarz jego zakołysała się na krawędzi mojej pamięci, ale była jeszcze dość zamglona. Są twarze, których nie warto kojarzyć z nazwiskiem.

– A co ty tu robisz?

– Praktykuję w tym szpitalu.

Jakim cudem ten George Bakewell został tak szybko lekarzem? A poza tym przecież właściwie mnie nie znał. Chciał po prostu zobaczyć, jak wygląda wariatka, która próbowała popełnić samobójstwo.

Odwróciłam się twarzą do ściany.

– Wynoś się! – warknęłam. – Wynoś się i nie wracaj.

– Proszę mi podać lusterko.

Pielęgniarka krzątała się po moim pokoju, nucąc pod nosem jakąś melodię. Otwierała szuflady komody i pakowała do czarnej lakierowanej torby całą masę nowych bluzek, spódnic, piżam i bielizny, zakupionych

przez moją matkę.

– Dlaczego nie pozwolicie mi spojrzeć w lustro?

Miałam na sobie sukienkę w szaro-białe pasy, jak pokrowiec materaca, i szeroki, czerwony, lakierowany pasek. Posadzono mnie w fotelu.

– Dlaczego?

Pielegniarka zamknęła czarną torbę z suchym trzaskiem.

– Ale dlaczego?

– Bo na razie to pani za pięknie nie wygląda.

– E tam, niech pani da lusterko.

Pielegniarka westchnęła i wyciągnęła górną szufladę komody. Wyjęła duże lusterko w ramie z tego samego drewna co komoda i podała mi je.

Początkowo nie rozumiałam dowcipu. Nie było to bowiem wcale lustro, tylko obraz.

Trudno się było zorientować, czy osoba na tym obrazie jest kobietą czy mężczyzną, ponieważ miała ogoloną głowę, a z czaszki wyrastały jej kępki pierzastych, kurzych włosków. Jedna strona twarzy tej dziwnej osoby miała kolor ciemnofioletowy, a całość była spuchnięta, bezkształtna, żółtozielona. Usta miała brunatne, a w ich kącikach rysowały się dwie różowe blizny.

Najbardziej zaskakującą charakterystyką tego malowidła była nienaturalna mieszanina jaskrawych kolorów.

Uśmiechnęłam się.

Usta z portretu rozciągnęły się brzydkim grymasem.

W sekundę później do pokoju wpadła inna pielęgniarka. Spojrzała na podłogę, na rozbite lustro, na mnie, stojącą nad ślepymi, białymi skorupami, i wyprowadziła młodszą koleżankę za drzwi!

– Przecież ci mówiłam...

– Ale kiedy ja tylko...

– Mówiłam ci przecież!

Przysłuchiwałam się ich szeptom bez większego zainteresowania. Ostatecznie, wielka rzecz. Każdemu może się zdarzyć, że stłucze lustro. Nie ma się czym przejmować.

Starsza pielęgniarka powróciła do pokoju. Stała przede mną z założonymi rękami i przyglądała mi się uważnie.

– Siedem lat chudych – powiedziała wreszcie.

– Co takiego?

– Powiedziałam – powtórzyła donośnym głosem, tak jak się mówi do głuchych – powiedziałam, siedem lat chudych.

Młodsza siostra powróciła, niosąc miotełkę i szufelkę, i zaczęła zbierać połyskujące drzazgi szkła.

– To tylko przesąd – powiedziałam po chwili.

– No tak. – Starsza z pielęgniarek zwróciła się do młodszej, która czołgając się na czworakach, wciąż zamiatała podłogę. – Tam gdzie wiesz – powiedziała – już sobie z nią poradzą.

Dobrze znajome ulice, zielony tunel drzew.

Przyglądam się temu widokowi z okienka karetki pogotowia. Siedzę między matką a bratem.

Udawałam, że nie wiem, że przewożą mnie z naszego szpitalika do dużego miejskiego szpitala w Bostonie.

– Pójdiesz na specjalny oddział – objaśniała matka. – Nie mają takiego w naszym szpitaliku.

– Ale tam było mi dobrze.

– W takim razie powinnaś się była lepiej sprawować – matka zasznurowała usta.

– Co takiego?

– Dlaczego stłukłaś lustro? Gdybyś tego nie zrobiła, zgodziliby się ciebie zatrzymać.

Ale ja dobrze wiedziałam, że lustro nie miało z tym nic wspólnego.

Siedziałam w łóżku. Kołdrę podciągnęłam pod samą szyję.

– Dlaczego nie pozwalacie mi wstać? Przecież nie jestem chora.

– Obchód – oświadczyła pielęgniarka. – Będzie pani mogła wstać zaraz po obchodzie. – Odsunęłam zasłonę i zobaczyłam tłustą Włoszkę, która leżała na sąsiednim łóżku.

Tłusta Włoszka miała na głowie masę drobnych, czarnych loczków. Zaczynały się tuż nad czołem, piętrzyły się wysoko na czubku głowy i tarasikami opadały na jej plecy i ramiona. Wyglądały jak wycięte z błyszczącego, czarnego kartonu.

Włoszka spojrzała na mnie i roześmiała się perliście.

– Co pani jest? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, dodała: – Ja jestem tutaj z powodu mojej teściowej, która jest francuską Kanadyjką.

Roześmiała się ponownie.

– Mój mąż dobrze wie, że ja nie cierpię tej baby, mimo to zaprosiłam ją, no a kiedy się zjawiała, język wypadł mi z ust, bez mojej woli, sam z siebie, i nie mogłam go w żaden sposób wsunąć z powrotem. Zabrali mnie na ostry dyżur i wpakowali tutaj. – Szeptem dodała: – Do wariatów. A co pani jest? – zainteresowała się znowu.

Zwróciłam ku niej moją spuchniętą, purpurowo-zieloną twarz i nabrzmiąle oko.

– Usiłowałam popełnić samobójstwo.

Kobieta spojrzała na mnie z przerażeniem, potem porwała jakiś tygodnik filmowy z nocnego stolika i udała, że czyta.

Drzwi wahadłowe, znajdujące się naprzeciwko mojego łóżka, otworzyły się energicznie i na salę wkroczyła gromada młodych ludzi w białych kitlach ze starszym, siwiejącym panem na czele. Wszyscy uśmiechali się szerokim, sztucznym uśmiechem. Okrążyli od razu moje łóżko.

– Jakże się pani czuje dzisiaj, panno Greenwood?

Próbowałam się zorientować, który z nich to powiedział. Nienawidzę rozmowy z grupą ludzi. W takich wypadkach zawsze wybieram sobie jedną osobę i zwracam się do niej, ale nawet wówczas wydaje mi się, że

pozostali gapią się na mnie i kpią sobie ze mnie. Nienawidzę też, jak mnie ludzie pytają wesolutko, jak się czuję, takim tonem, jakby się z góry spodziewali pozytywnej odpowiedzi, mimo że doskonale wiedzą, że czuję się jak groch przy drodze.

– Łyso.

– Łyso, no, no – odezwał się któryś, a jeden z młodszych lekarzy uśmiechnął się i spuścił głowę. Jeszcze inny zaczął coś notować. Jeszcze inny zrobił poważną minę i zapytał:

– A czemu to czuje się pani łyso?

Pomyślałam sobie, że może jeden z tych młodych ludzi w bieli jest przyjacielem Buddy'ego Willarda. Jeżeli tak, to na pewno obgada mnie od stóp do głów. Wolałabym być w takim szpitalu, gdzie mnie nikt nie zna.

– Nie mogę spać...

Przerwali mi w pół słowa:

– Nocna pielęgniarka twierdzi, że pani spała przez całą noc.

Półkole obcych twarzy. Przyglądałam im się *uwaznie*, każdej po kolei...

– Nie mogę czytać. – I jeszcze głośniejsze dodaje: – Nie mogę jeść. – Jednocześnie przypomniało mi się, że od momentu, kiedy mnie tu przywieźli, praktycznie nie przestaję się opychać.

Lekarze zbili się w grupkę i naradzali się szeptem. Potem wystąpił najstarszy i powiedział:

– Dziękujemy pani, panno Greenwood. Wkrótce

obejrzy panią jeden z naszych lekarzy specjalistów.

Następnie cała grupa otoczyła łóżko mojej sąsiadki.

– Jakże się pani czuje dzisiaj, pani... – odezwał się znowu jeden z młodych lekarzy. Nazwisko jej było długie i zawierało mnóstwo liter „l”. Może Tomolillo.

Pani Tomolillo zachichotała.

– Świetnie, panie doktorze, doskonale. Potem zaczęła mówić tak cicho, że już nic nie słyszałam. Kilku młodych lekarzy spojrzało na mnie ukradkiem, a potem jeden z nich powiedział:

– Dobrze, dobrze, pani Tomolillo – a jeszcze inny zaciągnął zasłonę, oddzielającą nasze łóżka białą ścianą.

Siedziałam z matką na ławce ustawionej na zielonym trawniku, otoczonym czterema murami naszego szpitala. Siedziałam na jednym końcu, a matka na drugim. Matka miała na sobie znowu tę suknię w młyńskie koła. Opierała głowę na ręce. Palec wskazujący wciskała w policzek, a kciukiem podtrzymywała podbródek.

Na sąsiedniej ławce siedziała pani Tomolillo, otoczona gromadą rozbawionych, kruczowłosych Włochów. Jak tylko moja matka zmieniała pozycję, pani Tomolillo robiła to samo. Teraz wcisnęła wskazujący palec w policzek, a podbródek podtrzymywała kciukiem. Głowę pochyliła w bok.

– Nie ruszaj się – szepnęłam do matki. – Ta baba cię przedrzeźnia.

Matka odwróciła głowę, ale pani Tomolillo szybko jak

strzała spuściła tłuste rączki na kolana i włączyła się w intensywną rozmowę swoich przyjaciół.

– Nic podobnego – powiedziała matka. – Ona nie zwraca na nas najmniejszej uwagi.

Ale z chwilą, kiedy matka przestała na nią patrzeć, pani Tomolillo złożyła ręce dokładnie tak samo, jak to przed sekundą zrobiła moja matka. Obrzuciła mnie przy tym drwiącym spojrzeniem.

Na trawniku białe plamy lekarskich fartuchów.

Nasza ławka stała na wąskim, nasłonecznionym pasie trawnika, pod wysokim murem ogrodu. Co chwila podchodzili do nas młodzi lekarze i przedstawiali się: „Jestem doktor taki-to-a-taki, a ja jestem doktor taki-to-a-inny”.

Niektórzy z nich byli za młodzi na prawdziwych lekarzy, a jeden powiedział bardzo dziwne nazwisko. Zabrzmiało to jak doktor Syfilis, więc zaczęłam słuchać dokładnie tego, co mówili. Po chwili podszedł do nas lekarz bardzo podobny do doktora Gordona, tyle że czarny. Uścisnął moją dłoń i przedstawił się:

– Doktor Trzustka.

Potem wszyscy ci podejrzani ludzie stanęli razem niedaleko nas, tak żeby mogli podsłuchiwać. Nachyliłam się więc nad matką i zaczęłam jej szeptać do ucha.

Wzdrygnęła się.

– Och, Esther, dlaczego ty nie chcesz współpracować z lekarzami? Wszyscy mi mówią, że jesteś bardzo oporna. Podobno nie chcesz z nimi rozmawiać, a na terapii

zajęciowej absolutnie nic nie robisz.

– Muszę się stąd wydostać – szepnęłam z naciskiem. – Wtedy od razu wyzdrowieję. Ty mnie tu wpakowałaś, ty musisz mnie stąd wyciągnąć.

Postanowiłam najpierw przekonać matkę, żeby zabrała mnie ze szpitala. Potem wykorzystam jej poczucie winy, tak jak ten obłąkany chłopiec w sztuce, i na pewno przekonam ją, że sama wiem najlepiej, czego mi trzeba.

Ku mojemu zdumieniu matka się zgodziła.

– Dobrze – powiedziała. – Postaram się wydostać cię stąd... chociażby po to, żeby cię umieścić w lepszym szpitalu. Zrobię wszystko, co w mojej mocy – położyła mi rękę na kolanie – ale przyrzeknij mi, że ty też się postarasz.

Odwróciłam się gwałtownie i spojrzałam prosto w twarz doktora Syfilisa, który stał za mną i pisał w malutkim notesiku.

– Przyrzekam – powiedziałam głośno i wyraźnie.

Murzyn wprowadził wózek z obiadem na naszą salę. Oddział psychiatryczny był niewielki – dwa korytarze w kształcie litery L, z których odchodziły drzwi do pokojów. Na samym końcu w alkowie z kilkoma łózkami odbywała się terapia zajęciowa, a w załamaniu litery L – znajdował się niewielki pokój, który służył za salonik i jadalnię. Zazwyczaj przywoził nam posiłki stary, zgarbiony biały człowiek, ale dzisiaj zastępował go ten Murzyn. Za nim szła kobieta na wysokich szpilkach i dawała mu instrukcje. Murzyn uśmiechał się i od czasu do

czasu głupawo chichotał.

Podszedł do naszego stolika z tacą, na której stały trzy metalowe wazy z metalowymi pokrywami. Z hałasem stawiał je na stół. Kobieta opuściła jadalnię i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Murzyn ustawiał talerze, podawał sztucce i przyglądał nam się wielkimi, niespokojnymi oczami.

Było rzeczą jasną, że jesteśmy jego pierwszymi wariatami.

Żadna z nas nie kwapiła się, żeby zdjąć pokrywki z waz, a nasza pielęgniarka stała w kącie i pewnie zastanawiała się nad tym, czy w końcu zrobimy to same, czy też ona będzie musiała się tym zająć. Dotychczas robiła to zawsze pani Tomolillo. Odkrywała wazy i nakładała nam jedzenie na talerze jak troskliwa mama, ale dzisiaj rano odesłano ją do domu i żadna z nas nie kwapiła się do przejęcia jej roli.

Byłam strasznie głodna, więc zdjęłam pokrywę z pierwszej wazy.

– To bardzo miło z pani strony, Esther – odezwała się pielęgniarka. – Niech pani sobie nałoży fasolkę i poda ją dalej.

Nałożyłam sobie porcję fasolki szparagowej i podałam wazę wielkiej, rudej kobiecie, siedzącej obok mnie. Pozwolono jej dzisiaj po raz pierwszy zasiąść do stołu. Widziałam ją przedtem tylko jeden raz. Stała wtedy przy okratowanym oknie na końcu naszego korytarza.

Wrzeszczała, śmiała się dziko i klepała się ordynarnie

po udach, ilekroć przechodził któryś z lekarzy, a pod kaloryferem stał pielęgniarz w białym kitlu i pękał ze śmiechu.

Ruda wyrwała mi wazę z ręki i wywaliła całą jej zawartość na swój talerz. Na jej talerzu wyrosła góra fasoli, pojedyncze, zielone strąki spadły jej na kolana i pod nogi.

– Jakże to, pani Mole – odezwała się pielęgniarzka smutnym głosem. – Myślę, że będzie lepiej, jak pani zje obiad w swoim pokoju. – Włożyła prawie całą fasolę z powrotem do wazy i podała ją następnej chorej. Panią Mole wzięła za rękę i wyprowadziła. Pani Mole odwracała się, stroiła do nas miny i chrząkała jak świnia.

Murzyn zaczął zbierać talerze chorych, które nawet jeszcze nie zaczęły jeść.

– Jeszcze nie skończyłyśmy – powiedziałam do niego. – Proszę poczekać.

– Coś takiego? – Murzyn otworzył szeroko oczy w udanym zdziwieniu. Rozejrzał się szybko. Pielęgniarzka, która wyszła z panią Mole, jeszcze nie powróciła. Murzyn ukłonił mi się nisko, ironicznie. – Kuku na muniu – szepnął mi do ucha.

Uniosłam pokrywę następnej wazy. Oczom moim ukazała się kupa zimnego, posklejanego makaronu. Trzecia i ostatnia waza wypełniona była po brzegi fasolką po bretońsku.

Wiedziałam doskonale, bo mnie tego uczono, że nie należy podawać do jednego posiłku dwóch gatunków

fasoli. Fasolka i marchewka, owszem, fasolka i zielony groszek też jeszcze ujdzie, ale fasolka z fasolką – nigdy. Ten Murzyn po prostu sobie z nas zakpił.

Pielegniarka powróciła, a Murzyn odsunął się. Zjadłam ile weszło fasolki po bretońsku, potem wstałam od stołu, podeszłam od tyłu do Murzyna, który zbierał brudne talerze, i kopnęłam go z całej siły w łydkę.

Odskoczył ze skowytem i przewracając oczami, patrzył na mnie w dzikim przerażeniu.

– Oj, miss – jęczał – oj, miss, nie powinna była pani tego zrobić. Oj, nie powinna była pani tego zrobić.

– To ci się należy – odparłam i spojrzałam mu groźnie w oczy.

– Czy pani nie zamierza dzisiaj wstać?

– Nie – wsunęłam się głębiej w pościel i naciągnęłam prześcieradło na głowę. Po chwili uchyliłam rąbek i wyjrzałam. Siostra strząsała termometr, który przed chwilą wyjęła mi z ust.

– No proszę, temperatura zupełnie normalna.

Odczytałam termometr, zanim przyszła. Zawsze to robię.

– Pani dobrze wie, że nie ma temperatury, więc po co to codzienne mierzenie?

Chciałam jej powiedzieć, że ucieszyłabym się szczerze, gdyby moje ciało chciało zachorować, że wolałabym stokrotnie jakąś konkretną, fizyczną chorobę, ale jakoś nie umiałam tego sformułować. Milczałam więc i wsuwałam się coraz głębiej pomiędzy prześcieradła i

koce.

Po chwili poczułam przykry, choć niebolesny ucisk na nogach. To pielęgniarka postawiła na moim łóżku tacę z termometrami i odwrócona plecami liczyła puls chorej, która zajęła łóżko po pani Tomolillo.

Ogarnęła mnie przemożna chęć zrobienia jej psikusa. Było to uczucie irytujące, ale jednocześnie przyjemne, podobne do pobolewania chwiejącego się zęba. Przeciągnęłam się, ziewnęłam, przewróciłam na bok i wsunęłam nogę pod tackę z termometrami.

– O Boże! – wrzasnęła pielęgniarka, jakby wzywała pomocy. – Co też pani zrobiła!

Wyjrzałam spod kołdry. Emaliowana taca spadła na podłogę. Termometry potłukły się, a kulki rozlanej rtęci trzęsły się i połyskiwały jak krople boskiego dżdżu.

– Przepraszam – rzekłam. – To wypadek.

Druga pielęgniarka spojrzała na mnie podejrzliwym okiem.

– Pani to zrobiła naumyślnie. Dobrze widziałam.

Odeszła pospiesznie i niemal natychmiast zjawili się dwaj salowi i powieźli mnie wraz z łóżkiem do dawnego pokoju pani Mole. Po drodze udało mi się niepostrzeżenie podnieść z podłogi kuleczkę rtęci.

Zaryglowali moje drzwi. Po chwili zobaczyłam w prostokącie zakratowanego okna twarz Murzyna – księżyc koloru melasy. Udawałam, że go nie widzę.

Jak dziecko uradowane posiadaniem tajemnicy otworzyłam dłoń i spojrzałam ukradkiem na srebrną

kuleczkę. Jeżeli upuszczę ją na ziemię, rozpadnie się na milion takich samych, mniejszych, a gdy zgarnę je, utworzą znowu jedną, niezmaconą całość.

Uśmiechnęłam się do mojej srebrnej kulki.

Nie miałam pojęcia, co się stało z panią Mole.

Rozdział 15

Czarny cadillac Filomeny Guinei przemykał się przez zatłoczoną jezdnię dostojnie jak ceremonialna karetka. Była godzina piąta, godzina szczytu. Za chwilę znajdziemy się na jednym z krótkich mostów, przerzuconych przez rzekę Charles, a wtedy ja, bez chwili wahania, otworzę drzwiczki i przedzierając się przez gęszcz samochodów, podbiegnę do bariery. Jeden skok i znajdę się pod powierzchnią wody.

Bezwiednie rwałam na strzępy papierową chusteczkę, skręcałam małe papierowe pigułki i czekałam na właściwy moment. Siedziałam z tyłu pomiędzy matką a bratem. Oboje byli lekko nachyleni, tworząc dwie ukośne bariery, odgradzające mnie od drzwiczek samochodu.

Patrzyłam na gruby kark kierowcy, wciśnięty pomiędzy granatową czapkę szoferską a ramiona w granatowej liberii. Był koloru mielonej szynki. Tuż obok kołysała się łagodnie głowa słynnej powieściopisarki Filomeny Guinei, cała w srebrnych lokach, uwieńczonych kapeluszem ze szmaragdowymi piórami.

Zjawienie się na horyzoncie mojego życia Filomeny Guinei nie zostało mi do końca wyjaśnione. Wiedziałam tylko, że zainteresowała się moim przypadkiem, prawdopodobnie dlatego, że przed wieloma laty sama spędziła jakiś czas w zakładzie dla psychicznie chorych.

Matka powiedziała mi, że w czasie pobytu na

Bahamach pani Guinea przeczytała o mnie w bostońskiej gazecie i wysłała do niej depeszę. Depesza brzmiała: „Czy jest w to zamieszany mężczyzna?”.

Gdyby tak było, pani Guinea, rzecz jasna, wolałaby nie wtrącać się do mojej sprawy.

Ale matka oddepeszowała: „Nie, to lęk przed utratą talentu. Bała się, że już nigdy niczego nie napisze”.

Wówczas pani Guinea powróciła samolotem do Bostonu, zabrała mnie z przepelnionego szpitala miejskiego, a teraz wiozła do prywatnej kliniki, która miała podobno park, tereny golfowe, ogród i była czymś w rodzaju luksusowego pensjonatu. Powiedziała, że pokryje wszystkie koszty mojego leczenia do chwili, kiedy lekarze, których zresztą dobrze znała, mnie nie uzdrowią.

Matka nakazała mi wyrażać jej wdzięczność. Dodała, że moja choroba niemal całkowicie wyczerpała nasze oszczędności i że gdyby nie pani Guinea, to w ogóle nie wiadomo, co by ze mną było. Ale ja dobrze wiedziałam. Zamknęliby mnie w ogromnym psychiatrycznym szpitalu miejskim, położonym tuż za murem tej prywatnej kliniki, do której teraz jechałam.

Zdawałam sobie sprawę z tego, że pani Guinei należy się moja wdzięczność, ale nie potrafiłam się w ogóle niczym przejmować. Nawet gdyby pani Guinea podarowała mi bilet do Europy albo zafundowała podróż dookoła świata, byłoby mi to całkowicie obojętne, albowiem gdziekolwiek bym się znalazła – na pokładzie

statku czy przy stoliku paryskiej kawiarni – to i tak w gruncie rzeczy tkwiłabym tylko pod szklanym kloszem własnej udreki, pławiąc się we własnym skisłym sosie.

Nad rzeką nakrapianą białymi żaglami unosiła się błękitna kopuła nieba. Gotowałam się do skoku, ale matka i brat jednocześnie chwycili za klamki drzwiczek. Przez krótką chwilę koła cadillaka, skrzypiąc, przejeżdżały po kracie mostu. Woda, żagle, błękit nieba, kilka zawieszonych w powietrzu mew, wszystko to mignęło mi przed oczami jak kiczowata pocztówka i już byliśmy po drugiej stronie rzeki.

Opadłam na szare, pluszowe poduszki i zamknęłam oczy. Dusiałam się zagęszczonym powietrzem, wypełniającym wnętrze szklanego klosza. Znieruchomiałam.

Miałam znowu własny pokój.

Przypominał pokój w klinice doktora Gordona – łóżko, komoda, szafa w ścianie, stół i krzesło. Znajdował się na pierwszym piętrze, a okno – bez krat i tylko zasłonięte siatką od komarów – pod którym ciągnął się zasypany sosnowym igliwem trawnik, wychodziło na zadrzewioną przestrzeń, otoczoną murem z czerwonej cegły. Gdybym wyskoczyła, nie zadrapałabym sobie nawet kolan. Wewnętrzna powierzchnia muru wydawała się gładka jak szklana tafla.

Przejazd przez most zdenerwował mnie.

Straciłam zupełnie wyjątkową szansę. Wspominałam

wody rzeki tak, jak myśli się o niewypitym, ponętym napoju. Podejrzewałam, że nawet gdyby matka i brat mnie nie pilnowali, to i tak nie zdobyłabym się na skok.

Gdy w głównym gmachu szpitala spisywano moje personalia, podeszła do nas młoda, szczupła kobieta i przedstawiła się:

– Jestem doktor Nolan. Esther będzie moją pacjentką.

Zdziwiło mnie, że przydzielono mi lekarza kobietę. Nawet nie wiedziałam, że istnieją kobiety psychiatry. Wyglądała jak skrzyżowanie Myrny Loy i mojej matki. Miała na sobie szeroką spódnicę ze skórzanym paskiem i białą bluzkę, a na nosie modne półkoliste okulary.

Pielęgniarka poprowadziła mnie przez trawnik do ponurego budynku z czerwonej cegły, w którym miałam zamieszkać. Nazywano go Caplan. Doktor Nolan miała przyjść później, ale tymczasem co chwila ktoś z personelu wchodził do mojego pokoju.

Leżałam w łóżku, nakryta grubym, białym kocem, a oni wchodzili i przedstawiali się. Nie rozumiałam, dlaczego tyle osób uważa za stosowne przedstawiać mi się, ale po chwili przyszło mi do głowy, że to pewnie jakiś test. że chcą zobaczyć, czy zorientuję się, że jest ich zbyt wielu. Więc miałam się na baczności.

Na końcu zjawił się przystojny siwy pan i powiedział, że jest dyrektorem szpitala. Mówił coś o pielgrzymach i Indianach, o tym, kto komu odebrał ziemię, o tym, jakie tu są rzeki, kto ufundował pierwszy szpital, że szpital ten

się spalił, kto go odbudował, aż pomyślałam sobie, że on pewnie czeka na to, kiedy mu przerwę i powiem, że wiem, że to całe gadanie o pielgrzymach i o rzekach nie ma żadnego sensu.

A zaraz potem pomyślałam jeszcze, że może część tego, co on mówi, ma jakiś sens, i próbowałam zastanowić się nad tym, co jest prawdą, a co bzdurą, ale zanim doszłam do jakiegoś wniosku, dyrektor pożegnał się i odszedł.

Poczekalam, żeby głosy lekarzy spacerujących po korytarzu umilkły. Wówczas wstałam, nałożyłam pantofle i wyszłam z pokoju. Nikt mnie nie zatrzymał więc przemierzyłam całe skrzydło gmachu, skręciłam, przeszłam przez inny, dłuższy jeszcze korytarz i zajrzałam przez otwarte drzwi jadalni.

Kelnerka w zielonym kitlu nakrywała do kolacji. Na stolikach znajdowały się śnieżnobiałe lniane obrusy, serwetki papierowe i szklanki. Zanotowałam i zachomikowałam sobie fakt, jak wiewiórka, co zakopuje orzechy na zimę, że szklanki były z autentycznego szkła. W szpitalu bostońskim podawano nam napoje w papierowych kubkach i nie miałyśmy noży, nawet do mięsa. Mięso było zawsze tak rozgotowane, że można je było krajać widelcem.

Dotarłam do dużej świetlicy z wytartym dywanem i zniszczonymi meblami. Jakaś dziewczyna o okrągłej, nalanej twarzy i krótkich czarnych włosach siedziała w fotelu i czytała ilustrowany tygodnik. Przypominała mi

jedną z moich koleżanek, zapaloną skautkę.

Spojrzałam na jej nogi i rzeczywiście miała na nich brązowe sznurowane półbuciki, takie ze skórzaną frędzlą, co to uchodzą za szczyt elegancji sportowego obuwia. Sznurowadła zakończone były małymi, sztucznymi żółdździami.

Dziewczyna podniosła wzrok znad magazynu, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Nazywam się Waleria, a ty?

Udałam, że nie słyszę, wyszłam ze świetlicy i pomaszerowałam dalej, aż na koniec drugiego skrzydła gmachu. Po drodze minęłam drzwi z otwartą górną połową, za którymi znajdowało się kilka pielęgniarek. Zatrzymałam się.

– Gdzie podziały się wszystkie pacjentki?

– A różnie. – Jedna z pielęgniarek pisała coś na skrawkach różowego plastra. Przechyliłam się i zobaczyłam, że wypisuje na nich E. Greenwood, E. Greenwood, E. Greenwood, E. Greenwood, E. Greenwood.

– Ale gdzie?

– Bo ja wiem. Grają w golfa, w badmintona, spacerują po parku.

Na krześle leżała mała sterta odzieży. Były to te same rzeczy, które pielęgniarzka z miejskiego szpitala zapakowała do mojej czarnej lakierowanej torby. Wtedy, kiedy stukłam lustro. Pielęgniarzka zaczęła przyklejać plastry z moim nazwiskiem do każdej sztuki odzieży.

Powróciłam do świetlicy. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego grają tu w golfa i badmintona. Jeżeli potrafią to wszystko robić, to chyba nie mogą być naprawdę chore.

Usiadłam niedaleko Walerii i przyglądałam się jej. Może rzeczywiście była tamtą harcerką. Z wielkim zainteresowaniem czytała podniszczony numer „yogue'a”.

Co ona u licha tutaj robi? – zastanawiałam się. – Wygląda zupełnie normalnie.

– Czy pozwoli pani, że zapalę? – Doktor Nolan rozsiadła się wygodnie w fotelu przy moim łóżku.

Oczywiście powiedziałam, że bardzo lubię dym z papierosa. Pomyślałam, że jak doktor Nolan zapali, to pozostanie u mnie nieco dłużej. Była to jej pierwsza wizyta. Wiedziałam, że z chwilą kiedy mnie opuści, zapadnę z powrotem w otchłań nicości.

– Proszę mi opowiedzieć, jak to było z doktorem Gordonem – zażądała nagle. – Czy pani go lubi?

Spojrzałam na nią podejrzliwie. Byłam pewna, że wszyscy lekarze są ze sobą w zмовie i że w jakimś zakamarku tej kliniki znajduje się taka sama maszyna tortur, jaką posiada doktor Gordon.

– Nie – odparłam. – Nigdy go nie lubiłam.

– A to ciekawe. Dlaczego?

– Nie podobało mi się to, co ze mną wyrabiał.

– A co on z panią wyrabiał?

Opowiedziałam pani doktor Nolan o piekielnej maszynie, o błękitnych języczkach ognia, o wstrząsach,

spazmach i trzaskach. Siedziała i słuchała bardzo uważnie.

– Popełniono duży błąd – odezwała się wreszcie. – To nie powinno wcale tak wyglądać.

Wpatrywałam się w nią przenikliwie.

– Jeżeli to jest zrobione umiejętnie – dodała – to pacjent ma po prostu wrażenie, że usypia.

– Gdyby znowu próbowano mi to zrobić, popełniłabym samobójstwo.

– Nie zamierzamy pani zapisywać wstrząsów – powiedziała doktor Nolan bardzo stanowczym głosem. – A jeżeliby zaszła potrzeba, to przyrzekam, że uprzedzę panią z góry, a w każdym razie u nas wygląda to zupełnie inaczej, niż pani opisuje. Powiem pani – dodała na zakończenie – że mam pacjentów, którzy nawet bardzo lubią ten zabieg.

Po wyjściu doktor Nolan znalazłam na parapecie pudełko zapalek. Nie było to pudełko normalnych rozmiarów, ale zupełnie małe. Otworzyłam je i oczom moim ukazały się rzędy małych białych patyczków z różowymi koniuszkami. Próbowałam zapalić jedną z tych zapaleczek, ale rozpadła mi się w palcach.

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego pani doktor Nolan zostawiła w moim pokoju taką idiotyczną rzecz. Chyba po to, żeby sprawdzić, czy ją zwrócę. Bardzo starannie wsunęłam pudełeczko w zakład mojego szlafroka. Jeżeliby doktor Nolan mnie zapytała o swoje zapalki, odpowiem, że je zjadłam, bo myślałam, że to cukierki.

Do sąsiedniego pokoju przywieziono nową pacjentkę.

Była jedyną osobą w całym budynku, która przybyła po mnie i nie wiedziała jeszcze – w odróżnieniu od starych pacjentów – jaka jestem okropna, więc postanowiłam wejść do niej i zawrzeć z nią przyjaźń.

W łóżku leżała kobieta w fioletowej sukni do pół łydki, spiętej pod szyją kameą. Miała rudawe włosy z niewielkim, pruderyjnym koczkiem na czubku głowy, a do kieszonki przypięte druciane okulary na czarnej gumce.

– Halo – odezwałam się uprzejmie, przysiadłam na skraju jej łóżka i dodałam: – Nazywam się Esther. A pani?

Kobieta nawet się nie poruszyła, patrzyła nieruchomo w sufit. Poczułam się dotknięta. Pomyślałam, że ktoś – może Waleria – już uprzedził ją, że jestem głupia i dokuczliwa.

Któraś z pielęgniarek wsunęła głowę przez drzwi.

– Ach, to tu pani jest! – uśmiechnęła się. – Jak to ładnie, że odwiedziła pani pannę Norris. – I wycofała się.

Nie mam pojęcia, jak długo siedziałam i wpatrywałam się w tę kobietę i jej fioletową suknię, zastanawiając się nad tym, czy jej różowe, zaciśnięte usta otworzą się wreszcie, a jeżeli tak, to co się z nich wydobędzie.

Nagle panna Norris przerzuciła nogi w wysokich czarnych na guziczki zapinanych butkach na drugą stronę łóżka, wstała i bez słowa opuściła pokój. Pomyślałam, że

zapewne próbuje się mnie pozbyć w ten subtelny sposób. Cichutko, trzymając się w pewnej odległości, poszłam za nią.

Panna Norris dotarła do drzwi jadalni i zatrzymała się. Szła krokiem równym, stawiając stopy dokładnie w sam środek wielkich róż w deseniu chodnika. Teraz odczekała chwilę, a potem przekroczyła próg, unosząc wysoko nogi, jak gdyby był co najmniej metrowej wysokości.

Usiadła przy jednym z okrągłych, nakrytych do posiłku stolików i rozłożyła serwetę na kolanach.

– Kolacja dopiero za godzinę! – krzyknęła kucharka z kuchni.

Ale panna Norris nie odpowiadała. Patrzyła prosto przed siebie z uprzejmym wyrazem twarzy.

Usiadłam naprzeciwko niej i też położyłam sobie serwetę na kolanach. Siedziałyśmy tak w przyjaznym, siostrzanym milczeniu, aż do chwili kiedy rozległ się gong zapowiadający kolację.

– Proszę się położyć – uśmiechnęła się pielęgniarka. – Dam pani zastrzyk.

Położyłam się na brzuchu, podciągnęłam spódnicę i opuściłam spodnie od pizamy.

– Cóż to pani nosi pod spodem?

– Pizamę. W ten sposób nie muszę jej ciągle nakładać i zdejmować.

Pielęgniarka zaśmiała się krótko i zapytała:

– Która strona? – Wyświechtany żart.

Uniosłam głowę i spojrzałam na moje obnażone pośladki, całe w siniakach, fioletowych, niebieskich i zielonych plamach. Pamiątki po dawnych zastrzykach. Lewy pośladek wyglądał gorzej od prawego.

– Prawa.

– Zawsze do usług. – Pielęgniarka wpakowała igłę, a ja syknęłam, chociaż nawet lubiłam ten ból. Zastrzyki otrzymywałam trzy razy dziennie, a w godzinę po każdym z nich podawano mi filizankę słodkiego soku owocowego. Pielęgniarki stały nade mną i pilnowały, żebym wypięła do dna.

– Masz szczęście – powiedziała pewnego dnia Waleria.

– Jesteś na insulynie.

– Nie czuję poprawy.

– Zobaczysz. Ja to miałam. Powiedz mi, jak będziesz miała reakcję.

Ale żadna reakcja nie następowała. Tyle że tyłam coraz bardziej z dnia na dzień. Wypełniałam już całkowicie nowe, szerokie spodnie, nabyte przez matkę, a kiedy patrzyłam na swój wydatny brzuch i zaokrąglone biodra, cieszyłam się, że nie widzi mnie pani Guinea, bo pomyślałaby na pewno, że jestem w ciąży.

– Czy pokazywałam ci już moje blizny? – zapytała Waleria. Odgarnęła grzywkę z czoła i wskazała na dwie nikłe plamy na skroniach. Wyglądało, jak gdyby odpiłowano jej rogi.

Spacerowałyśmy tylko my dwie z naszym instruktorem

sportowym po ogrodzie kliniki. Coraz częściej pozwalano nam chodzić na spacer bez opieki. A panny Norris w ogóle nie wypuszczano na dwór.

Waleria powiedziała, że panna Norris nie powinna być w Caplanie, ale w pawilonie, który nazywał się Wymark i był przeznaczony dla bardzo ciężko chorych.

– Czy ty wiesz, skąd mam te blizny? – nalegała Waleria.

– Nie, nie wiem.

– Zrobili mi lobotomię.

Spojrzałam na nią z podziwem. Nareszcie zrozumiałam, skąd bierze się ten olimpijski spokój. – Jak się po tym czujesz?

– Świetnie. Nie wściekam się już tak bez przerwy. Przedtem byłam stale rozdrażniona. Trzymali mnie w Wymarku, a teraz mogę być w Caplanie. Pozwalają mi też wychodzić do miasteczka na zakupy albo do kina. Z pielęgniarką, oczywiście.

– Co zamierzasz zrobić, jak stąd wyjdiesz?

– Kiedy ja stąd nigdy nie wyjdę – roześmiała się Waleria. – Mnie tu jest bardzo dobrze.

– Przeprowadzka.

– Dlaczego miałabym się przeprowadzać?

Pielęgniarka spokojnie otwierała i zamykała szuflady oraz drzwi szafy i układała moje rzeczy do czarnej torby.

Pomyślałam, że na pewno przenoszą mnie do Wymarku.

– Przenosimy panią do frontowego pokoju tu w naszym

gmachu – powiedziała pielęgniarka wesoło. – Zobacz pani, jaki przyjemny. Tyle słońca.

Kiedy wyszliśmy na korytarz, zauważyłam, że i panna Norris się przeprowadza. Młoda, sympatyczna pielęgniarka stała w drzwiach jej pokoju i pomagała jej nałożyć fioletowy płaszcz z kołnierzem z wiewiórki.

Ostatnio siedziałam całymi godzinami u wezgowia panny Norris, nie korzystałam z żadnych rozrywek, spacerów, meczów badmintonu, nie chodziłam nawet na tygodniowe seanse filmowe. Bo chociaż bardzo lubię kino, to wolałam siedzieć i wpatrywać się w jej blade, nieme wargi.

Jakżeby to było wspaniałe, gdyby nagle przemówiła. Wypadłabym na korytarz i powiedziałabym o tym pielęgniarkom, a one pochwałyby mnie za to, że podtrzymuję pannę Norris na duchu, i prawdopodobnie otrzymałabym z miejsca przywilej spacerów i przywilej zakupów w miasteczku. Wówczas sprawa mojej ucieczki byłaby załatwiona.

Ale przez wszystkie długie godziny mojego czuwania panna Norris nie odezwała się ani jednym słowem.

– Dokąd się pani przeprowadza? – zapytałam ją.

Pielęgniarka dotknęła łokciem panny Norris i wprowadziła ją w ruch jak nakręcaną lalkę.

– Przenosimy ją do Wymarku – szepnęła pielęgniarka.

– Panna Norris, niestety, nie wykazuje żadnej poprawy. Pani to co innego.

Patrzyłam, jak panna Norris podnosi wysoko najpierw

jedną, a potem drugą nogę, żeby pokonać niewidzialną barierę odgradzającą jej pokój od korytarza.

– Mam dla pani niespodziankę – zawiadomiła mnie moja pielęgniarka. Rozkładała moje rzeczy w słonecznym, frontowym pokoju, którego okna wychodziły na zielone pola golfowe. – Przybyła do nas dzisiaj pacjentka, która panią zna.

– Która mnie zna?

Pielęgniarka roześmiała się.

– Proszę tak na mnie nie patrzeć. To nie jest agentka policji. – A kiedy nie zareagowałam, dodała: – Mówi, że jesteście starymi przyjaciółkami. Mieszka w sąsiednim pokoju. Może chciałaby ją pani odwiedzić?

Myślałam, że pielęgniarka sobie ze mnie żartuje i że jak zapukam do sąsiednich drzwi, to albo nikt się nie odezwie, albo zastanę tam wyciągniętą na łóżku pannę Norris w fioletowej sukni, fioletowym płaszczu z wiewiórczym kołnierzykiem i konchą różowych ust, wyrastającą z twarzy jak pęk róży.

Mimo to opuściłam pokój i zapukałam do sąsiednich drzwi.

– Proszę!

Uchyliłam drzwi i zajrzałam do środka. Siedząca przy oknie wysoka dziewczyna o końskiej twarzy spojrzała na mnie z szerokim uśmiechem na ustach.

– Esther! – zawołała zdyszczanym głosem, który brzmiał, jak gdyby biegła przez dłuższy czas i właśnie w tej sekundzie się zatrzymała. – Jak to miło, żeś przyszła. Już

mi powiedziano, że jesteś.

– Joan? – szepnęłam niepewnie i zaraz później z niewiarą i w wielkim zdumieniu: – Joan!

Joan uśmiechnęła się szeroko, ukazując duże, błyszczące białe zęby.

– To naprawdę ja. Wiedziałam, że się zdziwisz.

Rozdział 16

Pokój Joan, z szafą w ścianie, komodą, krzesłem, stolikiem i białym kocem, opatrzonym ogromną literą „C”, był jakby lustrzanym odbiciem mojego pokoju. Przyszło mi na myśl, że Joan, dowiedziawszy się o tym, że znajduję się w klinice psychiatrycznej, wynajęła sobie ten pokój, po prostu tak dla dowcipu. To by tłumaczyło, dlaczego powiedziała pielęgniarce, że jest moją przyjaciółką. Znałam ją właściwie tylko z widzenia.

– Skąd się tu wzięłaś? – zapytałam, rozsiadając się na jej łóżku.

– Czytałam o tobie.

– Co czytałaś o mnie?

– Przeczytałam o tym, co zrobiłaś, i też uciekłam.

– Nie rozumiem – odparłam spokojnie.

– Powiem ci – Joan rozsiadła się wygodniej w szpitalnym fotelu, pokrytym kwiecistym pokrowcem. – Znalazłam sobie na lato pracę w sekretariacie jednej z korporacji studenckich, wiesz, tych, co są podobni do masonów, no wiesz, tylko że oni nie są masonami. Czuję się tam fatalnie. Bolały mnie stopy, stawy przy dużych palcach i w ostatnim tygodniu musiałam chodzić do pracy w pepegach, bo mi żadne pantofle nie wchodziły na nogi. Możesz sobie wyobrazić, jak to wpływało na mój humor...

Pomyślałam, że ta Joan zwariowała – żeby chodzić do

pracy w pepegach? – albo chce wybadać, do jakiego stopnia ja zwariowałam. Trzeba być wariatką, żeby uwierzyć w takie gadanie. Poza tym tylko starzy ludzie cierpią na nogi. Postanowiłam więc udawać, że wierzę, iż ona jest też chora na głowę, i okazać jej pobłażliwość.

– Rozumiem – powiedziałam więc z zagadkowym uśmiechem. – Ja też zawsze czuję się fatalnie, kiedy nie mam na nogach przyzwoitego obuwia. Czy nogi bardzo cię bolały?

– Okropnie. A na dodatek mój szef (akurat rozszedł się z żoną i bał się wystąpić o rozwód, bo to by kolidowało z fundamentalnymi ideami stowarzyszenia) co chwila dzwonił i wzywał mnie do siebie. Przy każdym kroku przeszywał mnie ten cholerny ból, ale kiedy wracałam do siebie i siadałam za biurkiem, ten bęcwał znowu do mnie wydzwaniał, bo chciał coś dodać do opowieści o swoich małżeńskich perypetiach.

– Dlaczego nie wymówiłaś?

– Właściwie to wymówiłam... no, prawie. Wzięłam zwolnienie lekarskie i siedziałam w domu. W ogóle nie wychodziłam. Z nikim się nie spotykałam. Wpakowałam telefon do szuflady i nie odpowiadałam, jak dzwonił.

A potem mój lekarz posłał mnie do psychiatry w dużym szpitalu. Byłam zamówiona na dwunastą. Nerwy miałam w strzępach. Wreszcie o wpół do pierwszej zjawiała się recepcjonistka i oświadczyła, że pan doktor wyszedł na przerwę obiadową. Zapytała, czy zamierzam czekać na niego, odpowiedziałam, że tak.

– No i co, wrócił?

Cała ta historyjka wydała mi się zbyt zawiła, żeby mogła być prawdziwa, ale nic, czekałam, co z niej wyniknie.

– O tak. Bo rozumiesz, zamierzałam popełnić samobójstwo i powiedziałam sobie, że jeżeli ten lekarz nie potrafi mi pomóc, to kończę ze sobą. Wreszcie recepcjonistka zaprowadziła mnie przez długi korytarz do gabinetu, a po drodze zapytała mnie mimochodem: „Nie ma pani chyba nic przeciwko temu, że z panem doktorem będzie kilku studentów?”. Co miałam powiedzieć? Weszłam więc do gabinetu, a tam patrzy na mnie dziewięć par oczu. Osiemnaście pojedynczych oczu. Gdyby ta baba mnie uprzedziła, że tam będzie dziewięciu facetów, to naturalnie wyszłabym z miejsca ze szpitala. Ale było za późno. Tego dnia miałam na sobie akurat futro...

– W sierpniu?

– No tak, był chłodny, deszczowy dzień, ale poza tym pomyślałam sobie, że idę z pierwszą w życiu wizytą do psychiatry i że powinnam mu się pokazać w jak najlepszym świetle. Ale powiem ci, że ten psychiatra przez cały czas gapił się na moje futro, i zrozumiałam, że myśli o tym, jakim prawem żądam, żeby mi pozwolili zapłacić studencką taryfę, skoro mam tyle pieniędzy. Widziałam w jego źrenicach bardzo wyraźnie symbol dolara. Powiedziałam mu różne rzeczy, już sama nie wiem co, ale w każdym razie o tym, że mnie bolą nogi, o

telefonie w szufladzie i że noszę się z zamiarem popełnienia samobójstwa. Poprosił mnie, żebym zaczekała w drugim pokoju, bo chce się spokojnie naradzić z tymi studentami. Jak wróciłam do gabinetu, to wiesz, co powiedział?

– Co?

– Założył ręce, spojrzał na mnie i powiedział: „Panno Gilling, doszliśmy wspólnie do wniosku, że dobrze by pani zrobiła terapia grupowa”.

– Terapia grupowa? – Obawiałam się przez chwilę, że Joan pomyśli, że ją przedrzeźniam, ale ona nie zwróciła na to najmniejszej uwagi.

– Tak powiedział. Ja chcę się zabić, a on mi proponuje, żebym się spotykała z jakimiś obcymi ludźmi i może im jeszcze o tym opowiadała... Wariatom! Czy ty to rozumiesz?

– To bzdura! – Opowiadanie jej zaczynało mnie wciągać. – To po prostu nieludzkie.

– Właśnie to mu powiedziałam. Potem pojechałam prosto do domu i napisałam do niego list. Napisałam bardzo pięknie, że moim zdaniem człowiek taki jak on nie ma prawa zabierać się do leczenia chorych dusz...

– Odpowiedział?

– Nie wiem. Bo tego samego dnia przeczytałam o tobie.

– Że co?

– O tym, jak policja myślała, że już dawno nie żyjesz, no i jak cię znaleźli. Mam tu gdzieś całą kupę wycinków z

prasy.

Joan wstała, szedł od niej tak silny zapach stajni, że aż mnie załaskotało w nosie. Joan była championką zawodów jeździeckich i na dorocznych zawodach naszego college'u otrzymała pierwszą nagrodę w skokach. Może spała ostatnio przy koniach?

Zaczęła grzebać w otwartej walizce i wyciągnęła całą garść wycinków gazetowych.

– Masz, przeczytaj.

Na pierwszym wycinku widniała fotografia jakiejś dziewczyny o podbitych oczach i szerniałych wargach, rozciągniętych głupim uśmiechem. Nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie zrobiono mi takie kurewskie zdjęcia, i zorientowałam się dopiero, jak zauważyłam kolczyki zakupione u Bloomingdale'a i bloomingdale'owski naszyjnik, połyskujący sztucznymi brylantami.

Zaginienie stypendystki matka w rozpacz

Przeczytałam o tym, że dziewczyna znikła z domu w dniu 17 sierpnia, że miała na sobie zieloną spódnicę i białą bluzkę i że pozostawiła w domu liścik, w którym zawiadamiała matkę, że udaje się na dłuższy spacer.

Kiedy o północy panna Greenwood nie powróciła do domu, matka zawiadomiła policję.

Następny wycinek zawierał fotografię matki, brata i mnie. Staliśmy na trawniku za domem i uśmiechaliśmy się do kamery. Zrazu nie mogłam sobie przypomnieć, kto zrobił to zdjęcie, ale kiedy zauważyłam dżinsy i białe pepegi, przypomniałam sobie, że było to tego lata, kiedy pracowałam przy zbiorach szpinaku, i że pewnego upalnego popołudnia wpadła do nas Dodo Conway i zrobiła nam kilka rodzinnych fotek.

Pani Greenwood prosiła nas o umieszczenie tego zdjęcia w nadziei, że zachęci ono jej córkę do powrotu do domu.

Zniknięcie tabletek nasennych wraz z dziewczyną

Ciemne zdjęcie, przedstawiające kilkunastu puciołowatych mężczyzn w jakimś lesie. Zdziwił mnie dziwny wygląd kilku facetów w rogu, aż po chwili zorientowałam się, że to nie ludzie, lecz psy.

Psy policyjne w poszukiwaniu zaginionej dziewczyny. „Nie wygląda mi to najlepiej”, twierdzi starszy sierżant Bill Hindly.

Dziewczyna odnaleziona żywa.

Ostatnie zdjęcie pokazywało policjanta wsuwającego

do otwartych drzwi karetki pogotowia jakieś podłużne zawiniątko, z którego wypadła ludzka głowa bez twarzy, podobna raczej do kapusty. Podpis głosił, że moja matka zeszła tego dnia do piwnicy, żeby zrobić tygodniowe pranie, i usłyszała jakieś jęło dochodzące z dziury w murze...

Położyłam wycinki na białej narzucie łóżka.

– Weź je sobie. Powinnaś je wkleić do sztambucha.

Wzięłam je więc i wsunęłam do kieszeni.

– Przeczytałam wszystko, co napisali o tobie. Nie tylko o tym, jak cię znaleźli, ale o tym wszystkim, co robiłaś przedtem, no i zebrałam całe pieniądze, jakie miałam, i poleciałam pierwszym samolotem do Nowego Jorku.

– Dlaczego do Nowego Jorku?

– Pomyślałam, że w Nowym Jorku będzie łatwiej popełnić samobójstwo.

– I co zrobiłaś?

Joan uśmiechnęła się i wyciągnęła do mnie dłonie. Na przegubach, na białej powierzchni skóry, widniały grube nierówne blizny, pofalowane jak miniaturowe pasma górskie.

– Czym to zrobiłaś? – zaświtało mi, że chyba jednak mamy coś wspólnego.

– Rozbiłam pięściami okno w domu koleżanki.

– Koleżanki?

– Odnalazłam taką jedną dziewczynę, z którą miałam kiedyś wspólny pokój w college'u. Wprowadziłam się do niej, bo nie znałam nikogo innego w mieście, a wydałam

prawie wszystkie pieniądze. Napisała do moich rodziców, że zachowuję się dziwnie, więc ojciec zaraz przyjechał i zabrał mnie do domu.

– Ale teraz jesteś już zdrowa – powiedziałam w trybie twierdzącym.

Joan patrzyła na mnie przez dłuższą chwilę swoimi błyszczącymi, okrągłymi oczami.

– Chyba tak – odparła i dodała: – Ty chyba też.

Zaraz po kolacji zasnęłam.

Obudziło mnie czyjeś głośnie wołanie:

– Pani Bannister, pani Bannister, pani Bannister, pani Bannister!

Otrząsnęłam się ze snu i zorientowałam się, że to ja walę pięściami w ramę łóżka i krzyczę. Pani Bannister, nasza nocna pielęgniarka, ukazała się w drzwiach. Była wysoka i koścista.

– Zaraz, zaraz, jeszcze go pani stłucze.

Odpięła mi zegarek z ręki.

– Co się ze mną dzieje? Proszę mi powiedzieć.

Na twarzy pani Bannister ukazał się przelotny uśmiech.

– To nic, to tylko reakcja na lekarstwo.

– Jaka reakcja?

– Normalna. Jak się pani teraz czuje?

– Dziwnie. Tak jakoś lekko, jakbym była w stanie nieważkości.

Pani Bannister pomogła mi usiąść.

– Zaraz będzie lepiej. Za małą chwilę. Czy przynieść

pani gorącego mleka?

– O tak.

Kiedy pani Bannister przyłożyła mi kubek do ust, zaczęłam ssać to mleko powoli, jakbym była niemowlęciem, które przystawiono do piersi matki.

– Pani Bannister zawiadomiła mnie, że pani miała dziś w nocy reakcję insulinową.

Doktor Nolan rozsiadła się wygodnie w fotelu pod oknem i wyjęła z kieszeni fartucha maleńkie pudełeczko zapalek. Takie samo jak to, które ukryłam w zakładzie szlafroka, i przez chwilę zastanawiałam się, czy moja pielęgniarka nie znalazła go i nie oddała pani doktor.

Potarła zapalną. Wyskoczył z niej gorący, żółty płomyk. Patrzyłam, jak wciąga go do papierosa.

– Pani B. twierdzi, że czuje się pani znacznie lepiej.

– Tak było przez chwilę, ale teraz wszystko wróciło.

– Chciałabym pani coś powiedzieć.

Czekałam. Od wielu dni spędzałam całe przedpołudnia, popołudnia i wieczory zawinięta w biały koc na leżaku w alkowie, udając, że czytam książkę. Miałam niejasne wrażenie, że doktor Nolan dała mi pewną ilość czasu, a potem powie mi to samo, co doktor Gordon: „Bardzo mi przykro, ale wobec tego, że nie robi pani żadnych postępów, obawiam się, że będziemy musieli zastosować elektrowstrząsy”.

– No co, nie jest pani ciekawa?

– Jestem – powiedziałam tępo. Byłam cała spięta.

– Zabronimy pani na pewien czas przyjmować gości.

Spojrzałam na lekarkę ze zdumieniem.

– To cudownie – oświadczyłam.

– Wiedziałam, że to panią ucieszy – uśmiechnęła się.

Spojrzałyśmy jednocześnie na tuzin krwistoczerwonych róż w koszu na śmieci pod biureczkiem.

Nieco wcześniej tego popołudnia odwiedziła mnie matka.

Goście ciągnęli do mnie nieustającym strumieniem. Odwiedził mnie mój dawny szef, potem pani ze stowarzyszenia Christian Science, która spacerowała ze mną po ogrodzie i mówiła o miazmatach, wychodzących z ziemi, że, według Biblii, to z tymi miazmatami dobrze nie wiadomo, że cała moja bieda polega wyłącznie na tym, że bezwzględnie w nie uwierzyłam, i że z chwilą kiedy przestanę w nie wierzyć, kłopoty moje natychmiast się skończą i okaże się, że wcale nie chorowałam. Odwiedził mnie nauczyciel angielskiego z liceum i usiłował nauczyć mnie gry w scrabble, ponieważ twierdził, że pobudzi to do życia moje dawne zainteresowania semantyką. Odwiedziła mnie też sama Filomena Guinea, której nie podobało się to, co lekarze dla mnie robią, i ciągle mi o tym mówiła.

Nie cierpiałam tych odwiedzin.

Siedziałam sobie spokojnie w alkowie i coraz to któraś z pielęgniarek zaglądała przez drzwi i zawiadamiała mnie z uśmiechem, że mam gościa. Raz przyprowadzili mi

nawet pastora unitariańskiego, którego bardzo nie lubiłam. Przez cały czas wiercił się nerwowo i był na pewno przekonany że mam całkowitego bzika, bo powiedziałam mu, że wierzę w piekło i także w to, że niektórzy ludzie, tacy jak ja, przechodzą piekło na ziemi, więc będą to już mieli z głowy po śmierci. Ci ludzie nie wierzą w życie pozagrobowe, a po śmierci każdy otrzymuje to, w co wierzył za życia.

Nienawidziłam tych wizyt, ponieważ wiedziałam, że goście z obrzydzeniem patrzą na moje rozczochrane, tłuste włosy, porównują mój obecny wygląd z dawnym i opuszczają mnie bardzo zatroskani.

Sądziłam, że jak mnie ludzie zostawią w spokoju, to może odnajdę nareszcie równowagę ducha.

Najgorsza była matka. Nie miała do mnie pretensji, ale za to nieustannie błagała mnie z cierpiętniczym wyrazem twarzy, żebym jej powiedziała, czy mam do niej żal i o co. Twierdziła, że lekarze czynią ją odpowiedzialną za to, co się ze mną stało, że stawiają jej niezliczone ilości pytań. Wypytują ją szczególnie o to, kiedy zaczęła mnie wysadzać na nocnik. Faktem jest, że zaczęła mnie wysadzać bardzo wcześnie i byłam zawsze idealnym dzieckiem.

Tego popołudnia matka przyniosła mi pęk róż.

– Zachowaj je na mój pogrzeb – powiedziałam.

Matka skrzywiła się, wyglądało, że za chwilę się rozpłacze.

– Ależ, kochanie, czy zapomniałaś, jaki to dzisiaj

dzień?

– Zapomniałam.

Pomyślałam, że może to świętego Walentego.

– Twoje urodziny!

Wtedy wrzuciłam róże do kosza.

– To był bardzo niemądry pomysł z jej strony –
zwierzyłam się pani doktor.

Doktor Nolan skinęła głową na znak zgody.
Rozumiała, o co mi chodzi.

– Nienawidzę jej – powiedziałam, zamilkłam i
czekałam z pochyloną głową na cios.

Ale pani doktor Nolan uśmiechnęła się tylko, jak
gdybym zrobiła jej bardzo wielką przyjemność, i
powiedziała:

– No tak, rozumiem doskonale.

Rozdział 17

– Czeka panią dzisiaj duża radość.

Młoda pielęgniarka wzięła tacę z resztkami mojego śniadania i zabrała się do wyjścia, pozostawiając mnie w leżaku, jak pasażerkę na pokładzie statku.

– A to dlaczego?

– Nie jestem pewna, czy powinnam to pani powiedzieć, ale dzisiaj przeniosą panią do Belsize'u. – Spojrzała na mnie wyczekującym wzrokiem.

– Do Belsize'u? Nie mogę jeszcze iść do Belsize'u.

– Czemu nie.

– Bo wcale nie czuję się lepiej. To niemożliwe.

– Ależ tak. Lekarze stwierdzają ogromną poprawę. Już niech panią o to głowa nie boli. Jeżeli przenoszą panią do tamtego pawilonu, to pani jest na pewno na dobrej drodze.

Kiedy pielęgniarka wreszcie odeszła, zaczęłam się zastanawiać nad tym posunięciem doktor Nolan. Co ona chce w ten sposób udowodnić? Przecież nic się we mnie nie zmieniło. Nic a nic. A Belsize był pawilonem dla rekonwalescentów. Z Belsize'u ludzie wracali do pracy, do szkoły, do swoich domów.

Joan była już tam od pewnego czasu. Joan ze swoimi podręcznikami fizyki, kijkami do golfa, raketką do badmintona. Joan i jej rażny, wesoły głosik. Pomędzy mną a pacjentami już prawie zdrowymi była jeszcze tylko

ona. Od czasu kiedy opuściła Caplan, śledziłam jej postępy za pośrednictwem szpitalnej poczty pantoflowej.

Joan otrzymała już przywilej chodzenia na spacer, do miasteczka na zakupy, Joan to, Joan tamto. Zbierałam te wszystkie wiadomości o niej, magazynowałam je w pamięci i na pozór nawet cieszyłam się nimi. Los Joan był jak gdyby echem mojego własnego losu z okresu, kiedy byłam jeszcze zdrowa i szczęśliwa. Joan została na pewno stworzona i przysłana tu specjalnie po to, żeby mnie dręczyć. Od lat snuła się za mną krok w krok.

Jak przybędę do Belsize'u, pomyślałam, to okaże się pewnie, że Joan już została odesłana do domu.

W Belsizie będę mogła przynajmniej przestać się bać elektrowstrząsów. W Caplanie wiele pacjentek poddawano temu zabiegowi. Zawsze wiedziałam, na którą tego dnia kolej, bo nie dostawały śniadania. Pacjentki te szły na wstrząsy na czczo, a dopiero później zjawiały się, prowadzone pod rękę przez pielęgniarce, w świetlicy, dziwnie spokojne, zgaszone, i tam podawano im śniadanie.

Kiedy rano rozlegało się pukanie do drzwi i zjawiała się pielęgniarka z tacą, fala ulgi przenikała moje ciało, bo już wiedziałam, że nic mi tego dnia nie grozi. Zupełnie nie mogłam zrozumieć, jak doktor Nolan, która przecież sama nigdy nie poddała się elektrycznym wstrząsom, może twierdzić, że pacjenci usypiają w czasie zabiegu. Skąd wie, że pacjent nie wygląda tylko, jakby spał? Może w środku szarpia go te straszne spazmy, przeszywają go

tysiące błyskawic i płomieni?

Z głębi korytarza dochodziła muzyka. Ktoś grał na fortepianie.

Podczas kolacji milczałam i przysłuchiwałam się wesołej rozmowie pacjentek Belsize'u. Miały na sobie modne sukienki, były starannie umalowane, niektóre nosiły obrączki. Jedne opowiadały o tym, że były w miasteczku na zakupach albo u przyjaciół. Przerzucały się dowcipami i powiedzonkami, z których nic do mnie nie docierało.

– Zadzwońmy do Jacka – odezwała się w pewnym momencie kobieta, na którą wołano Dzidzia – ale obawiam się, że nie ma go w domu. Dobrze wiem, gdzie trzeba dzwonić, żeby go na pewno zastać.

Przysadzista, wesoła blondyna, siedząca przy moim stoliku, roześmiała się.

– Powiem wam, że wiele dziś nie brakowało, żebym załatwiła doktora Loringa. – Otworzyła szeroko błękitne, tępe oczy porcelanowej lalki. – Czas wymienić starego Percy'ego na jakiś nowszy model.

Po drugiej stronie jadalni siedziała Joan i z wielkim apetytem pałaszowała pomidory smażone na szynce. Zdawała się bardzo zaprzyjaźniona z wszystkimi pacjentkami. Mnie traktowała z dystansem, nawet z lekką ironią, jak daleką i gorszą znajomą.

Zaraz po kolacji poszłam do łóżka, a już wkrótce zaczęły mnie dochodzić dźwięki muzyki i wyobrażałam

sobie Joan, Dzidzie, tę blondynę Loubelle i całą resztę, jak siedzą w salonie i obgadują mnie na całego. Na pewno mówią, że takie jak ja nie powinny być w ogóle w Belsizie, że nadają się najwyżej do Wymarku.

Postanowiłam ostudzić ich plotkarski zapał.

Owinęłam się więc kocem jak szalem i wyszłam na korytarz, kierując się ku wesołym głosom.

Przez resztę wieczoru słuchałam piosenek własnej kompozycji Dzidzi, jakie wybębniała na fortepianie, i przyglądałam się pozostałym kobietom. Grały w brydża albo szczebiotały zupełnie jak w college'u, tyle że większość z nich miała przynajmniej o dziesięć lat więcej.

Jedna z nich, wysoka, tęga, siwowłosa, o głębokim basie, miała dyplom z Vassar i nazywała się pani Savage. Zorientowałam się od razu, że jest to dama z towarzystwa, ponieważ mówiła wyłącznie o debiutantkach. Okazało się, że jest matką dwóch, a może i trzech córek, które miały być w tym sezonie wprowadzone w świat, ale ona zepsuła im wszystko swoją chorobą.

Dzidzia zaśpiewała piosenkę pod tytułem *Mleczarz*. Radzono jej chórem, żeby ją koniecznie wydała drukiem, bo będzie to na pewno niebywały szlagier. Najpierw wystukała palcami taką sobie prościutką melodyjkę, naśladując niby to dźwięk kopyt konika, potem coś w rodzaju pogwizdywania mleczarza, a potem oba refreny zlewały się.

– To bardzo zręczne – odezwałam się konwersacyjnym

tonem.

Joan stała oparta o fortepian i przeglądała jakiś żurnal mody Dzidzia skierowała na nią wzrok. Uśmiechnęły się do siebie konspiracyjnie.

– Ach, Esther – powiedziała Joan i podniosła rozłożony żurnal – zobacz no, jak dwie krople wody.

Dzidzia przestała grać.

– Pokaż – zażądała i wyjęła żurnal z rąk Joan. Spojrzała na wskazane jej zdjęcie, potem na mnie i potrząsnęła głową.

– Wcale nie – skrzywiła się. – Wcale tego nie widzę. – Znowu spojrzała na żurnal, na mnie i dodała: – Zupełnie nie.

– A ja uważam, że tak, prawda, Esther, chodź, zobacz – zwróciła się do mnie Joan.

Loubelle i pani Savage podeszły do fortepianu, a ja udając, że wiem, o co chodzi, przyłączyłam się do nich.

Fotografia w żurnale pokazywała dziewczynę w wydekoltowanej sukni wieczorowej, zrobionej z jakiegoś puszystego, białego materiału. Dziewczyna uśmiechała się od ucha do ucha. Była otoczona rojem eleganckich chłopaków. Miała w ręku szklanek pełną przezroczystego płynu i patrzyła prosto przed siebie, a raczej za moje lewe ucho. Czyjś oddech musnął mój kark. Odwróciłam się gwałtownie.

Stąpając na gumowych podszwach, zjawiała się niepostrzeżenie nasza nocna pielęgniarzka.

– Coś takiego! – powiedziała. – Czy to naprawdę pani?

– To wcale nie ja. To zupełnie obca dziewczyna. Joan się myli.

– No, przyznaj się, że to ty! – krzyknęła Dzidzia.

Udawałam, że jej nie słyszę, i odwróciłam się.

Loubelle poprosiła pielęgniarkę, żeby zagrała jako czwarta w brydża, więc przysunęłam sobie krzesło i zaczęłam kibicować. Na kartach nie znam się zupełnie. W odróżnieniu od zamożnych dziewcząt, które namiętnie uprawiały hazard, nie miałam na to czasu w college'u.

Przyglądałam się więc głupim, pozbawionym wszelkiego wyrazu podobiznom królów, waletów i dam i przysłuchiwałam się pielęgniarce, która skarżyła się na swoje trudne życie.

– Wy, moje młode damy, nie macie pojęcia o tym, co to znaczy pracować na dwóch posadach. Nocą jestem tutaj, by czuwać nad wami, a w dzień...

– Ale my przecież nie sprawiamy pani wiele kłopotów – zachichotała Loubelle. – Jesteśmy najlepszymi pacjentkami w całej klinice.

– O tak, jesteście nadzwyczajne – pielęgniarka poczęstowała nas gumą do żucia. Starannie zdjęła z paczuszki różową wstążeczkę. – Ale te potworki w państwowym szpitalu nie dają człowiekowi chwili spokoju.

– Czy pani pracuje i tu, i tam? – zapytałam z nagłym zainteresowaniem.

– Ano tak. – Pielęgniarka spojrzała na mnie badawczo. Czulałam, że zastanawia się nad tym, skąd się wzięłam w

Belszie. – Oj, nie spodobałoby się tam pani wcale a wcale, lady Jane.

Zdziwiło mnie, że mówi do mnie lady Jane, skoro świetnie wie, jak się nazywam.

– Dlaczego?

– To nie to, co tutaj. Wy tu żyjecie jak w eleganckim pensjonacie. Tam nie ma w ogóle nic. Ani przyzwoitej terapii zajęciowej, żadnych tam spacerów...

– Nawet spaceru?

– Nie mają dostatecznej liczby personelu. – Pielęgniarka zagarnęła lewą, Loubelle jęknęła. – Zapewniam was, moje drogie panie, że z chwilą kiedy uciulam wystarczającą ilość forsuni na samochód, wyniosę się stąd, aż się będzie kurzyło.

– Czy i od nas? – zainteresowała się Joan.

– Naturalnie! Zajmę się wyłącznie praktyką prywatną. Będę pracowała tylko wtedy, kiedy mi się będzie chciało...

Przestałam słuchać.

Zrozumiałam, co chciała mi dać do zrozumienia ta pielęgniarka. Albo szybko wyzdrowieję, albo będę się staczała coraz niżej i niżej jak gasnąca gwiazda. Z Belsize'u przeniosą mnie do Caplan, stamtąd do Wymarku i wreszcie – opuszczona przez panią doktor Nolan i panią Guineę – pójdę na samo dno, do sąsiadującego z nami państwowego szpitala dla wariatów.

Otuliłam się mocniej kocem i odsunęłam krzesło.

– Zimno pani? – zapytała pielęgniarka mimochodem.

– Tak – odparłam i wyszłam na korytarz. – Jestem przemarznięta do szpiku kości.

Zbudziłam się. Było mi ciepło i dobrze w moim białym kokonie. Promień bladego, zimowego słońca iskrzył się w lustrze na przeciwległej ścianie, odbijał się w szklance stojącej na komodzie, w mosiężnej gałce w drzwiach. Z głębi korytarza dochodziło pobrzękiwanie sztućców i talerzy. Służba szykowała tace ze śniadaniem.

Rozległo się delikatne stukanie do sąsiednich drzwi w końcu korytarza. Pani Savage odezwała się sennym głosem i pielęgniarka weszła do jej pokoju ze śniadaniem. Z przyjemnością myślałam o pękatym dzbanku z gorącą kawą, o niebieskiej porcelanowej filiżance i o wybrzuszonym, malutkim dzbanuszkowi do mleka, niebieskim, ale w białe stokrotki.

Byłam prawie pogodzona z losem.

Cios spadnie wcześniej czy później, a na razie trzeba się cieszyć każdym najmniejszym drobiazgiem. Byle to trwało jak najdłużej.

Teraz pielęgniarka zapukała do moich drzwi i nie czekając na odpowiedź, weszła do pokoju.

Była nowa – pielęgniarki zmieniały się nieustannie. Miała pociągłą twarz koloru piasku, takie same włosy i duże piegi na nosie. Z niewiadomych przyczyn widok jej wzbudził we mnie głęboki niepokój, ale dopiero kiedy podeszła do okna i odsunęła rolety, zorientowałam się dlaczego. Miała puste ręce.

Otworzyłam usta, żeby zapytać o śniadanie, ale

zamknęłam je niemal natychmiast. Pielęgniarka zapewne pomyliła mnie z kim innym. To się często zdarza nowicjuszkom. Jakaś pacjentka w Belszie otrzymuje elektrowstrząsy, a ta pielęgniarka, rzecz jasna, po prostu pomyliła osoby.

Zaczekałam, aż skończyła poranny przegląd mojego pokoju, porządkując, wygładzając, poklepując, i wyszła, żeby zanieść tacę ze śniadaniem do pokoju Loubelli.

Wtedy wysunęłam się z łóżka, nałożyłam na bose nogi pantofle i otuliwszy się kocem, bo poranek był jasny, ale bardzo chłodny, szybko poszłam do kuchni. Młoda kucharka w różowym mundurku napełniała rząd niebieskich, porcelanowych dzbanków kawą z dużego obtłuczonego czajnika.

Spojrzałam tęsknym wzrokiem na rząd tac – białe papierowe serwetki, starannie poskładane w równoramienne trójkąty srebrne widelce, białe wieżyczki jajek na miękko, sterczące z niebieskich kubeczków, malutkie porcyjki marmolady pomarańczowej w przezroczystych pojemniczkach. Wystarczyło wyciągnąć ręce, zażądać swojej tacy, aby życie powróciło na normalne tory.

– Nastąpiła pomyłka – wyjaśniłam kucharce cichym głosem. Nachyliłam się nad bufetem. – Ta nowa pielęgniarka zapomniała mi przynieść śniadania.

Z trudem udało mi się wyczarować serdeczny uśmiech w dowód, że nie żywię pretensji do nikogo.

– Nazwisko pani?

– Greenwood. Esther Greenwood.

– Greenwood, Greenwood, Greenwood. – Kucharka przesunęła wskazującym palcem po wywieszonym na ścianie spisie nazwisk pacjentek Belsize'u.

– Greenwood. Dzisiaj bez śniadania.

Chwyciłam się oburącz krawędzi bufetu.

– To chyba pomyłka. Czy pani jest pewna, że chodzi o Greenwood?

– Greenwood – powtórzyła kucharka stanowczym tonem i w tej samej chwili do kuchni weszła pielęgniarka.

Spojrzała pytającym wzrokiem najpierw na kucharkę, a potem na mnie.

– Panna Greenwood przyszła upomnieć się o swoje śniadanie – wyjaśniła kucharka.

– Ach tak – pielęgniarka uśmiechnęła się do mnie przymilnie. – Pani dostanie dzisiaj śniadanie nieco później. Pani...

Nie usłyszałam już końca zdania. Wypadłam ślepo na korytarz, ale nie do mojego pokoju, bo tam przecież mieli zaraz przyjść po mnie, tylko do alkowy, znacznie mniej sympatycznej niż w Caplanie, położonej na samym końcu korytarza. Wiedziałam, że ani Loubelle, ani Dzidzia, ani pani Savage, ani Joan nigdy tam nie przychodzą.

Wcisnęłam się w sam kąt i nakryłam kocem na głowę. Byłam wstrząśnięta nie tyle samą perspektywą elektrowstrząsów, co ohydną zdradą pani doktor Nolan. Polubiłam ją, obdarzyłam pełnym zaufaniem, zwierzałam się jej ze wszystkiego, a ona przyrzekła solennie, że

uprzedzi mnie, jeżelibym kiedykolwiek jeszcze miała być poddana kuracji wstrząsowej.

Gdyby powiedziała mi o tym poprzedniego wieczoru, przeżyłabym oczywiście noc pełną lęku i grozy, ale teraz byłabym już spokojna i wewnętrznie przygotowana. Poszłabym korytarzem w asyście dwóch pielęgniarek, mijając Joan, panią Savage i Loubelle, krokiem pełnym dostojeństwa, jak skazaniec prowadzony na szafot.

Pielęgniarka pochyliła się nade mną i szepnęła moje imię.

Odsunęłam się i wtuliłam jeszcze mocniej w ścianę, więc odeszła. Wiedziałam, że za chwilę powróci z dwoma barczystymi pielęgniarzami, którzy wyniosą mnie, wrzeszczącą wniebogłosy i wierzgającą nogami ku uciesze uśmiechniętych widzów.

Doktor Nolan objęła mnie ramieniem i przycisnęła do piersi macierzyńskim ruchem.

– Przynęła pani, że mnie pani uprzedzi! – wrzasnęłam przez koc.

– Właśnie po to przyszłam. Przyjechałam dziś znacznie wcześniej do szpitala, żeby się tobą zająć. Pójdziemy razem.

Spojrzałam na nią przez zapuchnięte powieki.

– Czemu nie powiedziała mi pani wczoraj wieczorem?

– Bo bałam się, że nie będziesz mogła spać. Gdybym wiedziała...

– Przynęła pani, że mnie pani uprzedzi.

– Słuchaj, Esther – powiedziała doktor Nolan

poważnie. – Idę z tobą. Nie opuszczę cię ani na chwilę i wszystko odbędzie się tak, jak ci mówiłam. Poczekam, aż się obudzisz, i odprowadzę cię do pokoju.

Spojrzałam na nią, wydała się bardzo zmartwiona. Odczekałam chwilę, a potem powiedziałam:

– Proszę mi przysiąc, że pani zostanie.

– Przysięgam.

Pani doktor wyjęła z kieszeni białą chusteczkę i otarła mi twarz. Potem wzięła mnie przyjacielsko pod rękę, pomogła mi wstać i ruszyliśmy korytarzem. Koc plątał mi się między nogami, więc rzuciłam go na ziemię, ale pani doktor udawała, że tego nie widzi. Minęłyśmy Joan, która właśnie wychodziła ze swojego pokoju. Rzuciłam jej pogardliwe spojrzenie, więc cofnęła się i zaczęła, aż znikniemy jej z oczu.

Gdy dotarliśmy na koniec korytarza, doktor Nolan wyjęła klucz i otworzyła znajdujące się tam drzwi. Poprowadziła mnie na dół do tajemniczego przejścia podziemnego, które było częścią skomplikowanego labiryntu dróg łączących wszystkie pawilony.

Białe kafelkowe ściany, na ciemnym suficie rząd gołych żarówek, jakieś nosze, fotele na kółkach. Syczące, gorące, stukające rury wiły się skomplikowanym wzorem po nieskazitelnie czystych ścianach. Wisiałam na ramieniu doktor Nolan, śmiertelnie przerażona. Ona ścisnęła od czasu do czasu moją dłoń, żeby mi dodać odwagi.

Wreszcie stanęliśmy przed zielonymi drzwiami, na

których wytłoczono czarnymi literami napis „Elektroterapia”. Cofnąłam się, doktor Nolan czekała spokojnie.

– No, to skończmy z tym – powiedziałam nagle i weszliśmy do środka.

W poczekalni znajdował się tylko jakiś starszy mężczyzna w wyświechtanym brązowym szlafroku i towarzysząca mu pielęgniarka.

– Czy nie chciałabyś usiąść? – Doktor Nolan wskazała na drewnianą ławę, ale nogi miałam jak kłody i bałam się, że kiedy przyjdą po mnie, nie będę mogła wstać.

– Postoję.

Po dłuższym czasie zjawiła się w poczekalni kobieta w białym kitlu, z głową jak trupia czaszka. Byłam pewna, że przyszła po starego w brunatnym szlafroku, który już tu siedział, kiedy weszłam, ale ku mojemu przerażeniu zbliżyła się do mnie.

– Dzień dobry, pani doktor. – Terapeutka wzięła mnie pod rękę. – Czy ty jesteś Esther?

– Tak jest. Esther, pozwól, że ci przedstawię pannę Huey. Ona się tobą zajmie. Mówiłam jej o tobie.

Byłam pewna, że ta kobieta ma co najmniej dwa metry wzrostu. Nachylała się nade mną troskliwie. Miała bardzo wystające zęby, a twarz całą w małych bliznach po trądziku. Wyglądało to jak fotografia powierzchni Księżyca.

– Może weźmiemy panią od razu – uśmiechnęła się panna Huey. – Pan Anderson na pewno się zgodzi.

Prawda?

Pan Anderson nie odezwał się ani słowem, więc panna Huey objęła mnie ramieniem i razem z doktor Nolan weszliśmy do sąsiedniego pomieszczenia. Przez zmrużone powieki – bałam się otworzyć szeroko oczy, jak gdyby ten widok mógł mnie przyprawić o śmierć – zobaczyłam wysokie łóżko, okryte białym prześcieradłem, elektryczny aparat przy wezglowiu. Przy aparacie stała jakaś osoba w białej masce – nie mogłam się zorientować, czy to kobieta, czy mężczyzna – a po obydwu stronach łóżka jeszcze kilka osób także z białymi maskami.

Panna Huey pomogła mi wejść na łóżko i kazała mi się położyć na wznak.

– Niech pani coś powie – zażądałam.

Zaczęła więc mówić cichym, łagodnym głosem, przy tym smarowała mi skronie jakąś maścią, przytwierdzała jakieś obręcze do mojej głowy.

– Nic pani nie będzie czuła, absolutnie nic... proszę to nagryźć... o tak...

Włożyła mi coś do ust. Ogarnięta paniką zacisnęłam zęby. Wielka fala ciemności zmyła mnie z powierzchni ziemi, jakbym była kredą na szkolnej tablicy.

Rozdział 18

– Esther!

Powoli budziłam się z głębokiego, narkotycznego snu i zobaczyłam, majaczącą nade mną, twarz doktor Nolan i usta jej, które mówiły:

– Esther! Esther!

Niezdarnie przetarłam oczy.

Za panią doktor rysowała się sylwetka jakiejś kobiety, ubranej w wymięty szlafrok w biało-czerwona kratę. Leżała niedbale na łóżku, jak szmaciana lalka zrzucona z wielkiej wysokości. Nim się zorientowałam, gdzie jestem, doktor Nolan wyprowadziła mnie do ogrodu. Owiało nas świeże, błękitne powietrze wczesnego poranka.

Czułam się cudownie, oczyszczona z lęku, odświeżona i zadziwiająco spokojna. Szklany klosz podniósł się, zawisł wysoko nad moją głową. Czułam na ciele ożywczy powiew łagodnego wiatru.

– No więc, prawda, że było tak, jak powiedziałam? – zapytała doktor Nolan. Wracaliśmy do Belsize'u ścieżką usłaną brunatnymi liśćmi.

– Tak.

– Więc widzisz. Tak będzie za każdym razem. Zapisalam ci elektrowstrząsy trzy razy w tygodniu, we wtorki, czwartki i soboty.

Nabrałam pełne płuca powietrza.

– Przez ile tygodni?

– To *zależy* – powiedziała doktor Nolan. – To zależy od ciebie, no i ode mnie.

Wzięłam do ręki srebrny nożyk i starannie odciąłam czubek jajka. Następnie odłożyłam nożyk na stół i przyjrzałam mu się uważnie. Próbowałam sobie przypomnieć, dlaczego kiedyś bardzo lubiłam noże, ale myśl ta wymknęła się z mojej głowy i pofrunęła jak ptak na sam środek świetlicy.

Joan i Dzidzia siedziały obok siebie na ławeczce przed fortepianem. Dzidzia uczyła Joan palcówek.

Myślałam o tym, jakie to smutne, że Joan ma twarz jak koński pysk, wielkie zęby i wyłupiaste oczy podobne do dwóch szarych kamyków. Byłam pewna, że nie potrafiłaby nawet utrzymać tak mizernej zdobyczy jak Buddy Willard. A mąż Dzidzi najwidoczniej mieszkał u swojej kochanki, co doprowadzało ją, oczywiście, do wściekłości.

– Dostałam li-i-st! – Joan wsadziła rozczochraną głowę w uchylone drzwi i zajrzała do mojego pokoju.

– No to się ciesz. – Nie odrywałam oczu od książki. Od czasu jak skończyła się moja terapia wstrząsowa – po pięciu seansach – i otrzymałam przywilej spacerowania, Joan bzykała dokoła mnie jak zdyszana gigantyczna końska mucha. Jak gdyby można było wyssać z kogoś słodycz rekonwalescencji, jak gdyby się można było zarazić cudzym zdrowiem. Odebrano jej niedawno znów

podręczniki fizyki i stosy zakurzonych notatników, które zalegały jej pokój, i zabroniono jej wychodzić poza teren kliniki.

– Nie jesteś ciekawa od kogo?

Wśliznęła się do mojego pokoju i przysiadła na skraju łóżka. Miałam ochotę powiedzieć, żeby poszła sobie do wszystkich diabłów, krzyknąć, że nie mogę na nią patrzeć, ale jakoś nie miałam odwagi.

– No dobrze – zaznaczyłam paznokciem miejsce, w którym przerwałam lekturę, i przymknęłam książkę. – No dobrze, więc od kogo?

Wyciągnęła z kieszeni bladoniebieską kopertę i zaczęła nią przekornie wymachiwać.

– Co za zbieg okoliczności – powiedziałam. Podeszłam do biurka, wzięłam bladoniebieską kopertę i też zaczęłam nią wymachiwać, tak jak macha się chusteczką na pożegnanie. – Ja też dostałam list. Ciekawa jestem, czy od tej samej osoby.

– Jest mu znacznie lepiej – powiedziała Joan. – Wypuścili go już ze szpitala.

Nastąpiła chwila milczenia.

– Czy zamierzasz wyjść za niego za mąż?

– Nie – odparłam. – A ty?

Joan uśmiechnęła się.

– Nigdy mi się specjalnie nie podobał.

– Czyżby?

– Bardzo lubię jego rodzinę.

– Czy masz na myśli mamę i papę Willardów?

– Właśnie – głos Joan był ostry jak podmuch polarnego wiatru. – Zawsze ich bardzo lubiłam. To szalenie mili ludzie, tacy szczęśliwi, zupełnie odwrotnie niż moi starzy. Często u nich bywałam. Dopóki ty się nie zjawiałaś – dodała.

– Bardzo mi przykro – odparłam i jeszcze: – Skoro ich tak bardzo lubiłaś, to nie trzeba było z nimi zrywać.

– Nie mogłam tam bywać, jak ty zaczęłaś chodzić z Buddym... zresztą, sama nie wiem. To by głupio wyglądało.

– Może i tak – zastanawiałam się.

– Czy zaprosisz go? – dowiadywała się Joan.

– Czy ja wiem...

Pomyślałam, że wizyta Buddy'ego w tej klinice dla umysłowo chorych byłaby rzeczą straszną – najprawdopodobniej zacząłby się od razu kumać z lekarzami, ale po zastanowieniu doszłam do wniosku, że mógłby to być nawet rozsądny krok. Mogłabym z nim definitywnie zerwać i wytłumaczyć mu, że nie mam nikogo innego, ale że on, Buddy, nie nadaje się dla mnie, że jestem tego zupełnie pewna.

– A ty? – zapytałam.

– Chyba tak. Może przyjedzie z matką. Wiesz co, zaproszę go z matką...

– Z matką?

– Kiedy powtarzam ci, że ja szalenie lubię panią Willard. To zupełnie nadzwyczajna kobieta. Była dla mnie jak rodzona matka.

Oczami duszy zobaczyłam panią Willard w jej tweedach koloru wrzosu, w półbucikach na płaskich obcasach, wypowiadającą swoje staroświeckie maksymy i sentencje. Pan Willard zachowywał się przy niej jak mały chłopczyk, nawet mówił dziecinnym, piskliwym, precyzyjnym głosem. Joan i pani Willard... Joan i pani Willard...

Tego samego ranka zapukałam do drzwi pokoju Dzidzi, gdyż chciałam pożyczyć od niej nuty pewnej piosenki. Odczekałam kilka chwil i nie słysząc odpowiedzi, weszłam do środka, w przekonaniu, że Dzidzia wyszła i będę mogła wziąć nuty z jej biurka.

W Belsizie, nawet w Belsizie, wszystkie drzwi miały wprawdzie zamki, ale pacjentom kluczy nie dawano. Zamknięcie drzwi oznaczało więc, że pacjentka pragnie być sama, i traktowano je tak samo, jakby były zaryglowane na klucz. Pukało się dwa razy, a potem się odchodziło. Przypomniałam to sobie dopiero, kiedy już byłam w pokoju Dzidzi. Oczy moje, oślepienie jasnością korytarza, powoli przyzwyczajają się do panującego tam mroku.

Wtedy zobaczyłam, że ktoś się unosi na łóżku. Ktoś inny zachichotał. Joan, gdyż była to ona, poprawiła sobie włosy i spojrzała na mnie spode łba swoimi jasnoszarymi, wyłupiastymi oczami. Przy niej leżała Dzidzia. Zielony wełniany szlafrok odsłaniał jej gołe uda. Patrzyła na mnie z ironicznym uśmiechem na wargach. Między palcami jej prawej ręki żarzył się ognik papierosa.

– Ja chciałam tylko... – zaczęłam.

– Wiem – uśmiechnęła się Dzidzia. – Przyszłaś po nuty.

– Halo, Esther – odezwała się Joan lukrowatym głosem, który mnie przyprawiał o mdłości. – Zaczekaj na mnie. Zagramy na cztery ręce.

A potem dodała niespodzianie:

– W gruncie rzeczy nie cierpię Buddy'ego Willarda. Zawsze udawał mądrego, że niby wszystko wie o kobietach...

Spojrzałam na nią. Mimo że jej nie lubiłam, że byłam do niej uprzedzona, fascynowała mnie. Obserwowanie jej można porównać jedynie z obserwacją Marsjanina albo wyjątkowo obrzydliwej ropuchy. Myśli jej były różne od moich, uczucia także zupełnie inne, ale przecież byłyśmy w pewnym sensie podobne do siebie. Jej uczucia i myśli były jak odbicie moich własnych w krzywym zwierciadle.

Czasami zastanawiałam się nad tym, czy ja jej po prostu nie wymyśliłam. Innym razem, jak to jest, że ona nieuchronnie wpływa na moją orbitę w momentach kryzysu, przypominając mi, kim byłam. Nasze losy były ze sobą związane niewidzialną nicią.

– Nie rozumiem, jak kobiety mogą się ze sobą zadawać – wyznałam tegoż dnia doktor Nolan w czasie naszej codziennej rozmowy. – Czy kobieta może znaleźć w drugiej coś, czego jej nie potrafi dać mężczyzna?

Doktor Nolan pomyślała chwilę i powiedziała:

– Może czułość.

Zamilkłam.

– Bardzo cię lubię – powiedziała Joan. – O wiele więcej niż Buddy'ego.

Leżała na moim łóżku z głupawym uśmiechem. Przypomniła mi się skandal, jaki wybuchł w naszym college'u, kiedy tłusta seniorka, brzydka jak noc, a na dodatek studentka teologii, zaczęła się trochę za często spotykać z wysoką, głupkowatą studentką pierwszego roku. O tej ostatniej mówiono, że chłopcy, z którymi była umówiona na ślepe randki w sobotnie wieczory, bardzo szybko od niej uciekali. Te dwie dziewczyny po pewnym czasie w ogóle się nie rozstawały, a pewnego dnia zostały podobno przyłapano w pokoju tłustej w zupełnie niedwuznaczonej sytuacji.

– Ale co one robiły? – dopytywałam się. Próbowałam sobie wyobrazić, co robi mężczyzna z kobietą albo co robią ze sobą dwie kobiety, ale nigdy nie starczało mi na to wyobraźni.

– Milly siedziała na krześle – opowiadała nam koleżanka, która je nakryła – a Teodora leżała na łóżku. Milly głaskała Teodorę po włosach.

Byłam rozczarowana. Spodziewałam się, że nareszcie dowiem się wszystkiego. Zastanawiałam się nad tym, czy kobiety zawsze tylko leżą i głaszczą się nawzajem.

Słynna poetka, ucząca w naszym college'u, mieszkała – wszyscy o tym wiedzieli – ze swoją kochanką, ostrzyżoną na chłopczycę, przysadzistą, starzejącą się profesorką historii starożytnej. Kiedy zwierzyłam się poetce, że

zamierzam w przyszłości wyjść za mąż i zafundować sobie kupę dzieci, spojrzała na mnie z obrzydzeniem i krzyknęła:

– A co będzie z twoją pracą?!

Rozbolała mnie głowa. Dlaczego tyle brzydkich, starych bab ma do mnie słabość? Bo oprócz słynnej poetki była przecież jeszcze Filomena Guinea i Totka, i dama z Christian Science, i Bóg wie kto jeszcze. Każda z nich chciała się mną w taki czy inny sposób opiekować i wszystkie pragnęły, żebym za to w przyszłości była taka jak one.

– Bardzo cię lubię.

– A szkoda – powiedziałam i wzięłam książkę. – A szkoda, bo widzisz, ja ciebie, niestety, nie. Powiem ci więcej. Na twój widok robi mi się po prostu niedobrze.

I wyszłam z pokoju. Joan została na łóżku, rozłożona w poprzek, niezgrabnie, jak głupi stary koń.

Siedziałam w poczekalni i zastanawiałam się, czy nie uciec, zanim mnie zawołają. Wiedziałam, że to, co robię, jest nielegalne – przynajmniej w stanie Massachusetts, zamieszkanym prawie wyłącznie przez katolików – ale doktor Nolan zapewniła mnie, że lekarz jest jej przyjacielem i bardzo mądrym człowiekiem.

– Co pani dolega? – wypytywała mnie sprawna recepcjonistka w nieskazitelnej bieli i odfajkowała moje nazwisko na długiej liście.

– Nie rozumiem? – Wyobrażałam sobie, że takie

pytania może stawiać jedynie i wyłącznie lekarz, szczególnie że w poczekalni siedziało mnóstwo osób, czekających na innych lekarzy, którzy przyjmowali w tym samym lokalu. Były to przeważnie ciężarne kobiety albo matki z dziećmi. Czułam ich wzrok na moim płaskim, dziewczęcym brzuchu.

Recepcjonistka spojrzała na mnie ze zdziwieniem, a ja zarumieniłam się jak głupia.

– Chodzi pewnie o dopasowanie pesarium – głos miała sympatyczny, życzliwy. – Pytam tylko dlatego, że chcę się zorientować, ile pani policzyć za wizytę. Pani jest studentką, prawda?

– Taak.

– W takim razie płaci pani połowę. Pięć dolarów zamiast dziesięciu. Czy mam od razu wystawić rachunek?

Chciałam jej podać mój adres domowy, gdzie rachunek prawdopodobnie by mnie już zastał, ale zaraz przypomniałam sobie, że matka na pewno otworzy kopertę i zorientuje się, o co chodzi. Miałam jeszcze jeden adres, a mianowicie numer skrytki pocztowej, której używali wszyscy pacjenci zakładów dla psychicznie chorych, ponieważ nie chcieli, żeby ludzie wiedzieli, gdzie się znajdują. Ale przyszło mi do głowy, że recepcjonistka może się zorientować po numerze skrzynki, o co chodzi, więc odpowiedziałam szybko:

– Chyba zapłacę na miejscu – i odliczyłam pięć banknotów jednodolarowych.

Te pięć dolarów to była część sumy, jaką przysłała mi

Filomena Guinea z okazji mojego ozdrowienia. Nie byłam pewna, co by sobie pomyślała, gdyby się dowiedziała, jak wykorzystałam jej hojny dar.

Bo Filomena Guinea nawet nie wiedziała o tym, że zafundowała mi wolność.

– Nie mogę znieść myśli o tym – zwierzyłam się doktor Nolan – że mogłabym stać się kiedyś całkowicie zależna od jakiegoś mężczyzny. Mężczyźni nie muszą się bać, a ja mam wrażenie, że nad moją głową stale wisi gruby kij w postaci strachu przed ciążą.

– Czy sądzisz, że byłoby ci lepiej, gdybyś się nie musiała bać ciąży?

– O tak – odparłam – ale... – i opowiedziałam doktor Nolan o zamężnej adwokatce i jej Teorii Czystości.

Doktor Nolan zaczekała, aż skończę, potem roześmiała się, krzyknęła:

– Zwykła propaganda! – i wypisała nazwisko i adres tego doktora na kartce wyrwanej z bloczku receptowego.

Nerwowo przeglądałam numer pisma pod tytułem „Nasze Dziecko”. Patrzyły na mnie okrągłe, uśmiechnięte twarzyczki niemowląt – strona za stroną – łyse niemowlęta, czekoladowe niemowlęta, niemowlęta podobne do Eisenhowera, niemowlęta przekraczające się po raz pierwszy na bok, niemowlęta sięgające po grzechotki, niemowlęta zjadające pierwszą łyżkę kaszki, jednym słowem, niemowlęta czyniące krok za krokiem kolejne postępy, które składają się na duży skok w życie.

W nozdrzach czułam woń pożywki mącznej,

skwaśniałego mleka, lekko tranowy zapach pieluszek i ogarniał mnie smutek, rozrzewnienie i melancholia. Siedzące dokoła mnie kobiety rodziły dzieci, tak jakby to była rzecz najnaturalniejsza w świecie. Czemu ja nie mam prawie żadnego instynktu macierzyńskiego? Dlaczego jestem inna? Dlaczego nie potrafię oddawać się marzeniom o gromadzie rozkosznych, gaworzących maluchów?

Byłam pewna, że gdyby przyszło mi zajmować się przez cały boży dzień małym dzieckiem, oszalałabym do reszty.

Przyjrzałam się uważnie dziecku, siedzącemu na kolanach matki dokładnie naprzeciwko mnie. Nie miałam pojęcia, w jakim jest wieku – nic się na tym nie znam – może potrafi gadać jak najęte i posiada dwadzieścia zębów trzonowych w tej swojej różowej gębusi. Główka trzymała mu się równo na ramionach – zdawało się w ogóle nie mieć szyi – a oczka wpatrywały się we mnie z platońską wręcz mądrością.

Matka dziecka nie przestawała się uśmiechać i trzymała je na kolanach z taką dumą, jak gdyby było ósmym cudem świata. Próbowałam zrozumieć przyczynę wzajemnego zadowolenia, jakie promieniowało z tej matki i tego dziecka, ale zanim doszłam do jakichkolwiek wniosków, doktor zaprosił mnie do gabinetu.

– Pani przyszła na dopasowanie pesarium – odezwał się dziarskim głosem i z ulgą skonstatowałam, że nie będzie stawiał niezliczonej ilości niepotrzebnych pytań.

Wymyśliłam sobie przedtem na jego użytek całą historyjkę, jak to zamierzam wyjść za marynarza, którego statek znajduje się jeszcze na morzu, ale ma powrócić do Charlestown lada dzień, że nie mam pierścionka zaręczynowego, ponieważ jesteśmy zupełnie bez pieniędzy, ale zrezygnowałam z tej całej bzdury i po prostu odpowiedziałam:

– Tak.

Wlaziłam na fotel ginekologiczny, a w głowie mojej tkwiła już tylko jedna myśl: Zaraz będę wolna, będę wolna od strachu, od małżeństwa z pierwszym lepszym facetem, takim jak chociażby Buddy Willard, od małżeństwa dla samego seksu. Nie muszę się już bać tego, że skończę jak nieszczęsne dziewczyny, które tylko dlatego, że nie umiały się zabezpieczyć, znalazły się w przytułku imienia Florence Crittenden...

Kiedy wreszcie wracałam autobusem do kliniki, trzymałam na kolanach niewielką paczuszkę, owiniętą w papier. Wyglądałam zapewne jak każda inna mieszkanka Bostonu, powracająca po całodziennych zakupach z tortem od Schrafftsa albo z nowym kapeluszem, nabytym w domu towarowym Filene. Powoli opuszczała mnie wiara w to, że wszyscy katolicy mają rentgenowski wzrok i wiedzą, jaki człowiek jest w środku. Pomyślałam, że dobrze wykorzystałam dzisiaj przywilej chodzenia na zakupy.

Byłam teraz kowalem własnego losu.

Następny krok – to znalezienie odpowiedniego

mężczyzny.

Rozdział 19

– Zamierzam zostać psychiatrą.

Joan powiedziała to z właściwym jej niegdyś entuzjazmem. Siedziałyśmy w świetlicy pawilonu Belsize i popijałyśmy jabłecznik.

– To bardzo ładnie z twojej strony – odparłam sucho.

– Miałam długą rozmowę z doktor Quinn i jej zdaniem jest to zupełnie możliwe.

Doktor Quinn, lekarka bystra, inteligentna i niezameżna, opiekowała się Joan. Jestem zupełnie pewna, że gdyby przydzielono mnie od początku do niej, to nie wyszłabym do dzisiejszego dnia z pawilonu Caplan, a może nawet i z Wymarku. Pani doktor Quinn odznaczała się raczej abstrakcyjnym sposobem myślenia, który ogromnie odpowiadał charakterowi Joan, a mnie przyprawiał o dreszcz grozy.

Joan gadała trzy po trzy, o „ego” i „id”, a ja wędrowałam myślami po zupełnie innych rejonach. Myślałam o brązowej paczce, schowanej w dolnej szufladzie mojej komody. Z doktor Nolan nie rozmawiałyśmy o żadnym tam „ego” czy „id”, nawet trudno by było dokładnie powiedzieć, o czym mówiłyśmy.

– ... Będę odtąd mieszkała poza szpitalem.

– Gdzie? – zapytałam, usiłując ukryć zazdrość.

Doktor Nolan zawiadomiła mnie, że za jej poręką

college zgodził się przyjąć mnie znowu od drugiego semestru, że będę dalej korzystała ze stypendium Filomeny Guinei, ale ponieważ lekarze nie chcieli się zgodzić na to, żebym zamieszkała z matką, musiałam pozostać w klinice do chwili rozpoczęcia zajęć.

Joan zdystansowała więc mnie. Odczuwałam to jako krzywdę.

– Gdzie? – powtórzyłam. – Przecież nie pozwolą ci zamieszkać zupełnie samej? – Dopiero kilka dni temu zwrócono Joan przywilej jeżdżenia do miasta.

– Pewnie, że nie. Zamieszkałam w Cambridge u siostry Kennedy. Jej współlokatorka właśnie wyszła za mąż, a ona szuka nowej.

– No to zdrowie – uniosłam szklaneczkę z jabłecznikiem. Stuknęłyśmy się. Mimo wielu zastrzeżeń, zawsze będę lubiła Joan. Losy nasze splatały się, jak gdyby przyciągał nas do siebie wielki magnes wydarzeń – wojna czy epidemia cholery – a poza tym żyłyśmy we wspólnym, wyobcowanym świecie.

– Kiedy stąd wychodzisz?

– Pierwszego.

– To pięknie.

– Ale będziesz wpadała w odwiedziny?

– Naturalnie – powiedziałam, a pomyślałam: Na pewno nie.

– To boli – syknęłam. – Czy to powinno boleć?

Irwin nie odpowiadał, odezwał się dopiero po chwili:

– Podobno czasami boli.

Poznałam Irwina na stopniach Biblioteki Widenera. Stałam na samym szczycie wysokich kamiennych schodów, z których rozciągał się widok na ceglaste budynki uniwersyteckie, otaczające wielki dziedziniec. Zamierzałam niedługo powrócić trolejbusem do kliniki. Młody, wysoki student o dość inteligentnej, ale brzydkiej twarzy i w okularach na nosie podszedł do mnie i zapytał:

– Czy nie wie pani, która godzina?

– Pięć po czwartej – odpowiedziałam, spojrzawszy na zegarek.

Student przełożył pakę książek, które nosił przed sobą jak tacę, i odsunął rękaw kurtki, odsłaniając kościsty przegub.

– Ale przecież pan ma zegarek!

Spojrzał na ten swój zegarek i skrzywił się.

– Mam, ale nie chodzi. – Uśmiechnął się niemal zalotnie. – Dokąd pani idzie?

O mały włos nie powiedziałam: „Wracam do kliniki”. Ale facet wyglądał dość obiecująco, więc odparłam:

– Do domu.

– Nie napiłaby się pani przedtem kawy?

Zawahałam się. Miałam być w klinice na siódmą, a nie chciałam się spóźnić, żeby nie zepsuć sobie opinii pod sam koniec kuracji.

– Dobrze, ale to będzie krótka kawa.

Postanowiłam wypróbować na tym studencie swoje nowe, ozdrowione ja, ale się trochę wahałam. Tymczasem on zdążył mi już powiedzieć, że nazywa się Irwin, żebym

mu mówiła po imieniu i że jest dobrze płatnym profesorem matematyki. Wreszcie powiedziałam:

– No zgoda – i ruszyliśmy oblodzonym chodnikiem. Z trudem dotrzymywałam mu kroku, bo miał wyjątkowo długie nogi.

Dopiero kiedy obejrzałam kawalerkę Irwina, postanowiłam się z nim przespać.

Mieszkał w dość ciemnym, ale wygodnym mieszkanku w suterenie na jednej z bardziej zaniedbanych uliczek Cambridge. Zawiózł mnie tam po trzech filiżankach gorzkiej kawy w studenckiej kawiarni. „Na piwo”, powiedział. Zasiedliśmy w dwóch głębokich skórzanych fotelach, otoczeni stosami zakurzonych książek, zawierających tajemnicze formuły matematyczne, ułożone jak wiersze.

Powoli piłam pierwszą szklanekę piwa, powoli, gdyż nie lubię zimnego piwa zimą. Przyjęłam ten poczęstunek tylko jako pretekst wizyty. Prawie natychmiast po naszym przyjsciu odezwał się dzwonek u drzwi.

Irwin jakby się lekko speszył.

– To jest chyba pewna dama – oświadczył.

Miał ten dziwny zwyczaj. Mówił o kobietach „damy”.

– To fajnie – roześmiałam się. – Zaproś ją też na piwo.

Irwin potrząsnął głową:

– Nie, twój widok mógłby jej sprawić przykrość.

Uśmiechnęłam się do mojego bursztynowego zimnego piwka.

Dzwonek u drzwi zabrzmiał po raz drugi, trochę

bardziej niecierpliwie. Irwin westchnął, wstał i poszedł otworzyć. Gdy tylko wyszedł z pokoju, zerwałam się, pobiegłam do łazienki i uchyliwszy brudne weneckie zasłony, wyjrzałam na ulicę.

Stała tam tęga, piersiasta dziewczyna o wybitnie słowiańskim wyglądzie. Ubrana była w gruby sweter z naturalnej owczej wełny, fioletowe spodnie, kozaczki na wysokim obcasie z mankietami z karakułów, a na głowie miała karakułowy toczek. Z ust jej wydobywał się biały chuch, wyrzucała jakieś szybkie zdania w zimowe powietrze. Słyszałam tylko to, co mówił Irwin.

– Bardzo mi przykro, Olgo... ale muszę pracować... nie, nie, dzisiaj nic z tego nie wyjdzie, Olgo – mówił, ale przez cały czas czerwone wargi dziewczyny poruszały się, a słowa jej zamienione w białą parę odlatywały, by zniknąć w gałęziach nagiego krzaku bzu, rosnącego przed gankiem. Wreszcie usłyszałam:

– Może, Olgo... do widzenia, Olgo...

Z szacunkiem i podziwem przyglądałam się kolosalnemu biustowi Słowianki, która powoli schodziła po skrzypiących drewnianych schodkach. Bezkresna, syberyjska gorycz malowała się na jej dużej, jaskrawo wymalowanej twarzy.

– Ty pewnie masz całe zastępy kochanek! – zawołałam wesoło i wbiłam ostry widelczyk w ślimaka. Siedzieliśmy w jednej z licznych, nachalnie francuskich restauracyjek, jakich pełno w Cambridge.

– Mam, że tak powiem – odparł Irwin ze skromnym uśmiechem – niejake powodzenie u dam.

Podniosłam do ust pustą skorupę po spożytym przed chwilą ślimaku i wypiłam trawiastozielony płyn. Nie miałam pojęcia, czy tak się właśnie je ślimaki, ale po kilku miesiącach moralnie obojętnego jedzenia szpitalnego zachciało mi się pachnącego czosnkiem masła.

Zadzwoiłam przedtem z automatu do doktor Nolan i poprosiłam ją o zezwolenie na zanocowanie w Cambridge u Joan. Nie miałam, rzecz prosta, pojęcia o tym, czy Irwin zaprosi mnie do siebie po kolacji, ale przypuszczałam, że spławienie słowiańskiej damy, która, jak się okazało, była żoną innego profesora, rokuje dobre nadzieje.

Odchyliłam głowę i duszkiem wypiłam duży kieliszek Nuits St. Georges.

– Widzę, że lubisz wino – zauważył Irwin.

– Tylko Nuits St. Georges... zawsze wyobrażam sobie wówczas świętego Jerzego ze smokiem.

Irwin sięgnął po moją dłoń.

Postanowiłam już dawno, że pierwszy mężczyzna, z którym się prześpię, musi być bardzo inteligentny. Irwin miał zaledwie dwadzieścia sześć lat i był profesorem zwyczajnym. Miał bladą, anemiczną cerę genialnych chłopców. Potrzebny mi był także ktoś doświadczony, by zrekompensował mój brak wyrobienia w tych sprawach, a Irwin cieszył się powodzeniem u dam. Poza tym, by się nie zaplątać w coś poważniejszego, chciałam to załatwić z

zupełnie nieznanym człowiekiem, z którym nie musiałabym utrzymywać w przyszłości żadnych towarzyskich stosunków. Jednym słowem, ze stworzeniem bezosobowym, podobnym do kapłana, który odprawiłby na mnie ceremonialny rytuał, jak w opowieściach o obyczajach prymitywnych szczepów.

Pod koniec wieczoru doszłam do przekonania, że Irwin spełnia wszystkie te warunki.

Od momentu, w którym przekonałam się, że Buddy Willard jest fałszywy, moje dziewictwo ciążyło mi jak kula u nogi. Przez tyle lat wmawiano mi, że cnota ma kolosalne znaczenie, więc nauczyłam się jej bronić i chronić jak oka w głowie. Broniałam jej już od dobrych pięciu lat i miałam tego powyżej uszu.

Ale dopiero kiedy wróciliśmy do mieszkania Irwina, a on porwał mnie w ramiona i zaniósł, oszołomioną i pełną wina, do ciemnej jak jaskinia sypialni, szepnęłam:

– Irwin, wiesz co, lepiej żebyś wiedział, że jestem dziewicą.

Irwin roześmiał się i rzucił mnie na łóżko.

W kilka minut później wydał z siebie okrzyk zdziwienia. Oczywiście nie uwierzył w to moje dziewictwo. Winszowałam sobie tego, że jeszcze za dnia nałożyłam co trzeba, gdyż w moim obecnym zamroczonym stanie na pewno nie zdobyłabym się na dokonanie tego precyzyjnego, ale koniecznego zabiegu. Leżałam więc naga i szczęśliwa na szorstkim kocu Irwina i czekałam, żeby nareszcie spełnił się od tak dawna

oczekiwany cud.

Poczułam jednakże tylko przykry i niespodzianie dotkliwy ból.

– To boli – zawołałam. – Czy to powinno boleć?

Irwin milczał i dopiero po chwili powiedział:

– Podobno czasami boli.

Po pewnym czasie Irwin podniósł się z łóżka, poszedł do łazienki i puścił prysznic. Nie byłam pewna, czy już skończył swoje, czy też przeszkodziła mu w tym moja dziewicza błona. Chciałam go zapytać, czy już przestałam być dziewicą, ale było mi głupio. Jakaś ciepła ciecz spływała mi po udach. Uniosłam się nieco i przesunęłam ręką po udzie.

W świetle, dochodzącym przez szklane drzwi łazienki, spostrzegłam, że mi czubki palców poczerwieniały.

– Irwin – zawołałam w panice – przynieś mi ręcznik.

Irwin powrócił do sypialni owinięty grubym prześcieradłem kąpielowym i rzucił mi ręcznik na brzuch.

Wsunęłam go natychmiast pomiędzy nogi, a gdy go odchyliłam, okazało się, że jest niemal zupełnie przesiąknięty krwią.

– Krwawię – oświadczyłam i usiadłam na łóżku.

– To się często zdarza – uspokajał mnie Irwin. – Zaraz ci przejdzie.

Przypomniały mi się różne opowieści o zaplamionych prześcieradłach w poślubne noce i o kapsułkach z czerwonym atramentem, stosowanym przez podstępne oblubienice. Zastanawiałam się, jak długo będę krwawiła,

i leżałam bardzo spokojnie z ręcznikiem między nogami. Zrozumiałam, że ta krew jest odpowiedzią na moje pytanie. Nie jestem już na pewno dziewicą, mówiłam sobie i uśmiechałam się w ciemnościach. Czułam się spadkobierczynią wiekowej tradycji.

Założyłam świeży ręcznik i postanowiłam, że jak skończy się krwawienie, wstanę i złapię ostatni trolejbus do kliniki. Chciałam się w ciszy i spokoju oddać rozmyślaniom nad moim nowym stanem. Ale i drugi ręcznik szybko przesiąknął krwią.

– Myślę – powiedziałam słabym głosem – że chyba powinnam wrócić do domu.

– Może nie tak od razu.

– Może jednak lepiej.

Poprosiłam Irwina o pożyczenie mi ręcznika i wepchnęłam go sobie dobrze pomiędzy nogi, jak bandaż. Następnie nałożyłam z powrotem przeupoconą odzież. Irwin zaproponował, że mnie odwiezie, ale nie chciałam, żeby wiedział, gdzie mieszkam, więc sięgnęłam do torebki po adres Joan. Irwin orientował się, gdzie to jest, i wyszedł, żeby zapuścić motor. Nie chciałam mu powiedzieć, że krwawienie nie ustaje. Łudziłam się nadzieją, że skończy się niedługo.

Ale podczas gdy samochód Irwina sunął przez zaśnieżone puste ulice, krew uchodziła ze mnie coraz szybciej, przesiąkała przez ręcznik, przez spódnicę i przez siedzenie wozu.

Zwolniliśmy wreszcie na cichej uliczce i powoli

mijaliśmy małe identyczne domki. Myślałam o tym, jak dobrze się stało, że nie zdecydowałam się na stracenie cnoty w college'u czy w domu matki.

Joan otworzyła mi drzwi. Była mile zaskoczona moim widokiem. Irwin pocałował mnie w rękę i polecił opiece przyjaciółki.

Zamknęłam drzwi i oparłam się o nie plecami. Czułam, jak krew odpływa mi od głowy szerokim, ciągłym strumieniem.

– Ależ Esther! – krzyknęła Joan. – Co się z tobą dzieje?

Nie byłam pewna, czy Joan zauważyła krew, która spływała mi po nogach i powoli wlewała się do pantofli. Pomyślałam, że nawet gdybym umierała od rany rewolwerowej, Joan gapiłaby się na mnie tymi swoimi wyłupiastymi oczami, jakby się spodziewała, że poproszę o filiżankę kawy albo sandwicza.

– Czy ta twoja pielęgniarka jest w domu?

– Nie, ma nocny dyżur w Caplanie.

– To dobrze – skrzywiłam się, bo poczułam nowy przyptyw pulsującej krwi na udach. – A raczej niedobrze.

– Bardzo dziwnie wyglądasz – stwierdziła Joan.

– Czy mogłabyś zadzwonić po lekarza?

– Ale dlaczego?

– Pospiesz się.

– Ale...

Jeszcze nic nie zauważyła.

Nachyliłam się więc i zdjęłam jeden z moich podniszczonych pantofelków od Bloomingdale'a.

Podsunięłam go pod wyłupiaste oczy Joan, przechyliłam i z satysfakcją zanotowałam jej przerażenie, kiedy ciemny strumień krwi rozlał się wielką kałużą na beżowy dywan.

– Mój Boże! Co to jest?

– Mam krwotok.

Joan zawlokła mnie na kanapę i podsunęła mi kilka poduszek pod zakrwawione nogi. Następnie odsunęła się nieco i zapytała:

– Co to za facet?

Przez krótki, obłąkany moment zdawało mi się, że Joan nie zadzwoni po lekarza, dopóki nie opowiem jej mojej przygody z Irwinem, a potem za karę odmówi wezwania pomocy. Ale nic podobnego. Uwierzyła mi. Nie wpadło jej nawet do głowy, że mogłam pójść z Irwinem do łóżka. Jego zjawienie się po prostu osłabiło nieco satysfakcję, jaką odczuła z powodu mojej wizyty.

– Nikt – machnęłam słabo ręką.

Znowu skurcz i fontanna świeżej krwi. Przestraszyło mnie to.

– Daj mi świeży ręcznik.

Joan wyszła i niemal natychmiast powróciła z naręczem ręczników i prześcieradeł. Ruchem wytrawnej pielęgniarzki ściągnęła ze mnie zakrwawione ubranie, syknęła, kiedy zobaczyła zupełnie czarny ręcznik i opatrzyła mnie na nowo. Leżałam, jak mogłam najspokojniej, starając się zwolnić bicie serca, gdyż przy każdym uderzeniu pulsu wypływał ze mnie strumień świeżej krwi.

Przypomniałam sobie cykl wykładów o powieści wiktoriańskiej, w których niezliczone rzesze kobiet, białych i zrezygnowanych, umierały w położu, w potokach nie dającej się zahamować krwi. Być może, Irwin skaleczył mnie w jakiś tajemniczy i groźny sposób i jestem umierająca.

Joan przysunęła do stolika indiański taboret i zaczęła po kolei, według listy w książce telefonicznej, dzwonić do lekarzy. Pierwszy numer w ogóle się nie zgłaszał. Kiedy wreszcie uzyskała połączenie, zaczęła tłumaczyć, o co chodzi, ale po chwili powiedziała „rozumiem” i odłożyła słuchawkę.

– Co jest?

– Powiedział, że chodzi tylko do swoich pacjentów albo gdy grozi niebezpieczeństwo życiu. Jest niedziela.

Usiłowałam zobaczyć, która godzina, ale ręka moja była ciężka jak kłoda i nie mogłam jej podnieść. Niedziela – raj dla lekarzy! Lekarze na piknikach, lekarze na plażach, lekarze z kochankami, lekarze z żonami, lekarze na jachtach, lekarze na polach i w lasach. W niedzielę starali się intensywnie być po prostu ludźmi, a nie lekarzami.

– Na litość boską! – zawołałam. – Powiedz mu, że grozi mi niebezpieczeństwo.

Trzeci numer nie odpowiadał. Czwarty odezwał się, ale z chwilą kiedy Joan zaczęła wyjaśniać, że chodzi o menstruację, odwieszono bezlitośnie słuchawkę. Zaczęła płakać.

– Posłuchaj, Joan – powiedziałam spokojnie. – Zadzwoń do jakiegoś szpitala. Powiedz, żeby przysłali karetkę. Będą mnie musieli zabrać.

Joan uspokoiła się i nakręciła numer najbliższego szpitala z ostrym dyżurem. Powiedziano jej, że zajmą się mną, ale muszę przyjechać sama. Joan zatelefonowała po taksówkę.

Uparła się, że pojedzie ze mną. Przytrzymałam oburącz grubą warstwę ręczników, a szofer taksówki, przejęty adresem, jaki podała mu Joan, pędził jak szalony, ścinając zakręty wąskich uliczek, nad którymi wstawał już świt. Zajechał przed bramę ostrego dyżuru naprawdę po kawalersku.

Joan została, żeby zapłacić, a ja pospiesznie udałam się do dużego, jaskrawo oświetlonego ambulatorium. Zza białego parawanu wyłoniła się pielęgniarka, a ja opowiedziałam jej szybko, w kilku słowach, na czym polega mój problem, tak że gdy w drzwiach stanęła Joan i zaczęła rozglądać się po pokoju tymi swoimi wyłupiastymi oczami krótkowzrocznej sowy, pielęgniarka wiedziała już o wszystkim.

Po chwili wszedł lekarz dyżurny pielęgniarka pomogła mi wdrapać się na stół lekarski i szepnęła coś lekarzowi do ucha. Ten kiwnął głową i zaczął zdejmować ze mnie przesiąknięte ręczniki. Zbadał mnie jednym palcem. Joan stała przy mnie i trzymała mnie mocno za rękę, nie wiem, czy żeby uspokoić mnie, czy też siebie.

– Au! – syknęłam w pewnym momencie, bo mnie

doprawdy silnie zabołało.

Lekarz gwizdnął.

– Jedna na milion – powiedział.

– Co to ma znaczyć?

– To znaczy, że coś podobnego zdarza się jednej kobiecie na milion.

Szepnął coś pielęgniarce, a ta pospiesznie wyciągnęła z szafki gazę i kilka metalowych instrumentów.

– Widzę dokładnie – oświadczył lekarz – gdzie jest przyczyna krwotoku.

– Czy może pan coś na to poradzić?

Roześmiał się:

– Oczywiście!

Obudziło mnie pukanie do drzwi. Było dobrze po północy, w całej klinice panowała grobowa cisza. Nie miałam pojęcia, kto mógłby się jeszcze kręcić po gmachu.

– Proszę! – zawołałam i zapaliłam nocną lampką.

W drzwiach ukazała się inteligentna, bystra twarz pani doktor Quinn. Spojrzałam na nią ze zdumieniem, bo chociaż znałam ją dobrze z widzenia i kłaniałyśmy się sobie na korytarzach kliniki, to nigdy nie zamieniłam z nią jednego słowa.

– Czy mogłabym wejść na minutę? – zapytała.

Skinęłam głową.

Doktor Quinn zamknęła za sobą starannie drzwi. Była, jak zwykle, w świetnie skrojonym granatowym kostiumie i białej bluzce.

– Przykro mi, że panią budzę o tak późnej porze, moja droga, ale jestem pewna, że zechce nam pani pomóc. Chodzi o Joan.

Przez chwilę obawiałam się, że doktor Quinn zaraz mnie oskarży o to, że z mojej winy Joan musiała powrócić do kliniki. Wciąż nie byłam pewna, czy Joan zorientowała się, co działo się ze mną tamtego wieczoru, ale w kilka dni po naszej nocnej wizycie w ambulatorium musiała znów powrócić do Belsize'u, z tym że zostawiono jej przywilej wychodzenia na miasto.

– Zrobię, co tylko w mojej mocy – przyrzekłam doktor Quinn.

Pani doktor siadła na krawędzi mojego łóżka i przybrała poważny wyraz twarzy.

– Musimy ją znaleźć. Czy pani nie wie, dokąd ona mogła pójść?

Trzeba się całkowicie odciąć od Joan, pomyślałam.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparłam bardzo chłodnym tonem. – A co, nie ma jej w pokoju?

Było już dobrze po regulaminowej godzinie powrotu do kliniki.

– Nie. Joan dostała po południu przepustkę do Bostonu, bo chciała iść do kina, i jeszcze nie wróciła.

– Az kim pojechała?

– Sama. – Pani doktor Quinn milczała przez chwilę. – Czy pani nie wie, u kogo ona mogłaby nocować?

– Na pewno niedługo wróci. Może się gdzieś zasiedziała. – Ale prawdę mówiąc, nie miałam pojęcia,

gdzie można by się w Cambridge zasiedzieć do północy.

– Ostatni trolejbus przyjechał godzinę temu.

– Może wrócić taksówką.

Doktor Quinn westchnęła.

– Czy dzwoniła pani do siostry Kennedy, u której Joan mieszkała?

Doktor Quinn skinęła głową.

– A do rodziny?

– Na pewno nie pojechałyby do rodziny... ale i tam telefonowaliśmy.

Posiedziała jeszcze przez chwilę, jakby chciała wymusić zeznania z milczących ścian mojego pokoju.

– No cóż, zrobimy wszystko, co w naszej mocy – powiedziała wreszcie, wstała i wyszła.

Zgasiałam lampę i usiłowałam usnąć, ale uśmiechnięta, oderwana od reszty ciała twarz Joan kołysała się przed moimi oczyma, nierealna jak uśmiechnięta głowa kota z *Alicji w Krainie Czarów*. Kilka razy zdawało mi się, że słyszę jej głos, dochodzący z krzaków pod oknami, ale to tylko wiatr szumiał w drzewach szpitalnego ogrodu...

Nastał mroźny świt. Po raz drugi zbudziło mnie pukanie do drzwi.

Tym razem wstałam i otworzyłam je.

Doktor Quinn stała przede mną na baczność, jak mały, dzielny sierżancik.

– Uważam, że powinnam to osobiście pani powiedzieć – zaczęła. – Joan została odnaleziona.

Pasywna forma tego zdania zmroziła mi krew w

żyłach.

– Gdzie?

– W lasku koło zamarznętego stawu...

Otworzyłam usta, ale nie wyszedł z nich żaden dźwięk.

– Jeden z pielęgniarzy natknął się na nią przed chwilą, w drodze do pracy...

– Chyba nie...

– Joan nie żyje – powiedziała doktor Quinn. – Powiesiła się na drzewie.

Rozdział 20

Świeży śnieg pokrywał teren kliniki – żaden tam lekki puszek, jak to bywa na Boże Narodzenie, ale porządny styczniowy całun, dobre dwa metry. Szkoły, kościoły i urzędy musiały zawiesić działalność, pozostawiając w rejestrach i kalendarzach zajęć dwie, trzy puste strony.

Miałam tylko jeszcze przejść przez komisję lekarską, a potem czarna limuzyna Filomeny Guinei zawiezie mnie przed wielkie, żelazne kute wrota mojej uczelni.

Serce zimy!

Całe Massachusetts pogrążone w marmurowej ciszy. Wyobrażałam sobie lukrowane wioski, wyjęte prosto z obrazków babci Moses, zamarznięte połączenie bagien, upstrzonych dygocącymi na wietrze ostami. Stawy, gdzie pod grubą taflą lodu śpią żaby i ropuchy.

Wiedziałam jednak, że pod tą na pozór nieskazitelną i gładką powierzchnią wszystko pozostało bez zmian i że zamiast podziwiać Europę, Marsa czy chociażby San Francisco, będę musiała na wiosnę uczyć się znowu na pamięć tego samego starego krajobrazu, jego pagórków, lasów i stawów. Po sześciomiesięcznej przerwie będę musiała podjąć życie w tym samym punkcie, w którym je, w tak gwałtowny sposób, opuściłam.

Wszyscy, rzecz prosta, będę wiedzieli, skąd wracam.

Doktor Nolan powiedziała mi szczerze, że niektórzy ludzie będą się do mnie odnosić z rezerwą, znajdą się

nawet tacy, którzy mnie będą unikali, jak unika się trędowatych, potrzęsających grzechotką. Wyobrażałam sobie twarz matki – blady księżyc ze zbolałym wyrazem twarzy – taką, jaką pamiętałam z jej ostatniej wizyty w dniu moich dwudziestych urodzin. Córka zamknięta w zakładzie dla psychicznie chorych! Nielekki jej los, i to wszystko z winy córki! Postanowiła mi jednak wybaczyć moje ciężkie grzechy.

– Zaczniemy nowe życie, jakby się nic nie stało – powiedziała wówczas z tym swoim boleściwym uśmiechem. – Niech nam się zdaje, że to był tylko zły sen.

Zły sen!

Dla człowieka siedzącego pod szklanym kloszem, znieczulonego na wszystko, zatrzymanego w rozwoju jak embrion w spirytusie, całe życie jest jednym wielkim, złym snem.

Zły sen!

Pamiętam każdą jego chwilę.

Pamiętam zwłoki w prosektorium i Doreen, i historię z drzewem figowym, i brylant Marka i marynarza na Rynku, i straszną pielęgniarkę doktora Gordona, stłuczone termometry, i Murzyna podającego nam dwa rodzaje fasoli, i te dziesięć kilogramów, które przybyło mi od insuliny, i skałę, co sterczała pomiędzy niebem a morzem, jak ogromna, szara trupia czaszka.

Jak by to było dobrze, gdyby na to wszystko spadło zapomnienie jak wielki całun śniegu.

Ale te przeżycia stały się częścią mojej istoty. Są krajobrazem, w którym przyszło mi żyć.

– Jakiś pan do pani.

Uśmiechnięta siostrzyczka w białym czepku na głowie stanęła w drzwiach i przez jedną nieprzytomną chwilę zdawało mi się, że już jestem w college'u. Tyle że pokój był inny. Białe mebelki, przed oknami białe drzewa i pola, o ileż wszystko tu było elegantsze i ładniejsze od tamtych obdrapanych gratów, od widoku na ciemne podwórze.

– Jakiś facet do ciebie! – powiedziała także kiedyś dyżurna koleżanka w college'u, wzywając mnie do hallu.

Czym różniłyśmy się właściwie, pacjentki z Belsize'u, od tamtych dziewcząt? I one grały w brydża, zagłębiały się w podręcznikach i plotkowały namiętnie w świetlicy college'u. Miałam tam niebawem powrócić. Przecież każda z nich tkwiła pod własnym szklanym kloszem.

– Proszę wejść! – zawołałam i do pokoju wkroczył Buddy Willard, trzymając w ręku wojskową czapkę.

– To ty, Buddy?! – zawołałam.

– To ja.

Staliśmy i gapiliśmy się na siebie. Czekałam na to, czy obudzi się we mnie jakieś chociażby najmniejsze echo dawnego uczucia. Ale nie. Nic, poza beznadziejną, życzliwą nawet, nudą. Buddy, cały w kolorze khaki, wydawał mi się jakiś mniejszy niż dawniej i dziwnie daleki. Przypomniały mi się brunatne słupy u stóp

narciarskiego stoku, o które opierał się owego zimowego dnia, równo przed rokiem.

– Jak się tu dostałeś? – zapytałam go wreszcie.

– Samochodem mamy.

– W taką pogodę?

– No tak – uśmiechnął się Buddy. – Utkwiłem w zaspie przed samym waszym wjazdem. Czy mogłabyś wytrzasnąć skądś jakąś łopatę?

– Możesz poprosić któregoś z ogrodników.

Buddy zawrócił się na pięcie i zabierał się do wyjścia.

– Zaczekaj. Pomogę ci.

Wtedy spojrzał mi prosto w oczy i zobaczyłam w jego wzroku lekki niepokój – mieszaninę ciekawości i rezerwy – taki sam, jaki widywałam w oczach mojej dawnej nauczycielki angielskiego, pani z Christian Science i unitariańskiego pastora, którzy mnie od czasu do czasu odwiedzali.

– Ależ, Buddy – roześmiałam się. – Zapewniam cię, że jestem już zupełnie zdrowa.

– Wiem, wiem, Esther – odpowiedział pospiesznie.

– Ty nie powinienes odgarniać śniegu. Ja to zrobię.

No i Buddy pozwolił mi wykonać lwią część roboty.

Samochód jego wpadł w poślizg na lodowatej nawierzchni naszego podjazdu i wbił się tyłem w dużą pryzmę śniegu.

Słońce wyłoniło się na chwilę zza szarych, kłębiastych chmur i zaczęło nagrzewać dziewiczo białe stoki. Wyprostowałam się. Wchłaniałam w siebie łapczywie tę

nieskazitelną biel. Miałam to samo uczucie podniecenia, jakiego doznaje się na widok zalanych lasów i pól. Wydaje się człowiekowi, że naturalny porządek rzeczy został, może nawet niezbyt gwałtownie, ale za to nieodwracalnie, naruszony, że świat wchodzi w nową fazę rozwoju.

Dziękowałam opatrzości za tę zaspę i za to, że trzeba było odkopać samochód Buddy'ego. Powstrzymało go to na razie od zadawania pytań, ale w końcu wykrztusił to jednak z siebie, głosem cichym i dosyć nerwowym. Siedzieliśmy w świetlicy Belsize'u przy herbacie. Dzidzia patrzyła na nas sponad filiżanki herbaty jak zazdrosna kotka. Po śmierci Joan trzeba ją było na pewien czas przenieść do Wymarku, ale wróciła.

– Zastanawiam się... – zaczął Buddy i hałaśliwie odstawił filiżankę na spodek.

– Nad czym się zastanawiasz?

– Zastanawiam się... to znaczy, sędzę, że może będziesz mogła mi coś wyjaśnić. – Spojrzenia nasze spotkały się i zobaczyłam, że jest to zupełnie inny człowiek. Dawniej uśmiechał się nieustannie. Zapalał i gasił ten uśmiech na zawołanie, jak fotograficzny flesz. Teraz twarz jego wyrażała powagę i jeszcze coś nieokreślonego, może cień niepewności. Wyglądał jak człowiek, który niezbyt często otrzymuje to, na czym mu naprawdę zależy.

– Wyjaśnię ci wszystko, co zechcesz, jeżeli tylko potrafię.

– Czy nie uważasz, że jest we mnie coś takiego, co doprowadza kobiety do obłądu?

Nie wytrzymałam i wybuchnęłam śmiechem – może dlatego, że miał wciąż ten szalenie poważny wyraz twarzy, a może dlatego, że słowo „obłąd” było tutaj co najmniej nie na miejscu..

– Bo widzisz – ciągnął Buddy – chodziłem z Joan, a potem z tobą, no i najpierw ty, a potem Joan...

Wskazującym palcem pchnęłam okruszynę ciasta. Utonęła w kropli brunatnej herbaty.

„Nie ma w tym na pewno twojej winy!”, przypomniały mi się słowa doktor Nolan. Poszłam do niej, żeby omówić sprawę Joan. Po raz pierwszy, odkąd ją znałam, młoda lekarka była wzburzona. „Tu w ogóle nie ma mowy o żadnej winie! To było w niej!”. Powiedziała też, że nawet najlepszy psychiatra nie zawsze może zapobiec samobójstwu pacjenta i że pacjent jest sam odpowiedzialny za swoje życie. Lekarz nie może i nie powinien się poczuwać do winy...

– To nie twoja wina, Buddy – powiedziałam teraz.

– Czy jesteś zupełnie pewna?

– Zupełnie.

– To mnie bardzo cieszy – odetchnął z ulgą. – Bardzo.

Wypił duszkiem herbatę, tak jak wypija się gorzkie lekarstwo.

– Podobno nas opuszczasz?

Szłam obok Walerii, w grupie pacjentek prowadzonych

przez pielęgniarkę.

– Tak, jeżeli mi lekarze ostatecznie pozwolą. Jutro staję przed komisją.

Ubity śnieg skrzypiał pod nogami, słońce rozgrzewało sople lodu na dachu i pocukrzone drzewa. Zewsząd rozlegało się rytmiczne pokapywanie. Po zachodzie słońca świat miał się znowu pokryć gładką, białą polewą.

Cienie zgrupowanych czarnych sosen kładły się fioletem na pola. Szłyśmy z Walerią labiryntem oczyszczonych ze śniegu ścieżek szpitalnego ogrodu. Po drugiej stronie żywopłotu inni lekarze, pielęgniarki i pacjenci posuwali się naprzód cicho jak na wrotkach, widoczni tylko od pasa spoza kopiających zwałów śniegu.

– Te komisje to czysta formalność – powiedziała Waleria pogardliwie. – Jak cię mają wypuścić, to cię wypuszczą.

– Mam nadzieję.

Pożegnałam ją przed pawilonem Caplan. Nieruchoma twarz Walerii, podobna do twarzy uśpionej królowny Śnieżki, zdradzała tak niewielką gamę uczuć. Szłam dalej, puszczając w mroźne powietrze wraz z oddechem małe dymki chuchu.

Pożegnała mnie jeszcze wesołym:

– Powodzenia! Do zobaczenia!

Mam nadzieję, że już cię nigdy nie zobaczę, pomyślałam.

Ale nie byłam pewna. Wcale nie byłam pewna. Skąd mogłam wiedzieć, czy kiedyś w przyszłości, w Europie

czy gdziekolwiek – szklany klosz znowu na mnie nie spadnie, nie nakryje mnie, odkształcając moje widzenie świata.

A poza tym Buddy powiedział przecież, prawdopodobnie po to, żeby się zemścić za to, że ja odkopywałam samochód, a on się temu beczynnie przyglądał:

– Zastanawiam się nad tym, Esther, czy znajdzie się ktoś, kto się po tym wszystkim zechce z tobą ożenić.

– Nic nie słyszę! – krzyknęłam i odrzuciłam kilka łopat śniegu na nasyp. Mrużyłam załzawione od śniegu oczy i pracowałam coraz energiczniej.

– Zastanawiam się, czy ty teraz znajdziesz męża. Po tym – dodał, wielkim gestem ogarniając wzgórza, sosny, pawilony szpitalne, których strome dachy wrzynały się w zimowy krajobraz. – Teraz, kiedy wszyscy już wiedzą, gdzie byłaś.

Nie miałam, oczywiście, pojęcia, czy znajdzie się ktoś, kto zechciałby się ze mną ożenić. Po pobycie tutaj. Właśnie tutaj. Nie miałam naprawdę zielonego pojęcia.

– Irwin, przysłali rachunek – powiedziałam w słuchawkę. Mówiłam z automatu, znajdującego się w gmachu administracji szpitalnej. Podejrzewałam, że telefonistka przy centralce podsłuchuje rozmowy, ale ona tylko wciskała i wyciągała wtyczki z idealnie obojętnym wyrazem twarzy.

– Słucham cię – odparł Irwin.

– Jest to rachunek na dwadzieścia dolarów na ostrym dyżurze z któregoś tam grudnia i za wizytę kontrolną w tydzień później.

– No tak.

– Piszą, że przysyłają go do mnie, ponieważ nie zapłaciłeś, jak posłali go do ciebie.

– Dobra, dobra, właśnie w tej chwili wypisuję czek. Wypisuję czek in blanco – głos Irwina uległ ledwo dosłyszalnej zmianie. – A kiedy ja ciebie znów zobaczę?

– Czy chcesz naprawdę wiedzieć?

– Szalenie.

– Nigdy! – krzyknęłam bardzo stanowczo i odwiesiłam słuchawkę.

Zastanawiałam się przez chwilę, czy teraz Irwin jeszcze wyśle czek do szpitala, ale zaraz potem pomyślałam: Wyśle na pewno, jest przecież profesorem matematyki i na pewno nie cierpi niedokończonych spraw.

Poczułam tak ogromną ulgę, że aż ugięły się pode mną kolana.

Głos Irwina nie wzbudził bowiem we mnie najmniejszych emocji.

Usłyszałam go dzisiaj po raz pierwszy od tamtego spotkania i byłam niemalże pewna, że słyszę go również po raz ostatni. Irwin nie miał sposobu odnalezienia mnie. Mógł najwyżej pójść do mieszkania siostry Kennedy, ale ona po śmierci Joan przeprowadziła się, nie zostawiając żadnego adresu.

Byłam więc całkowicie wolna.

Rodzice Joan zaprosili mnie na pogrzeb. Pani Gilling twierdziła, że byłam jedną z najlepszych przyjaciółek jej córki.

– Nie musisz jechać – powiedziała doktor Nolan. – Możesz napisać i powołać się na to, że ja ci nie pozwalałam.

– Pojadę – odparłam i pojechałam, i przez całą, krótką zresztą, uroczystość żałobną zastanawiałam się nad tym, kogo ja sobie właściwie wyobrażam w tej trumnie.

Trumna stała na katafalku przed ołtarzem, nakryta białym całunem kwiatów – symbol czegoś, co już odeszło. W mdłym blasku świec twarze siedzących dokoła ludzi były blade jak z wosku, a pozostałe po uroczystościach świątecznych dekoracje z gałęzi świerkowych wydzielały żałobną woń. W kościele panował przejmujący chłód.

Niedaleko mnie siedziała Jody. Miała, jak zwykle, policzki rumiane niczym czerwone jabłuszka. Wśród nielicznych żałobników zauważyłam kilka koleżanek z college'u, parę osób z naszego rodzinnego miasteczka. W pierwszej ławie siedziała siostra Kennedy z Dzidzią. Ich pochylone głowy zakrywały chusteczki.

A potem za trumną, za twarzą naszego pastora, za głowami żałobników zaczął się przesuwać ogromny, zasypany śniegiem trawnik naszego cmentarza, upstrzony kamiennymi nagrobkami, sterczącymi jak martwe kominy.

Za chwilę dotrzemy do dwumetrowego dołu, z trudem wyrąbanego w zamarznętej ziemi. Cień połączy się z cieniem. Rana w śnieżnej bieli zablśni się żółtym piaskiem, a wkrótce opad świeżego śniegu upodobni grób Joan do otaczających go starych grobów.

Głęboko nabrałam powietrza w płuca i wsłuchiwałam się w znajomy rytm mojego serca.

Je-stem, je-stem, je-stem.

Komisja lekarska urzędowała, jak co tydzień, rozpatrując sprawy stare i nowe, przyjęcia, przedłużenia pobytu, zwolnienia. Siedziałam w bibliotece szpitalnej, nieuważnie kartkując strony starego numeru „National Geographic”, i czekałam na swoją kolejkę.

Pacjenci z towarzyszącymi im pielęgniarkami przeglądali książki na półkach albo rozmawiali ściszym głosem z bibliotekarką, dawną pacjentką. Przyglądałam się jej – była nieśmiała, staropanieńska w każdym ruchu i bardzo krótkowzroczna – i zastanawiałam się, czy może mieć pewność, że jest całkowicie wyleczona, że w odróżnieniu od swoich klientów jest normalna i zdrowa.

– Nie bój się – uspokajała mnie doktor Nolan. – Przyjdę na komisję. Zresztą znasz wszystkich jej członków. Doktor Vining, lekarz naczelny, zada ci po prostu kilka pytań, a potem będziesz mogła zaraz wyjść.

Ale pomimo jej kojących słów po prostu się bałam.

Miałam kiedyś nadzieję, że gdy już będę opuszczała szpital, to się okaże, że wychodzę pewna siebie, pewna

swoich zamiarów na przyszłość – ostatecznie przeszłam przecież przez „analizę” – ale w tej chwili w głowie mojej kołatały się wyłącznie znaki zapytania.

Rzucałam coraz bardziej niecierpliwe spojrzenia na drzwi sali konferencyjnej. Wiedziałam, że szwy moich pończoch są równe, czarne lakierki, wprawdzie popekane, ale wyczyszczone na glanc, a czerwony kostium równie śmiały jak moje plany na przyszłość. Miałam na sobie coś nowego i coś starego, tak jak nakazywał dawny przesąd narzeczonym udającym się na ślubną uroczystość.

Ale ja nie miałam przecież stanąć na ślubnym kobiercu. Powinna, pomyślałam, istnieć formuła symbolizująca ponowne narodziny człowieka. Jestem już cała posklejana, przyłożą mi stempelek stwierdzający, że nadaję się do dalszej drogi... Właśnie zastanawiałam się intensywnie nad tym, jakby taki stempelek najlepiej sformułować, kiedy nagle jak spod ziemi wyrosła przede mną doktor Nolan i lekko dotknęła mojego ramienia.

– Idziemy, Esther.

Wstałam i przekroczyłam z nią razem próg otwartych drzwi.

Nabrałam powietrza do płuc, zatrzymałam się chwilę na progu i spojrzałam na zgromadzonych dokoła stołu lekarzy. Siedział tam siwowłosy ordynator, który pierwszego dnia mówił mi coś o rzekach i pielgrzymach, koścista,znaczona śladami po ospie panna Huey rozpoznałam też kilka par oczu, które patrzyły na mnie przedtem tylko – tak mi się przynajmniej zdawało –

sponad białych masek.

Twarze te i te wszystkie oczy zwróciły się teraz w moją stronę, a ja, przyciągnięta ich wzrokiem jak magiczną nicią, weszłam do środka.